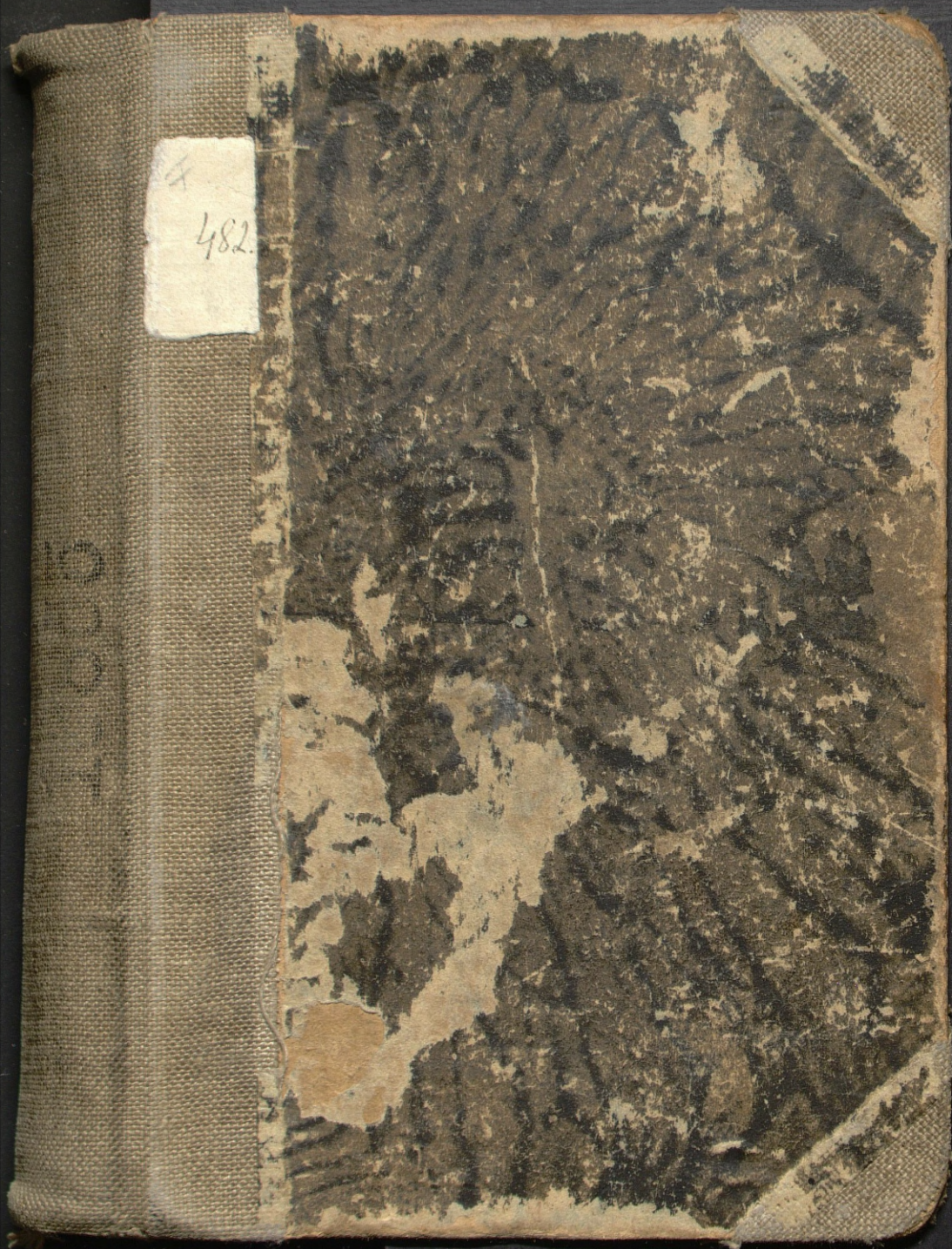


Grey Scale #13



DANES-PICTA .COM

A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



4
482.

92670



BERTRAND RUSSELL

P O C H W A Ł A
P R Ó Ż N I A C T W A



GŁÓWNY ZARZĄD POLITYCZNY
WOJSKA POLSKIEGO
Zarząd II

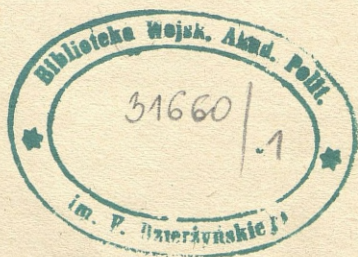
Nr inw. 3430.

W A R S Z A W A — 1937

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „RÓJ”

19.4

Z upoważnienia autora przełożył
ANTONI PAŃSKI



DRUKARNIA „LINOLIT” WARSZAWA

POCHWAŁA PRÓŻNIACTWA

Jak większość ludzi mojego pokolenia, wychowany byłem w myśl maksymy: „Dla niemających nic do roboty – djabeł wynajdzie zawsze jakieś zajęcie”. Byłem dzieckiem bardzo cnotliwym: wierzyłem we wszystko, co mi mówiono: sumienie kazało mi ciężko pracować aż do dnia dzisiejszego. Ale chociaż sumienie kierowało moim *postępowaniem* – *poglądy* moje uległy tymczasem rewolucji. Uważam, że na świecie pracuje się o wiele za dużo, że traktowanie pracy jako cnoty wyrządza wielkie szkody, i że we współczesnych krajach przemysłowych trzeba głosić zupełnie co innego niż to, co zawsze dotąd głoszone. Znana jest historyjka o podróżniku, który – zobaczywszy w Neapolu dwunastu żebraków, wylegujących się na słońcu (było to jeszcze w czasach przed Mussolinim) – zaofiarował lirę najbardziej leniwemu z pośród nich. Jedenastu

zerwało się, by dowodzić swoich praw do liry – wobec czego podróżnik dał ją dwunastemu. Miał zupełnie słuszne tendencje. Ale w krajach, w których słońce nie grzeje tak silnie jak nad Morzem Śródziemnem, lenistwo jest rzeczą o wiele trudniejszą i trzeba będzie wielkiej społecznej propagandy, aby ludzi doń skłonić. Mam nadzieję, że po przeczytaniu tych rozważań kierownicy Y. M. C. A. rozpoczną kampanję wśród bardziej wartościowych młodzieńców, zachęcając ich, aby nic nie robili. Gdyby tak się stało mógłbym powiedzieć, że nie żyłem napróżno.

Zanim przytoczę moje argumenty za próżniactwem, muszę rozprawić się z pewnym argumentem, którego przyjąć nie mogę. Ilekroć ktoś, kto ma już z czego żyć, chce znaleźć sobie jakieś zwykłe zajęcie, jak lekcje w szkołach lub pisanie na maszynie – mówi mu się, że w ten sposób odbiera chleb innym, a więc postępuje źle. Gdyby rozumowanie takie było słuszne – powinniśmy wszyscy nic nie robić i to już wystarczyłoby, abyśmy wszyscy mieli wbród chleba. Wysuwający tego rodzaju argumenty zapominają, że człowiek wydaje zwykle to co zarabia, a wydając – daje zatrudnienie innym. Dopóki tylko wydajemy nasze dochody – chleb który odbieramy naszemi zarobkami jednym ludziom oddaje-

my, wydając, innym. Z tego punktu widzenia, prawdziwy złoczyńca – to człowiek, który oszczędza. Jeśli ktoś trzyma swoje oszczędności w pończosze, jak przysłowiowy chłop francuski – jest rzeczą widoczną, że nie powiększają one zatrudnienia. Jeśli jednak inwestuje swoje oszczędności, sprawa nie jest już tak jasna i powstają nowe zagadnienia.

Jednym z najbardziej rozpowszechnionych sposobów używania oszczędności jest pożyczanie ich jakiemuś rządowi. Ponieważ przeważająca część wydatków rządowych w większości państw cywilizowanych idzie na spłatę długów za dawne wojny albo na przygotowanie nowych, człowiek pożyczający swoje pieniądze rządowi przypomina czarny charakter z dramatu Szekspira, wynajmujący sobie płatnych morderców. Ostatecznym rezultatem gospodarnego trybu życia człowieka jest wzrost sił zbrojnych państwa, któremu pożyczka swoje oszczędności. Rzecz jasna że byłoby lepiej, gdyby te pieniądze wydał, nawet gdyby miał je przegrać lub przepić.

Ale – powiedzą mi – sytuacja zmienia się zupełnie, jeśli oszczędności inwestuje się w przedsiębiorstwach przemysłowych. Jeśli te przedsiębiorstwa istotnie powstają i wytwarzają coś pożytecznego, można się na to zgodzić. Dziś jednak nikt nie bę-

dzie przeczył temu, że większość inwestycji przemysłowych nie udaje się. Znaczy to że znaczne zasoby pracy ludzkiej, które mogły być użyte na wytwarzanie przedmiotów, dających ludziom zadowolenie, zużyte zostały na wytwarzanie maszyn, które stoją bezczynnie i nie przynoszą nikomu żadnego pożytku. Człowiek więc, inwestujący swoje pieniądze w przedsięwzięciu, które bankrutuje, szkodzi nietylko sobie ale i innym. Gdyby wydał swoje pieniądze, powiedzmy, na przyjęcia dla przyjaciół, ci mieliby (mamy nadzieję) przyjemność, podobnie jak ci do których pieniądze wpłynęły – rzeźnik, piekarz, przemysłnik alkoholu. Jeśli jednak wydaje je na przykład na zakładanie kolei nadziemnej w jakiejś miejscowości, w której – jak się okazuje – na komunikację tego rodzaju niema zapotrzebowania, zajął tylko pewną ilość pracy ludzkiej czemś, co nikomu nie przysporzyło przyjemności. Jednakże, jeśli naskutek chybionych inwestycji straci swój majątek, będzie uważany za ofiarę niezasłużonego nieszczęścia, podczas gdy wesoły rozrzutnik, który wydał swoje pieniądze w sposób filantropijny, będzie traktowany z pogardą jako człowiek niemądry i lekkomyślny.

Wszystko to jest tylko wstępem. Teza, którą wysuwam całkiem naserjo, brzmi że w świecie dzi-

szejszym przypisywanie jakiejś szczególnej wartości *pracy* jest rzeczą bardzo szkodliwą i że droga do dobrobytu i szczęścia prowadzi poprzez zorganizowanie zmniejszenie pracy.

Przedewszystkiem: czym jest praca? Praca bywa dwojakiego rodzaju: pierwszy polega na zmianie położenia przedmiotów materialnych, na powierzchni ziemi lub w pobliżu tej powierzchni, w stosunku do innych przedmiotów materialnych; drugi polega na tem, że te właśnie czynności poleca się wykonywać innym. Pierwszy rodzaj pracy jest nieprzyjemny i źle płatny; drugi – przyjemny i dobrze płatny. Drugi rodzaj może się rozrastać do nieskończoności: istnieją nietylko właściwi rozkazodawcy, ale również ludzie udzielający rad, jakie mianowicie rozkazy powinny być wydawane. Zazwyczaj dwie zorganizowane grupy udzielają równocześnie dwóch rad, ze sobą sprzecznych: nazywa się to polityką. Kwalifikacje, wymagane do tego rodzaju pracy nie polegają na znajomości przedmiotu, co do którego wypowiada się rady, lecz na tem by posiadać sztukę przekonywającego mówienia i pisania, t. j. sztukę reklamy.

W Europie istnieje jeszcze trzecia grupa (niema jej w Ameryce), szanowana bardziej niż obie te

grupy pracowników. Są to ludzie, którzy posiadają ziemię i wobec tego inni muszą im płacić za to, że mogą istnieć i pracować. Ci właściciele ziemscy nie pracują, i z tego względu czytelnik mógłby oczekiwać, że będą ich chwalił, Niestety jednak, ich próżniactwo możliwe jest tylko dzięki pracowitości innych; cała ewangelja pracy płynie właśnie historycznie z ich chęci prowadzenia wygodnego i próżniaczego życia. Najmniej życzyli sobie zawsze tego, aby inni szli za ich przykładem. *W ich interesie było to*

Od początków cywilizacji aż do rewolucji przemysłowej człowiek mógł z reguły wytwarzać niewiele więcej ponad to, co pozwalało na utrzymanie przy życiu jego i jego rodziny, choć żona pracowała conajmniej tak samo ciężko jak on sam, a dzieci pomagały mu w pracy od chwili, kiedy tylko mogły pracować. Małej nadwyżki, która pozostawała po wyprodukowaniu najniezbędniejszych środków utrzymania, nie pozostawiano wytwórcom: przywłaszczali ją sobie wojownicy i kapłani. W latach nieurodzaju żadnej nadwyżki nie było; ale wojownicy i kapłani brali dla siebie tyleż, co zawsze, i w rezultacie wielu pracowników umierało z głodu. System ten przetrwał w Rosji do r. 1917, a do tej chwili istnieje na Wschodzie; w Anglii, nie bacząc na rewolucję przemysłową, utrzymywał się bez żąd-

nych zmian w okresie wojen napoleońskich i później, aż do chwili gdy – sto lat temu – nowa klasa fabrykantów doszła do władzy. W Ameryce kres temu systemowi położyła Wojna o Niepodległość – z wyjątkiem jednak stanów południowych, w których trwał aż do Wojny Domowej. Ustrój który trwał tak długo i skończył się tak niedawno pozostawił oczywiście głębokie ślady w ludzkich zapamiętaniach i psychice. Nasza dodatnia ocena pracy, uważana przez nas za rzecz oczywistą, jest w dużym stopniu pozostałością tego ustroju przed-industrialnego, i wobec tego nie jest dostosowana do warunków dzisiejszych. Dzięki współczesnej technice, odpoczynek i wolny czas mogą nie być już tylko przywilejem drobnej grupki, ale – w pewnych granicach – prawem, przysługującym jednakowo wszystkim członkom społeczeństwa. Moralność pracy jest moralnością niewolników, a świat współczesny nie potrzebuje niewolnictwa.

Jest rzeczą jasną, że w społeczeństwie pierwotnem chłop – gdyby to zależało od nich – nie oddawali nikomu owej nieznacznej nadwyżki, utrzymującej wojowników i kapłanów, lecz sami spożywaliby więcej, albo wytwarzali mniej. Z początku wytwarzali nadwyżkę i oddawali ją, zmuszani do tego jedynie siłą. Stopniowo jednak o-

kazało się rzeczą możliwą wpoić wielu z nich etykę, wedle której ciężka praca jest ich obowiązkiem, chociaż część tej pracy poświęcają na utrzymanie ludzi próżnujących. W ten sposób można było stosować mniej przymusu, co redukowało wydatki rządów. Dziś jeszcze 99⁰/₀ robotników angielskich oburzyłoby się szczerze na propozycję, aby król nie miał większych dochodów od robotnika. Pojęcie obowiązku było – historycznie biorąc – środkiem, przy którego pomocy posiadający władzę skłaniali wszystkich pozostałych, aby żyli zgodnie z interesami swoich władców, a nie zgodnie z własnymi interesami. Oczywiście posiadający władzę ukrywają ten stan rzeczy wobec samych siebie, potrafiwszy wzbudzić w sobie przekonanie, że ich interesy identyczne są z ogólnymi interesami ludzkości. Niekiedy jest tak istotnie; ateńscy posiadacze niewolników na przykład zużywali część swego wolnego czasu, tworząc trwałe dorobek cywilizacji, czego nie mogliby czynić w bardziej sprawiedliwym ustroju gospodarczym. Dla postępu cywilizacji wolny czas jest niezbędny, a w dawniejszych epokach takim czasem mogła rozporządzać tylko garstka za cenę trudu i mokołu mas. Ale trud tych mas był pożyteczny nie ze względu na wartość pracy, lecz ze względu na wartość wolnego czasu. Współczesna

zaś technika umożliwiałyby sprawiedliwy podział wolnego czasu bez szkody dla cywilizacji.

Technika współczesna zredukowała w ogromnym stopniu ilość pracy niezbędną do tego, aby każdy mógł zaspokoić konieczne minimum potrzeb. Stało się to widoczne w czasie wojny. Wszyscy mężczyźni w szeregach, jak również wszyscy zajęci w fabrykach wojskowych i w biurach rządowych, wszyscy zajmujący się szpiegostwem i propagandą – byli to ludzie, wycofani z zawodów produkcyjnych. Mimo to, w państwach Koalicji ogólny poziom dobrobytu materialnego wśród robotników niewykwalifikowanych był wyższy, niż kiedykolwiek przedtem lub potem. Fakt ten przesłaniały operacje finansowe: zaciągane pożyczki kazały przypuszczać, że teraźniejszość żywi się na rachunek przyszłości. Ale to jest oczywiście niemożliwe: człowiek nie może zjeść bochenka chleba, który jeszcze nie istnieje. Wojna wykazała dowodnie, że przy pomocy naukowej organizacji produkcji można dziś utrzymywać niezły poziom dobrobytu ludności, wyzyskując w tym celu tylko drobną część zdolności produkcyjnej współczesnego świata. Gdyby po zakończeniu wojny ta organizacja produkcji – stworzona, aby umożliwić powołanie ludzi do szeregów i do fabryk wojennych – została zachowana z tem, że

wszędzie skróconoby dzień roboczy do czterech godzin, wszystko byłoby w porządku. Zamiast tego jednak przywrócono dawny chaos: tym, na których pracę był popyt, kazano pracować długie godziny, a innym pozwolono głodować bez pracy. Dlaczego? Ponieważ praca jest obowiązkiem i człowiek nie powinien otrzymywać zapłaty za to, co produkuje, ale za cnotę pracowitości, jaką wykazał.

Jest to moralność państwa niewolniczego, stosowana w okolicznościach zupełnie niepodobnych do tych, w jakich powstała. Nic dziwnego, że doprowadziła do katastrofalnych wyników. Weźmy jakiś przykład. Przypuśćmy że w danej chwili pewna liczba ludzi zajęta jest produkcją szpilek; ludzie ci wyrabiają wszystkie szpilki, jakich świat potrzebuje, pracując – powiedzmy – osiem godzin dziennie. Ktoś robi wynalazek, dzięki któremu ta sama liczba ludzi może teraz wyrabiać dwa razy więcej szpilek, niż dotychczas. Ale świat nie potrzebuje większej ilości szpilek: szpilki są już tak tanie, że jeśli jeszcze zniżyć ich cenę – zbyt ich nie powiększy się prawie wcale. W świecie racjonalnym każdy zatrudniony w produkcji szpilek zacząłby pracować cztery godziny zamiast ośmiu, a wszystko inne pozostałoby po staremu. Ale w świecie rzeczywistym uznanoby to za demoralizację; wszyscy pracują da-

lej po osiem godzin, szpilek jest za dużo, część przedsiębiorców bankrutuje i połowa ludzi, zatrudnionych w produkcji szpilek, zostaje bez pracy. W ostatecznym rezultacie powstaje tyleż zaoszczędzonego wolnego czasu, ile dawałby plan rozsądny, ale przytem połowa ludzi nie robi nic, gdy druga połowa przepracowuje się w dalszym ciągu. W ten sposób stwarza się gwarancję, że nieunikniony w każdym wypadku przyrost wolnego czasu będzie źródłem powszechnych cierpień, zamiast być źródłem powszechnego zadowolenia. Czy można wyobrazić sobie większy obłęd?

Pomysł, że biedacy powinni mieć wolny czas, raził zawsze ludzi bogatych. Na początku dziewiętnastego wieku w Anglii normalny dzień roboczy dorosłego mężczyzny trwał piętnaście godzin; dzieci pracowały czasami tyleż, a dwanaście godzin dziennie – bardzo często. Gdy rozmaici wścibscy, lubiący wtrącać się do cudzych interesów, wypowiadali pogląd że dzień roboczy jest nieco przydługi – odpowiadano im, że praca nie pozwala dorosłym pić, a dzieciom łobuzować. Kiedy byłem dzieckiem, wkrótce po nadaniu robotnikom w miastach praw wyborczych, wprowadzono ustawowo niektóre święta, ku wielkiemu oburzeniu sfer wyższych. Pamiętam słowa pewnej księżnej: „Nacóż biedakom świę-



ta? Powinni *pracować!*” Dziś ludzie nie są tak szczerzy, ale to samo poczucie pozostało i jest w dużym stopniu źródłem pomieszania pojęć, jakie panuje w sprawach gospodarczych.

Zanalizujmy teraz tę gloryfikację pracy, nie poddając się przesądom. Każdy człowiek spożywa w ciągu swojego życia pewną ilość wytworów pracy ludzkiej. Jeżeli przyjmiemy – do czego mamy prawo – że praca jest naogół nieprzyjemna, niesprawiedliwością będzie, aby ktoś spożywał więcej niż wytwarza. Oczywiście może dostarczać usług, a nie towarów, jak to czyni na przykład lekarz; ale powinien czegoś dostarczać wzamian za swoje utrzymanie i pomieszczenie. W tych granicach obowiązków pracy trzeba uznać – ale tylko w tych granicach.

Nie będę rozwodził się nad tem, że w całym dzisiejszym świecie – poza Rosją Sowiecką – wielu ludzi uchyla się od tego minimalnego obowiązku: ci mianowicie, którzy dziedziczą pieniądze lub żenią się dla pieniędzy. To jednak, że toleruje się próżniactwo tych ludzi – uważam za znacznie mniej szkodliwe od tego, że robotnicy muszą albo przepracowywać się, albo głodować.

Gdyby zwykły robotnik pracował cztery godziny dziennie, wszyscy mieliby pracę i nie byłoby bezro-

łbocia – przy wprowadzeniu pewnego minimum racjonalnej organizacji. Pomysł taki jest oburzający dla ludzi bogatych, ponieważ w ich przekonaniu biedacy nie wiedzieliby, co począć z taką ilością wolnego czasu. W Ameryce ludzie często pracują wiele godzin dziennie nawet wówczas, gdy mają już znaczny majątek, i pragną aby tak samo pracowali ich synowie; oburza ich oczywiście myśl, że robotnicy mogliby rozporządzać wolnym czasem – chyba że pojawia się on w postaci ponurej kaźni bezrobocia. Dziwne jednak, że chociaż pragną mieć synów tak zajętych, aby nie mieli wogóle czasu stać się ludźmi cywilizowanymi – jednocześnie nie protestują wcale przeciw temu, że żony ich i córki nie robią zgoła nic. Snobistyczne uwielbianie rzeczy bezużytecznych, które w społeczeństwie arystokratycznym znajduje swój wyraz w wychowaniu osób obojga płci, w plutokracji istnieje tylko w stosunku do kobiet; postawa ta jednak nie jest wcale bardziej zgodna ze zdrowym rozsądkiem.

Trzeba przyznać, że umiejętność korzystania z wolnego czasu jest dziełem cywilizacji i odpowiedniego wychowania. Ktoś kto całe życie pracował przez długie godziny dziennie będzie się nudził, gdy nagle pracować przestanie. Ale bez dość znacznej ilości wolnego czasu człowiek pozbawiony jest

wielu najbardziej wartościowych rzeczy w życiu. Niema żadnego racjonalnego powodu, aby przeważająca część ludności znosiła dziś ten brak; tylko niemądry ascetyzm, przejęty przez nas zazwyczaj bez zastanowienia, każe nam domagać się od ludzi nadmiernej pracy, mimo że przestało to już być rzeczą potrzebną.

W ideologii, której hołduje rząd sowiecki, jest wiele rzeczy zupełnie różnych od tradycyjnych nauk Zachodu – niektóre jednak elementy przejęte zostały z tych nauk bez żadnej zmiany. Postawa rządu – zwłaszcza władz, zajmujących się propagandą wychowawczą – wobec rzekomej szczególnej godności pracy nie różni się niemal niczem od tego, co klasy rządzące usiłowały zawsze wpoić tak zwanym „uczciwym biedakom”. Wymaga się znów pilności, trzeźwości, pracowania długich godzin dla bardzo oddalonych korzyści, a nawet uległości wobec władzy; ponadto władza reprezentuje podawnemu wolę Wszechmocnego, któremu jednak nadano nową nazwę – Dialektycznego Materjalizmu.

Zwycięstwo proletarijusz w Rosji pociągnęło za sobą niektóre zjawiska podobne do tych, jakie towarzyszyły zwycięstwu feminizmu w innych krajach. W ciągu wieków, mężczyźni wychwalali czystość i świętobliwość kobiet i usiłowali osłodzić im

ich zależność twierdzeniem, że cnoty te więcej są warte, niż władza. W rezultacie feminizm zaczął domagać się władzy, nie zrzekając się jednak owych cnot kobiecych – bo chociaż pionierki feminizmu uwierzyły we wszystkie twierdzenia mężczyzn na temat wartości tych cnót, nie uwierzyły im jednak, że władza polityczna jest rzeczą bezwartościową. Podobnie miały się rzeczy w Rosji, jeśli chodzi o stosunek do pracy fizycznej. Od wieków ludzie bogaci i ich najmici pieli hymny pochwalne na cześć „uczciwej pracy” i prostego życia, głosili religję, w myśl której biedacy mają o wiele większe od bogaczy szanse dostania się do nieba, i wogóle starali się wpoić pracownikom fizycznym przeświadczenie, że dokonywanie zmiany stosunków przestrzennych materji jest czemś szczególnie szlachetnem – tak jak mężczyźni starali się przekonać kobiety o szczególnej wartości, jaką posiadać ma skrupowanie ich życia seksualnego. W Rosji wszystkie te teorje, dotyczące pracy fizycznej, wzięto zupełnie na serjo, i w rezultacie robotnik szanowany jest tam więcej niż ktokolwiek inny. Głoszone hasła mają w gruncie rzeczy charakter apelu religijnego, choć cele tego apelu są obecnie inne: chodzi o dobrowolne zgłaszanie się robotników – „szturmowców”, niezbędnych do prac szczególnie pilnych. Pracę fizyczną

ukazuje się młodzieży, jako ideał, i to jest podstawą całej propagowanej etyki. ✓

Narazie taka postawa jest, być może, zupełnie słuszna. Wielki kraj, pełen bogactw naturalnych, wymaga rozwoju, i rozwój ten musi być dokonywany niemal bez pomocy kredytów. W tej sytuacji ciężka praca jest koniecznością i wszystko przemawia za tem, że przyniesie wielkie owoce. Co nastąpi jednak, gdy osiągnięty zostanie punkt, kiedy wszyscy będą mogli zaspokoić swoje potrzeby, nie pracując wielu godzin dziennie?

Na Zachodzie postawa nasza wobec tego zagadnienia przejawia się w różnoraki sposób. Nie dążymy do osiągnięcia sprawiedliwości gospodarczej, i wobec tego poważna część ogólnej produkcji przypada w udziale drobnej mniejszości, która w znacznym stopniu wogóle nie pracuje. Ponieważ niema żadnej scentralizowanej kontroli nad produkcją, wytwarzamy mnóstwo rzeczy niepotrzebnych. Pozwalamy na bezrobocie znacznego odsetka klasy robotniczej, ponieważ możemy obejść się bez jej pracy, zmuszając innych do wysiłku ponad miarę. Gdy to wszystko jeszcze nie rozwiązuje całego zagadnienia – mamy do dyspozycji wojnę; zajmujemy pewną liczbę ludzi wytwarzaniem środków wybuchowych, a innym każemy dokonywać samych wy-

buchów – jak gdybyśmy byli dziećmi, które bawią się zobaczonymi poraz pierwszy w życiu fajerwerkami. Przy pomocy tego wszystkiego udaje nam się – nie bez trudności zresztą – podtrzymywać oficjalną doktrynę, według której długie godziny ciężkiej pracy fizycznej są przeznaczeniem przeciętnego człowieka.

W Rosji, gdzie istnieje sprawiedliwość społeczna i planowa kontrola nad produkcją, zagadnienie musi być rozwiązane inaczej. Z chwilą gdy wszyscy posiadać będą niezbędne minimum utrzymania i pewne elementarne wygody, rozwiązanie racjonalne powinno polegać na stopniowej redukcji godzin pracy, z pozostawieniem – na każdym stadium – decyzji głosowania ludowego kwestji, co jest w danym momencie bardziej pożądane: większa ilość wolnego czasu, czy większa ilość dóbr. Władzom jednak, głoszącym teorię szczególnej wartości pracy, trudno byłoby uznać za cel dążeń tego rodzaju raj, w którym będzie dużo wolnego czasu, a mało pracy. Wydaje się rzeczą bardziej prawdopodobną, że układać będą coraz to nowe plany, w których wyniku ludność zostanie zmuszona wyrzekać się natychmiastowego korzystania z wolnego czasu na rzecz zwiększonych sił produkcyjnych w przyszłości. Czytałem niedawno o pomysłowym planie inżyn-

nierów rosyjskich – ogrzania Morza Białego i północnych wybrzeży Syberji przy pomocy tamy, zbudowanej poprzez Morze Karskie. Pomysł doskonały, ale mogący opóźnić o całe pokolenie osiągnięcie pewnego poziomu komfortu przez proletarijat – choć szlachetna wartość pracy zademonstrowana zostanie wśród pól lodowych i burz śnieżnych okolic podbiegunowych. Zjawisko tego rodzaju – jeśli nastąpi – będzie rezultatem traktowania pracy, jako celu ostatecznego, a nie jako środka do osiągnięcia takiego stanu rzeczy, w którym praca przestaje być potrzebna.

W rzeczywistości dokonywanie zmian w położeniu materji – choć w pewnej mierze konieczne dla naszej egzystencji – nie należy jednak żadną miarą do ostatecznych celów życia ludzkiego; gdyby do tych celów należało, musielibyśmy stawiać każdego kamieniarza wyżej od Szekspira. W tej sprawie daliśmy się wprowadzić w błąd przez dwa czynniki. Jeden z nich sprowadza się do tego, że klasy pracujące muszą być zadowolone ze swojego losu: aby to osiągnąć, warstwy posiadające głoszą od tysięcy lat teorię o szlachetności pracy, choć jednocześnie dokładają wszelkich starań, aby same były tej szlachetności pozbawione. Drugim czynnikiem jest nowa przyjemność, jaką dają nam urządzenia

mechaniczne i zadziwiająco sprytny sposób, w jaki potrafimy przy ich pomocy wprowadzać zmiany na ziemi. Oba te motywy niebardzo przemawiają do samego robotnika. Jeśli go spytamy, co uważa za najlepszą część swego życia, bardzo wątpliwe jest byśmy usłyszeli odpowiedź: „Lubię pracę fizyczną, ponieważ daje mi poczucie, że spełniam najszlachetniejsze zadanie człowieka i ponieważ sprawia mi przyjemność myśleć o tem, jak dalece człowiek może zmienić planetę, na której żyje. Ciało moje wymaga wprawdzie pewnych okresów odpoczynku, które staram się możliwie najlepiej wypełnić; ale najszczęśliwszy jestem, gdy nadchodzi ranek i mogę znów powrócić do trudów, dających mi najwyższe zadowolenie”. Nie słyszałem nigdy robotnika, któryby wypowiadał się w tym duchu. Robotnicy traktują pracę tak, jak powinna być traktowana – jako niezbędny środek zdobycia utrzymania; wszelkie zaś zadowolenie, jakie mają w życiu, dają im ich wolne godziny.

Powie ktoś, że chociaż wolny czas w niewielkiej ilości jest rzeczą przyjemną, ludzie nie wiedzieliby jak zappełnić dzień, gdyby pracowali tylko cztery godziny na dobę. Do pewnego stopnia jest to prawda i stanowi potępienie naszej cywilizacji; nie można byłoby powiedzieć tego o okresach dawniej-

szych. Ludzie posiadali dawniej zdolność do bez-
troskiej zabawy, którą w pewnym stopniu zahamo-
wał dzisiejszy kult sprawności i skuteczności. Czło-
wiek dzisiejszy sądzi, że każda czynność musi mieć
jakiś cel poza nią, że nie powinniśmy jej wykony-
wać dla niej samej. Ludzie serjo potępiają naprzy-
kład wciąż zwyczaj chodzenia do kina, twierdząc
że zwyczaj ten popycha młodzież do występku.
Wszelka natomiast praca, składająca się na pro-
dukcję kinową, traktowana jest z szacunkiem, po-
nieważ jest to praca i ponieważ przynosi dochody
pieniężne. Pogląd, że na szacunek zasługuje działal-
ność, która przynosi dochód, doprowadził do zu-
pełnego pomieszania pojęć. Rzeźnik, dostarczający
nam mięsa i piekarz, dostarczający bułek są czi-
godnymi obywatelami, ponieważ w ten sposób za-
rabiają pieniądze; my jednak – jeśli jedzenie spra-
wia nam przyjemność – jesteśmy ludźmi niepoważ-
nymi, chyba że jemy wyłącznie poto, aby nabrać sił
do pracy. Naogół mówiąc, zarabianie pieniędzy u-
waża się za rzecz dobrą, a wydawanie ich – za złą.
Ponieważ chodzi tu o tę samą czynność, oglądaną
jedynie z innej strony, jest to oczywisty absurd; w
ten sposób możnaby było uważać klucz za rzecz po-
żyteczną, a dziurkę od klucza – za szkodliwą. Wszel-
ki pożytek, jaki może być związany z produkowa-

niem dóbr, musi w ostatecznym wyniku sprowadzać się do korzyści, jaką daje ich konsumowanie. W ustroju naszym człowiek pracuje dla zysku; ale społeczny sens jego pracy sprowadza się do tego, co wzamian za swoją pracę konsumuje. Ten właśnie rozdźwięk między indywidualnym i społecznym motywem produkcji zaciemnia ludziom istotny stan rzeczy w ustroju, w którym bodźcem do pracy jest zysk. Za dużo myślimy o produkcji, a za mało o konsumcji. W rezultacie przywiązujemy za małą wagę do zwykłego zadowolenia i szczęścia, a produkcji nie traktujemy tak jak powinniśmy – z punktu widzenia przyjemności, jaką daje konsumentowi.

Gdy wypowiadam pogląd, że liczba godzin pracy powinna być zredukowana do czterech dziennie, nie chcę przez to twierdzić, że wszystkie pozostałe godziny powinny być spędzane w sposób zupełnie niepoważny. Twierdzę tylko, że czterogodzinny dzień pracy powinien zapewniać człowiekowi niezbędne utrzymanie i elementarne wygody życiowe, pozostałym zaś czasem każdy powinien dysponować wedle swego uznania. Istotną cechą wszelkiego ustroju społecznego tego rodzaju byłoby rozszerzenie zakresu oświaty powszechnej w porównaniu z jej zakresem dzisiejszym, przyczem jednym z zadań wy-

kształcenia byłoby budzenie zamięłowań, pozwalających na inteligentne wyzyskanie wolnego czasu. Nie mam tu na myśli przedewszystkiem jakichś zajęć szczególnie intelektualnych. Obyczaj tańców ludowych utrzymał się już tylko w oddalonych okolicach wiejskich; ale impulsy, które kazały obyczaj ten kultywować, muszą w dalszym ciągu istnieć w naturze ludzkiej. Jeśli chodzi o ludność miast – rozrywki jej mają dziś przeważnie charakter przyjemności biernych: chodzenie do kina, przypatrywanie się zawodom futbolowym, słuchanie radja i t. p. Jest tak dlatego, że aktywna energja mieszkańców miasta pochłonięta jest całkowicie przez pracę: gdyby mieli więcej wolnego czasu, powróciłyby im ochota do przyjemności, w których odgrywaliby rolę czynną.

W epokach dawniejszych istniała nieliczna klasa próżnująca i liczna klasa pracowników. Klasa próżnująca korzystała z przywilejów, które z punktu widzenia sprawiedliwości społecznej nie miały żadnego uzasadnienia: to zmuszało ją do opierania się na przemocy, ograniczało jej horyzonty i skłaniało do wynajdywania teoryj, które usprawiedliwiały jej panowanie. Wszystkie te czynniki działały bardzo demoralizująco; ale mimo ich wpływu ta właśnie klasa wytworzyła niemal wszystko, co na-

zywamy cywilizacją. Ona kultywowała sztuki piękne i stworzyła naukę; ona pisała książki, budowała systemy filozoficzne i wysubtelniała stosunki między ludźmi. Nawet jeśli chodziło o emancypację klas uciskanych, pierwsza inicjatywa wychodziła zwykle od owej klasy panującej. Bez niej świat nie wyszedłby nigdy ze stanu barbarzyństwa.

Istnienie jednak dziedzicznej warstwy próżnującej i pozbawionej obowiązków prowadziło do niesłychanego marnotrawstwa. Nikogo z należących do tej klasy nie uczono zajmowania się czemkolwiek, i klasa jako całość nie odznaczała się bynajmniej szczególną inteligencją. Mogła dać światu jednego Darwina, ale jako przeciwwagę dawała także dziesiątki tysięcy obywateli ziemskich, którzy przez całe życie nie myśleli o niczem poważniejszym, niż polowanie na lisa i nakładanie kar na kłusowników. Dzisiaj – uniwersytety mają dbać w sposób bardziej systematyczny o to, co klasy próżnujące wytwarzały ubocznie i w sposób przypadkowy. Jest to wielki krok naprzód, ma jednak swoje złe strony. Życie w uniwersytecie jest tak różne od życia poza jego murami, że ludzie przebywający w środowisku uniwersyteckiem przeważnie nie znają i nie rozumieją trosk i kłopotów zwykłego śmiertelnika; ponadto wypowiadają się zwykle językiem, który po-

zbawia ich poglądy należytego wpływu. Niekorzystny również jest fakt, że studja uniwersyteckie są w pewien sposób zorganizowane i wobec tego człowiek, myślący o jakiejś oryginalnej dziedzinie badań, będzie niejednokrotnie zniechęcany. Z tych względów uczelnie wyższe i instytucje naukowe nie stoją w należyty sposób na straży interesów cywilizacji – a poza murami uczelni wszyscy są zbyt zajęci, by móc poświęcać się czemkolwiek, co nie ma charakteru czysto użytecznego.

Gdy nikt nie będzie musiał pracować więcej niż cztery godziny na dobę, każdy kogo pociąga w jakimś kierunku ciekawość naukowa będzie ją mógł zaspokoić, i każdy malarz będzie mógł malować, nie przymierając głodem – choćby nawet malował rzeczy doskonałe. Młodzi pisarze nie będą potrzebowali zwracać na siebie uwagę sensacyjnymi bombami, aby tą drogą zyskać niezależność materialną, potrzebną do napisania monumentalnego dzieła – i osiągać tę niezależność wreszcie wtedy, gdy odeszła już do tych planów ochota i wyczerpały się zdolności. Ludzie, którzy w trakcie swojej pracy zawodowej zainteresują się jakąś dziedziną gospodarczą czy społeczną, będą mogli rozwinąć swoje pomysły, nie popadając w akademicką abstrakcyjność, która pracom ekonomistów oficjalnych nadaje często

charakter rozważań oderwanych od rzeczywistości. Lekarze będą mieli czas zaznajamiać się z postępkami medycyny; nauczyciele nie będą czynić rozpaczliwych wysiłków, aby przy pomocy tradycyjnych metod nauczać rzeczy, których sami nauczyli się w młodości, a które tymczasem mogły już okazać się całkiem fałszywe.

Nadewszystko zaś – ludzie odczuwać będą zadowolenie i radość życia zamiast dzisiejszych rozstrojonych nerwów, zmęczenia i złej przemiany materji. Będą pracowali dość na to, aby odpoczynek był przyjemnością, ale nie tyle, aby praca prowadziła do wyczerpania. Ponieważ w czasie swobodnym nie będą odczuwali zmęczenia, będą pragnąć nietylko przyjemności biernych i chwilowych. Conajmniej 10/10 poświęci prawdopodobnie czas, wolny od pracy zawodowej, jakimś zajęciom, mającym ogólniejszą wartość społeczną – a ponieważ od zajęć tych nie będą zależni zarobkowo, ten moment nie zahamuje ich oryginalności i nie zmusi do trzymania się wzorów, ustalonych przez autorytety. Ale korzyści wolnego czasu nie ograniczą się tylko do tych wypadków wyjątkowych. W warunkach, umożliwiających życie szczęśliwe, zwykli ludzie staną się lepsi, mniej skłonni do prześladowania innych i mniej wobec innych podejrzliwi. Zaniknie pociąg

do wojny – częściowo z tych właśnie względów, a częściowo dlatego, że wojna wymagałaby od wszystkich długiej i ciężkiej pracy. Cechą charakteru, której świat potrzebuje najwięcej, jest pogoda ducha; ale pogoda ducha rodzi się z poczucia spokoju i bezpieczeństwa, a nie z życia, które jest nieustanną, wyczerpującą walką. Nowoczesne metody produkcji dały nam możliwość zapewnienia spokoju i bezpieczeństwa wszystkim; zamiast tego wolimy, aby jedni pracowali nadmiernie, a inni wegetowali w nędzy. Chcemy w dalszym ciągu przejawiać tyle energii, ile przejawialiśmy, gdy nie istniały maszyny; dotąd nie okazaliśmy w tym względzie rozumu – ale to nie powód, abyśmy kiedyś wreszcie nie mieli go okazać.

NOWOCZESNY MIDAS

Znana jest historia o królu Midasie, który odczuwał niezwykle pociąg do złota i którego bogowie obdarzyli szczególną władzą – że wszystko, czego się dotknął, w złoto się zamieniało. Zrazu władza ta wprawiała króla w zachwyt; gdy jednak potrawy które spożywał zamieniały się w twarde metal, zanim zdążył je przełknąć – zafrasował się bardzo; a kiedy córka którą pocałował zamieniła się w złoty posąg – ogarnęło go przerażenie, i zaczął prosić bogów, aby odebrali sobie z powrotem swój podarunek. Od tej chwili zrozumiał, że złoto nie jest jedynym przedmiotem, mającym wartość.

Prosta to historia, ale przyswojenie sobie jej morału przychodzi światu z wielką trudnością. Gdy w szesnastym wieku złoto Peru wpadło w ręce Hiszpanów, pragnęli koniecznie zachować je dla siebie, i starali się wszelkimi sposobami nie dopuszczać do wywozu drogiego metalu. W rezultacie złoto podniosło tylko ceny w posiadłościach hiszpańskich,

które jednak nie stały się ani trochę zasobniejsze w rzeczywiście dobra. Człowiekowi może dawać satysfakcję dumne poczucie, że ma dwa razy więcej pieniędzy niż miał przedtem, ale jeżeli za każdego dukata nabyć może tylko połowę tego, co przedtem nabywał – zysk jego jest czysto metafizyczny: nie daje mu bowiem więcej jadła ani napoju, lepszego mieszkania ani żadnej wogóle konkretnej korzyści. Anglicy i Holendrzy, mniej potężni od Hiszpanów, umieli zadowolić się terenami, stanowiącemi dziś wschodnią część Stanów Zjednoczonych, a wówczas pogardzanemi, ponieważ nie zawierały złota. Jako źródło bogactwa jednak rejony te okazały się nie-skończenie bardziej wartościowe od złotodajnych części Nowego Świata, których wszystkie państwa pożądały w czasach królowej Elżbiety.

Jako stwierdzenie pewnego faktu historycznego, stało się to obecnie truizmem; ale zastosowanie tego truizmu do zagadnień dzisiejszych przekracza jak się zdaje zdolności umysłowe współczesnych rządów. W traktowaniu zagadnień ekonomicznych panował zawsze wielki zamęt; dziś jednak zamęt ten jest większy, niż był kiedykolwiek. Przebieg wydarzeń po wojnie był pod tym względem tak absurdalny, że trudno wprost uwierzyć iż rządy składały się z dorosłych ludzi, nie przebywających w szpitalach

dla warjatów. Rządy państw koalicji chciały ukarać Niemcy, a tradycyjnym sposobem ukarania było nałożenie kontrybucji: nałożyły więc na Niemcy kontrybucję. Jak dotąd – wszystko w porządku. Ale suma jakiej zażądały była bez porównania większa, niż całe złoto znajdujące się w posiadaniu Niemiec, a nawet w posiadaniu całego świata. Było więc niemożliwością arytmetyczną, aby Niemcy zapłaciły inaczej, jak towarami: mogły tylko zapłacić towarami albo nie zapłacić wcale.

Tu rządy przypomniały sobie nagle, że przywykły mierzyć dobrobyt danego kraju nadwyżką jego wywozu nad przywozem. Gdy kraj wywozi więcej niż przywozi, mówi się że ma dodatni bilans handlowy; w przeciwnym wypadku bilans nazywa się ujemnym. Ale nałożywszy na Niemcy odszkodowanie, którego te nie mogły spłacić złotem, państwa koalicji zdecydowały tem samem, że w handlu między nimi a Niemcami Niemcy mają mieć bilans handlowy dodatni, a one ujemny. Ku swemu przerażeniu rządy koalicji stwierdziły, że wbrew woli uskuteczniają coś, co w ich przekonaniu jest dla Niemiec dobrodziejstwem – mianowicie powodują wzrost niemieckiego eksportu. Tę tezę ogólną poparto jeszcze argumentami bardziej szczegółowemi. Niemcy nie produkują niczego, co nie byłoby również wytwa-

rzane w państwach Koalicji; groźbę konkurencji niemieckiej uznano powszechnie za rzecz niedopuszczalną. Anglja nie chciała niemieckiego węgla, gdy własne jej kopalnie znajdowały się w depresji; Francja nie chciała niemieckiego żelaza i stali, starając się o wzmożenie własnej produkcji hutniczej przy pomocy rudy z nowoprzyłączonej Lotaryngji; i t. p. Tak więc państwa Koalicji, zdecydowane ukarać Niemcy przez zmuszenie ich do płacenia, były niemniej zdecydowane nie pozwolić im dokonać zapłaty w jakiegokolwiek konkretnej postaci.

W tej absurdalnej sytuacji wynaleziono odpowiednio absurdalne rozwiązanie. Postanowiono mianowicie pożyczyć Niemcom sumy, które miały one zapłacić. Państwa koalicyjne oświadczyły w gruncie rzeczy Niemcom: „Nie możemy darować wam odszkodowania, ponieważ jest ono słuszną karą za wasze winy; z drugiej strony, nie możemy również pozwolić abyście je zapłacili, gdyż to zrujnowałoby nasz przemysł; wobec tego pożyczymy wam pieniądze, a wy wtedy zapłacicie nam to, coście od nas pożyczycie. W ten sposób uratujemy zasadę bez szkody dla siebie. Co się zaś tyczy szkody dla was – mamy nadzieję, że zostanie tylko odłożona na później”.

Ale takie rozwiązanie mogło być oczywiście tylko chwilowe. Nabywcy obligacyj pożyczek niemieckich

chcieli otrzymywać swoje odsetki, a z zapłatą odsetek łączył się ten sam dylemat, co z zapłatą odszkodowania. Niemcy nie mogły płacić ich w złocie, a państwa koalicyjne nie chciały przyjmować ich w towarach. Wobec tego trzeba było pożyczać im pieniądze na spłatę odsetek. Było rzeczą oczywistą, że prędzej czy później ludziom znudzi się ta zabawa. Kiedy ludziom odchodzi ochota pożyczania pieniędzy jakiemuś krajowi, który nic im wzamian za to nie daje, mówi się że pozycja kredytowa tego kraju jest słaba. Gdy zaś to następuje, wierzyciele zaczynają domagać się zwrotu całych pożyczonych sum. Ale, jak widzieliśmy, tego Niemcy uczynić nie mogli. Zaczęły się bankructwa – z początku firm niemieckich, potem tych którym owe firmy niemieckie winne były pieniądze, i tak dalej. W rezultacie – powszechna depresja, nędza, głód, ruina i cały korowód katastrof, jakie nawiedziły świat.

Nie mam zamiaru twierdzić, że sprawa odszkodowań niemieckich była jedyną przyczyną naszych nieszczęść. Przyczyniło się do nich zadłużenie państw Koalicji w Ameryce, a w mniejszym stopniu – wszystkie wogóle zaciągnięte długi, publiczne i prywatne, gdy tylko między wierzycielem i dłużnikiem wzniosły się wysokie mury celne, utrudniające zapłatę w towarach. Sprawa odszkodowań nie-

mieckich, nie będąc bynajmniej jedyną przyczyną załamania, jest jednak najlepszym przykładem panującego pomieszania pojęć, które w ogromnym stopniu utrudnia znalezienie wyjścia z sytuacji.

Sprowadza się to do pomieszania punktów widzenia konsumenta i producenta – ściślej mówiąc, producenta w ustroju opartym na współzawodnictwie. Kiedy nałożono na Niemcy obowiązek zapłacenia odszkodowania, aljanci występowali jako konsumenci: uważali że dobrze będzie, jeśli Niemcy pracować będą dla nich jako chwilowi niewolnicy, oni zaś – nie pracując – konsumować będą wytwory pracy Niemców. Potem jednak, po zawarciu Pokoju Wersalskiego, państwa Koalicji przypomniały sobie nagle, że są także producentami, i że wwóz towarów niemieckich, jakiego się domagały, zrujnuje ich przemysł. To odkrycie wprawilo je w osłupienie; zaczęły więc drapać się w głowę, ale to nie pomogło, nawet gdy czyniły to wszystkie razem i nazywały Konferencją Międzynarodową. Oczywistym faktem jest, że klasy rządzące całego świata są zbyt nieoświecone i nierozgarnięte, aby mogły przemyśleć tego rodzaju zagadnienie, a jednocześnie zbyt zarozumiałe, aby zwrócić się o radę do tych, którzy mogliby im pomóc.

Aby sobie to zagadnienie uprościć, przypuśćmy

że któreś z państw Koalicji składało się z jednego jedynego obywatela – Robinsona Crusoe, zamieszkującego bezludną wyspę. Niemcy, na zasadzie Traktatu Wersalskiego, obowiązane były dostarczyć owemu Robinsonowi wszystkiego czego potrzebował zadarmo. Ale Robinson – gdyby miał się zachowywać tak, jak zachowały się te państwa – odpowiedziałby: „Nie, nie przywoźcie mi węgla, bo to zrujnuje mój przemysł ścinania drzew; nie przywoźcie mi chleba, gdyż to zrujnuje moje rolnictwo i mój pomysłowy, choć prymitywny, kamień młyński; nie przywoźcie mi ubrania, ponieważ posiadam zaczątki przemysłu, wytwarzającego odzież ze skór dzikich zwierząt. Nie mam nic przeciw temu, jeśli przywieziecie mi złoto, to bowiem nie może mi zaszkodzić: schowam je w jaskini i nie będę zeń robił żadnego absolutnie użytku. Ale pod żadnym warunkiem nie przyjmę zapłaty w postaci czegoś, z czego mógłbym mieć jakiś pożytek”. Gdyby nasz Robinson Crusoe tak powiedział, pomyślelibyśmy że samotność odebrała mu rozum. Ale dokładnie to właśnie odpowiadały wszystkie główne państwa Niemcom. Kiedy obłęd opanowuje cały naród, a nie jednostkę, uważa się że naród ten wykazuje zadziwiającą przenikliwość gospodarczą.

Jedyną istotną różnicą między Robinsonem Cru-

soe i całym narodem jest to, że Robinson – w przeciwieństwie do narodu – stara się zorganizować swoje życie z jakimś sensem. Jeżeli pojedynczy człowiek dostaje zadarmo ubranie, nie będzie tracił czasu, żeby je sobie samemu robić. Narody natomiast uważają, że muszą same produkować wszystko czego potrzebują, chyba że istnieją jakieś przeszkody naturalne – np. klimat. Gdyby narody kierowały się rozsądkiem, ustalałyby na konferencjach międzynarodowych, co który ma wytwarzać i nie dążyłyby wcale do tego, aby wytwarzać wszystko, jak nie dąży do tego żaden człowiek pojedynczy. Nikt przecież nie chce robić sobie sam ubrania i butów, produkować samemu pożywienia ani budować domu; każdy wie dobrze, że musiałby wtedy zaspokajać swoje potrzeby w sposób bardzo niedostateczny. Ale narody nie rozumiały jeszcze zasady podziału pracy. Gdyby ją rozumiały, pozwoliłyby Niemcom płacić pewnymi określonymi towarami, które same przestałyby wytwarzać. Ludzi, pozbawionych naskutek tego pracy, można było na koszt publiczny nauczyć innego zawodu. Ale to wymagałoby organizacji produkcji, tej zaś sprzeciwia się ortodoksja „sfer gospodarczych”.

Przesady związane ze złotem są szczególnie uporczywe – i to nie tylko wśród ludzi, którym przynoszą

korzyści, ale również wśród tych, na których sprowadzają katastrofy. W r. 1931, kiedy finansisci francuscy zmusili Anglję do porzucenia parytetu złota, sądzili że szkodzą w ten sposób interesom Anglji, i większość Anglików zgadzała się z nimi pod tym względem. W całym kraju odczuto ten fakt, jako upokorzenie dumy narodowej. A przecież porzucenia parytetu złota domagali się w Anglji już oddawna najlepsi ekonomiści; bieg wypadków wykazał, że mieli rację. Ignorancja kierowniczych sfer bankowych jest w tych sprawach tak kompletna, że trzeba było siłą zmusić rząd angielski do zrobienia tego, co leżało wyraźnie w interesie Anglji – a finansjera francuska, kierując się niechęcią wobec Anglji, działała właśnie w jej interesach.

Ze wszystkich rzekomo pożytecznych zajęć najbardziej niemal bezsensownem jest wydobywanie złota. Wykopuje się je z ziemi w Południowej Afryce i przesyła – z zachowaniem niesłychanych ostrożności w obawie kradzieży albo wypadku – do Londynu, Paryża lub New Yorku, gdzie zostaje znów ukryte pod ziemią w skarbcach bankowych. Z tem samem powodzeniem możnaby je pozostawiać w ziemi w Afryce. Zapasy złota w bankach przynosiły może jakiś pożytek, dopóki uważano, że w potrzebie można ich użyć; z chwilą jednak przyjęcia

zasady, że nie mogą one w żadnym wypadku spaść poniżej pewnego minimum – mogłyby równie dobrze przestać istnieć. Gdy powiadam sobie, że odkładam 100 funtów na czarną godzinę – ma to jakiś sens, jeśli jednak postanawiam nie ruszać ich nigdy, nawet w najgorszej nędzy – owe 100 funtów przestają w gruncie rzeczy do mnie należeć, i mogłem z równym skutkiem je wydać. Zupełnie to samo dotyczy zapasów złota w bankach, jeżeli w żadnej sytuacji nie mają być naruszone. Jest to wogóle całkiem barbarzyński przeżytek, że kredyt narodowy oparty jest choćby częściowo na posiadanych zapasach złota. W transakcjach prywatnych w obrębie granic państwa złoto wyszło już z użycia. Przed wojną dokonywano nim jeszcze wypłat na mniejsze sumy, ale pokolenie powojenne nie wie już prawie, jak wygląda złota moneta. Mimo to uważa się wciąż jeszcze, że dzięki jakiejś tajemniczej sztuczce gwarancją bezpieczeństwa finansowego wszystkich obywateli jest złoto, przechowywane w banku emisyjnym. W czasie wojny, gdy wobec niebezpieczeństwa ze strony łodzi podwodnych bano się przewozić złoto, fikcja posunięta została jeszcze dalej. Przyjmowano mianowicie, że część złota wydobytego w Afryce Południowej znajduje się w Stanach Zjednoczonych, część w Anglii, część we Francji – faktycznie jed-

nak całe złoto pozostawało w Afryce. Dlaczego nie posunąć fikcji jeszcze o krok dalej i nie uznawać za wydobyte złota, pozostawionego spokojnie w ziemi?

Teoretycznie zaletą złota ma być to, że obowiązek jego gromadzenia stanowi rękojmię przeciw nadużyciom rządów. Tak byłoby istotnie, gdyby istniał jakiś sposób zmuszania rządów do utrzymywania parytetu złota w momencie kryzysu; w rzeczywistości jednak rządy porzucają ten parytet, ilekroć jest to dla nich wygodne. Wszystkie państwa europejskie, które brały udział w wojnie, przeprowadziły potem dewaluację pieniądza i w ten sposób nie zapłaciły części swoich długów. Niemcy i Austria zlikwidowały tą drogą całe swoje zadłużenie wewnętrzne. Francja zredukowała wartość franka do jednej piątej jego dawnej wartości, przekreślając w ten sposób cztery piąte wszystkich długów państwowych, zaciągniętych we frankach. Obecna wartość funta w złocie stanowi tylko około trzech czwartych jego dawnej wartości. Rosja oświadczyła wprost, że nie będzie płacić długów, ale takie postawienie sprawy uznano za niedopuszczalne: odmowa spłaty zobowiązań wymaga zachowania pewnej etykiety.

Faktem jest że rządy – tak samo jak poszczególne jednostki – płacą długi, gdy leży to w ich interesie, ale nigdy w innym wypadku. Gwarancja czysto le-

galna, jaką jest obowiązek utrzymania parytetu złota, zawodzi w momentach krytycznych, a w pozostałych okresach jest bezcelowa. Człowiek prywatny uważa że uczciwość opłaca mu się, dopóki ma zamiar i możność zaciągania długów w dalszym ciągu; kiedy jednak wyczerpie już swój kredyt, korzystniejsze jest dlań ogłoszenie niewypłacalności. Rząd znajduje się w innej sytuacji w stosunku do swoich własnych obywateli, a w innej w stosunku do pozostałych rządów. Obywatele są na jego łasce i niełasce, i wobec tego w stosunku do nich nie ma żadnego powodu do uczciwości, poza chęcią zaciągania nowych pożyczek. Kiedy nadchodzi moment – jak w Niemczech po wojnie – że na zaciąganie dalszych pożyczek wewnętrznych nie można już liczyć, opłaca się rządowi sprowadzić wartość pieniądza do zera, i w ten sposób pozbyć się całego długu wewnętrznego. Ale z długiem zewnętrznym sprawa wygląda inaczej. Gdy Rosja odmówiła spłaty pożyczek, zaciągniętych w innych krajach, naraziła się na wojnę z całym niemal światem i na gwałtowną wrogą propagandę. Większość państw nie może sobie pozwolić na tego rodzaju następstwa, i wobec tego musi być ostrożna z długami zewnętrznymi. Wyłącznie ten wzgląd, a nie parytet złota, zabezpiecza w pewnym stopniu pieniądze, pożyczane rzą-

dowi. Jest to rękojmia dość słaba, ale niema sposobu na wzmocnienie jej, dopóki nie istnieje rząd międzynarodowy.

Nie zdajemy sobie wogóle sprawy z tego, do jakiego stopnia na zawierane transakcje gospodarcze wpływają groźby użycia sił zbrojnych. Zdobywanie majątków przez jednostki zależy w pewnym stopniu od ich sprytu w interesach, ale spryt ten może znaleźć zastosowanie jedynie na gruncie pewnego systemu politycznego, podtrzymywanego przez siłę zbrojną. Przy pomocy tej siły Holendrzy odebrali New York Indjanom, Anglicy Holendrom i Amerykanie Anglikom. Gdy źródła nafty znaleziono w Stanach Zjednoczonych, stały się one własnością obywateli amerykańskich; gdy jednak źródła takie odkryte zostają w jakimś mniej potężnym kraju, obejmują je wkrótce w posiadanie – prawnie lub bezprawnie – obywatele jednego z wielkich mocarstw. Sposób przeprowadzenia całej transakcji nie przedostaje się zwykle do wiadomości publicznej; czynnikiem jednak, który decyduje ostatecznie o wyniku, jest ukryta ale zawsze potencjalnie istniejąca groźba wojny.

Podobnie jak z naftą, ma się rzecz z pieniędzem i z zaciąganiem długami. Gdy rząd uważa dewaluację albo odmowę płacenia długów za rzecz dla sie-

bie korzystną – nie cofa się przed takimi posunięciami. Są coprawda narody, podnoszące wielki hałas na temat moralnego obowiązku płacenia zobowiązań – ale są to narody wierzycielskie. Jeśli narody dłużnicze słuchają ich wezwań – czynią to ze względu na siłę wierzycieli, a nie dlatego, aby były przekonane ich argumentami natury etycznej. Wobec tego istnieje jeden tylko sposób wprowadzenia stałej waluty – mianowicie utworzenie, faktycznie jeśli nie formalnie, jedynego rządu wszechświatowego, rozporządzającego jedyną realną siłą zbrojną. Taki rząd byłby zainteresowany w stabilizacji pieniądza i mógłby wprowadzić walutę o stałej sile nabywczej (opartej na pewnej przeciętnej cen różnych towarów). Tylko taka waluta byłaby istotnie walutą stałą; złoto tej prawdziwej stałości bynajmniej nie posiada, a ponadto oddzielne suwerenne państwa nigdy nie zgodzą się na obowiązek utrzymywania parytetu złota w chwilach krytycznych. Tak więc twierdzenie, że złoto stanowi rękojmię stałości waluty, jest fałszywe z każdego punktu widzenia.

Ludzie, uważający się za trzeźwych realistów, zapewniali mnie niejednokrotnie że zasadniczym motywem postępowania człowieka interesów jest chęć bogacenia się. Obserwacja jednak przekonała

mnie, że moi informatorzy byli bardzo dalecy od realizmu – że byli to w gruncie rzeczy sentymentalni idealisci, całkowicie ślepi na najoczywistsze fakty otaczającego świata. Gdyby ludzie interesów rzeczywiście chcieli się bogacić bardziej, niż chcą utrzymywać innych w biedzie – świat stałby się rajem w bardzo krótkim czasie. Doskonale to widać na przykładzie ustroju pieniężnego i bankowości. Stała waluta i łatwy kredyt odpowiadają niewątpliwie interesem „sfer gospodarczych”, jako całości. Aby jednak te postulaty mogły być spełnione, na świecie musiałby oczywiście istnieć tylko jeden bank emisyjny i tylko jeden pieniądz – pieniądz papierowy, którego siła nabywcza byłaby regulowana tak, aby wykazywała możliwie jaknajmniejsze wahania. Pieniądz taki nie potrzebowałby się opierać na żadnych zapasach złota; wystarczałby kredyt rządu międzynarodowego, którego organem finansowym byłby ów jedyny bank emisyjny. Wszystko to jest oczywiste i zrozumiałe nawet dla dziecka; a jednak ludzie interesów niczego podobnego nie propagują. Dlaczego? – Ponieważ są nacjonalistami, innemi słowy – ponieważ bardziej zależy im na tem, aby nie bogacili się cudzoziemcy, niż na tem aby bogacili się oni sami. Inną przyczyną jest swoista „psychologia producenta”. Wydaje się truizmem, że

jedyny pożytek pieniądza polega na możliwości wymienia go na konkretne dobra; a jednak niewiele jest ludzi, którzy uznają tę tezę nie tylko rozumowo, ale i uczuciowo. W każdej niemal transakcji sprzedawca jest zadowolony bardziej, niż nabywca. Kiedy namyślałam się nad kupnem pary butów, poddany zostaje działaniu całego aparatu, noszącego nazwę „sztuki sprzedawania”, i sprzedawca czuje się po dokonanej transakcji, jakgdyby odniósł nademną małe zwycięstwo. Ja natomiast nie powiem sobie: „Jak to dobrze że się pozbyłem tych brudnych świstków, którymi nie mogłem się najeść ani przyodziać, a zamiast nich mam taką ładną parę butów!” To co kupujemy wydaje nam się mniej ważne od tego, czego się przytem wyzbywamy. Wyjątek stanowią tylko wypadki nabywania przedmiotów, których podaż jest ograniczona. Kupujący obraz starego mistrza jest bardziej zadowolony, niż sprzedawca; ale gdy stary mistrz żył, sprawiało mu niewątpliwie większą przyjemność sprzedawanie obrazów, niż jego mecenasom – kupowanie ich. Ostatecznym motywem psychologicznym, dla którego wolimy sprzedawać niż kupować jest to, że bardziej cenimy władzę niż przyjemność. Nie jest to cecha powszechna: istnieją ludzie lekkomyślni, chwalcący sobie życie krótkie ale wesołe; nie jest

są pracującą, stanowiący podstawę podziału społeczeństwa na partje polityczne od zakończenia wojny, spowodował że przemysłowcy stali się niezdolni do zrozumienia zagadnień pieniężnych. Ponieważ finansjera reprezentuje bogactwo, wszyscy ludzie bogaci skłonni są iść za głosem bankierów i finansistów. W gruncie rzeczy jednak interesy bankierów sprzeczne były z interesami przemysłowców: dla bankierów korzystna była deflacja, paraliżująca przemysł angielski. Nie ulega dla mnie wątpliwości, że gdyby klasa pracująca nie posiadała prawa głosu, powojenne życie polityczne Anglii wypełniałaby zajadła walka między finansistami i przemysłowcami. W istniejącym jednak stanie rzeczy finansisci i przemysłowcy sprzymierzyli się do walki z klasą robotniczą; przemysłowcy popierali finansistów – i kraj znalazł się na krawędzi ruiny. Uratował nas tylko fakt, że finansisci pokonani zostali przez Francuzów. Nietylko w Anglii, lecz na całym świecie interesy finansjery były w ostatnich latach sprzeczne z interesami szerokich mas ludności. Mała jest nadzieja, aby ten stan rzeczy poprawił się bez interwencji ze strony państwa. Społeczeństwo dzisiejsze nie może liczyć na dobrobyt, jeśli jego sprawy finansowe prowadzone są wyłącznie w interesach finansistów, a nie w interesach pozostałej ludności.

Jest rzeczą nierozsądną pozostawić całkowitą swobodę działania finansjerze, mającej na widoku jedynie swoje własne zyski. Równie dobrze możnaby pozwolić dyrektorowi muzeum na prowadzenie tej instytucji z punktu widzenia jego zysków i na sprzedawanie eksponatów muzealnych, ilekroć ofiarowywanoby mu za nie dobrą cenę. Istnieją sfery działalności ludzkiej, w których pozostawienie motywu osobistego zysku jest naogół korzystne z punktu widzenia ogólnego dobra – i inne dziedziny, w których tak nie jest. Dziedzina spraw finansowych – jakkolwiek było w przeszłości – należy teraz niewątpliwie do tej drugiej grupy, i z tego względu ingerencja państwa staje się tu potrzebą coraz bardziej nagłą. Koniecznością staje się traktowanie produkcji i aparatu pieniężnego razem, jako pewnej całości, i dążenie do maksymalnego zwiększenia dochodów tej całości, a nie samej tylko części finansowej. W obecnym stanie rzeczy aparat finansowy jest potężniejszy, niż przemysł, a tymczasem interesy przemysłu bardziej harmonizują z dobrem całego społeczeństwa, niż interesy kapitału finansowego. Dlatego nadmierna władza tego kapitału wpędziła dziś świat w ślepy zaułek.

Ilekroć w historii jakaś garstka uzyskiwała władzę nad masą, pomocą w uzyskaniu przez nią tej

władzy były przesady, jakim masa ulegała. Starożytni kapłani egipscy odkryli, jak przepowiadać zaćmienia które przerażały ludność; dzięki temu mogli wymuszać daniny i uzyskać władzę, jakiej w innym wypadku nie zdołaliby osiągnąć. Królów uważano za istoty boskiego pochodzenia, i ścięcie Karola I przez Cromwella uznano za świętokradztwo. W naszych czasach sytuacja finansjery opiera się na podobnej zabobonnej czci dla złota. Zwykły obywatel Niemieje z podziwu i przestachu, gdy mówi mu się o rezerwie złota, emisji banknotów, inflacji, deflacji, reflacji i podobnych rzeczach w tymże żargonie. Przekonany jest że każdy, kto może gładko rozprawiać na takie tematy, musi być bardzo mądrym człowiekiem, i nie ośmiela się prosić o wytłumaczenie tego co słyszy. Nie zdaje sobie sprawy, jak nikła jest w istocie rola złota we współczesnych transakcjach wymiennych, choć nie potrafiłby zupełnie wskazać, na czem funkcje złota według niego polegają. Ma tylko jakieś mętne poczucie, że jego państwu grozi mniej niebezpieczeństw, gdy nagromadziło dużo złota, i wobec tego cieszy się kiedy zapasy złota w banku emisyjnym rosną, a martwi – kiedy spadają.

Tego właśnie stosunku bezmyślnego podziwu ze strony szerokiego ogółu potrzebuje finansjera,

dążąca do uwolnienia się w dalszym ciągu od wszelkiej kontroli demokratycznej. Finansjera ma oczywiście i tak stanowisko bardzo uprzywilejowane, jeśli chodzi o wpływ na opinię publiczną. Rozporządzając ogromnym majątkiem, może stwarzać rozmaite fundacje przy uniwersytetach i zapewnić sobie uległość ze strony najbardziej wpływowych przedstawicieli wiedzy oficjalnej. Ponieważ stoi na czele całej plutokracji, uważana jest za warstwę kierowniczą przez wszystkich, dla których strach przed komunizmem jest dominującą troską polityczną. Posiadając w swem ręku władzę gospodarczą, może według swego uznania doprowadzać całe narody do dobrobytu albo ruiny. Wątpię jednak, czy bez pomocy rozpowszechnionego przesądu wszystkie te środki okazałyby się wystarczające. Jest faktem zastanawiającym, że mimo ogromnego znaczenia ekonomiki dla każdego człowieka, przedmiotu tego nie uczą niemal nigdzie w szkołach, a nawet w uniwersytetach zapoznaje się z nim jedynie mniejszość studentów. Ponadto, nawet ta mniejszość nie uczy się ekonomji w taki sposób, w jaki uczonoby jej, gdyby nie wchodziły tu w grę potężne interesy polityczne. Istnieją instytucje, w których nauka ekonomji wolna jest od plutokratycznego nastawienia; takich instytucyj jest jednak bardzo

mało – pozatem zaś z reguły ekonomja ujmowana jest tak, aby gloryfikowała istniejący ustroj gospodarczy. Wszystko to wydaje mi się związane z faktem, iż przesady i tajemniczość, otaczająca te sprawy, korzystne są dla posiadających władzę ekonomiczną.

W dziedzinie ustroju pieniężnego – tak samo jak w dziedzinie wojny – nieszczęściem jest, że wszyscy niemal fachowcy mają nastawienie stronnicze, sprzeczne z interesami społeczeństwa jako całości. Na konferencjach rozbrojeniowych główną przeszkodą osiągnięcia porozumienia są eksperci wojskowi. Rzecz nie polega na tem, aby byli to ludzie nieuczciwi, lecz na tem, że ich codzienne zainteresowania zawodowe nie pozwalają im spojrzeć na zagadnienie z właściwej perspektywy. Zupełnie to samo dotyczy spraw monetarnych. Mało kto zna się na nich dokładnie i we wszystkich szczegółach – z wyjątkiem ludzi, którzy na systemie obecnym robią majątki i którzy wobec tego nie mogą zajmować w tej sprawie bezstronnego stanowiska. Jeśli w tej dziedzinie ma nastąpić jakaś poprawa, demokracje świata muszą uświadomić sobie znaczenie ustroju finansowego; w tym celu trzeba będzie dążyć do uproszczenia zasad gospodarki pieniężnej tak, aby szeroki ogół mógł je rozumieć. Trzeba przy-

znać, że nie jest to sprawa łatwa – nie wierzę jednak, aby była niemożliwa. Jedną z zapór na drodze do skutecznych rządów demokratycznych jest dzisiaj złożoność otaczającego nas świata, naskutek której zwykłemu obywatelowi jest coraz trudniej wytworzyć sobie własny krytyczny pogląd na sprawy polityczne, a nawet zdecydować, która z opinii fachowców zasługuje na największe poparcie. Lekarstwem na tę chorobę jest udoskonalenie oświaty i wynalezienie metod nauczania, przy których pomocy można będzie łatwiej wyjaśnić strukturę społeczeństwa, niż to jest możliwe przy pomocy metod dziś używanych. Każdy, kto wierzy w skuteczność i celowość rządów demokracji, musi popierać tego rodzaju reformę. Ale może zwolenników demokracji już wogóle niema – poza Sjamem i bardziej oddalonymi rejonami Mongolji...

STOICYZM I ZDROWIE PSYCHICZNE

Dzięki psychologii nowoczesnej wiele zagadnień wychowawczych, które rozwiązywano dawniej (w sposób bardzo niewystarczający) przez stosowanie samej tylko dyscypliny moralnej, rozwiązuje się dzisiaj przy pomocy metod bardziej pośrednich, ale i bardziej naukowych. Dostrzec dziś można – zwłaszcza wśród słabiej zorientowanych wyznawców psychoanalizy – tendencję negowania, jakoby istniała jeszcze wogóle jakakolwiek potrzeba stoicyzmu i panowania nad sobą. Nie jestem tego zdania; w szkicu niniejszym pragnąłbym rozważyć pewną sytuację, w której postawa taka jest potrzebna, jak również pewne metody, przy których pomocy można ją wytworzyć w psychice młodzieży – wreszcie i pewne niebezpieczeństwa, których przy wytwarzaniu tej postawy trzeba unikać.

Zacznijmy od razu od najtrudniejszego i najbardziej zasadniczego z zagadnień, których rozwiązanie wymaga stoicyzmu – mianowicie zagadnienia śmier-

ci. Istnieją różne sposoby zwalczania strachu przed śmiercią. Możemy starać się ignorować ją zupełnie: nie mówić o niej nigdy po imieniu, a gdy spostrzemy że o niej myślimy – starać się odwracać myśli w innym kierunku. Taką metodę stosują ludzie-motyły Wellsa w *Maszynie Czasu*. Możemy też przyjąć metodę wręcz odwrotną, i nieustannie medytować nad krótkotrwałością życia ludzkiego – w nadziei że oswojenie ze śmiercią pozwoli nam nią pogardzać: tak postępował Karol X w swoim klasztorze po abdykacji. Pewien uczony jednego z kolegów w Cambridge posunął się nawet tak daleko, że kupił sobie trumnę i spał z nią w pokoju, a na trawnikach kolegum chwycił robaki i przecinał je łopatą na dwoje, mówiąc do nich: „No i cóż? Jeszcze mnie nie macie!” Istnieje i trzecia metoda, bardzo niedgdyś rozpowszechniona i polegająca na przekonaniu siebie i innych, że śmierć nie jest śmiercią, lecz bramą, prowadzącą do nowego i lepszego życia. Większość z nas kombinuje ze sobą te trzy metody w rozmaitych proporcjach i w ten sposób przystosowuje się do nieprzyjemnego faktu, że umieramy.

Wobec każdej jednak z tych metod istnieją obiekcje. Próba unikania w myślach tematu, który interesuje nas emocjonalnie, musi – jak wykazali freudyści w zastosowaniu do spraw seksualnych –

zakończyć się fiaskiem i wywołać rozmaite niepożądane wynaturzenia. Oczywiście, jeśli mamy do czynienia z dzieckiem – może być czasem rzeczą możliwą nie dopuszczać doń, w pierwszych latach jego życia, wszelkiej takiej wiedzy o śmierci, która musi wywierać głębsze wrażenie; czy to się jednak udaje, czy nie – to sprawa szczęścia. Jeśli dziecku umiera ojciec, brat albo siostra – niema sposobu na to, aby nie uświadomiło sobie emocjonalnie faktu śmierci. Nawet jeśli – szczęśliwym przypadkiem – dziecko z początku nie uświadamia sobie tego faktu dostatecznie żywo, nastąpi to prędzej czy później; a wówczas – jeżeli umysł nie został odpowiednio przygotowany – grozi to poważnem zakłóceniem równowagi psychicznej. Musimy więc dążyć do wytworzenia wobec śmierci postawy innej, niż poprostu ignorowanie jej.

Zwyczaj ciągłego rozmyślania o śmierci jest co najmniej równie szkodliwy. Myślenie wyłącznie o jakimś jednym przedmiocie jest wogóle rzeczą nierozsądną, zwłaszcza jeśli nie może prowadzić do żadnego czynu. Możemy oczywiście postępować tak, aby odsunąć naszą śmierć, i do pewnego stopnia każdy normalny człowiek w ten sposób postępuje; nie możemy jednak nie dopuścić do niej wogóle – a wobec tego rozmyślania na ten temat są bezce-

lowe. Ponadto, medytacje takie osłabiają w człowieku zainteresowanie innymi ludźmi i zjawiskami – a zdrowie psychiczne utrzymać można tylko przy pomocy zainteresowań obiektywnych. Obawa śmierci wytwarza w człowieku poczucie, że jest niewolnikiem jakichś sił zewnętrznych, a od psychiki niewolnika niczego pożytecznego spodziewać się nie można. Gdyby człowiek wyleczył się naprawdę przy pomocy rozmyślań z obawy śmierci, przestałby rozmyślać na ten temat; dopóki temat absorbuje jego myśli – dowodzi to, że obawa go nie opuściła. Ta metoda nie jest więc lepsza od poprzedniej.

Wiara że śmierć jest bramą, prowadzącą do lepszego świata, powinna – logicznie biorąc – nie pozwolić ludziom bać się śmierci. Na szczęście dla lekarzy, nie ma ona w rzeczywistości takich następstw, z wyjątkiem bardzo nielicznych wypadków. Nie widzimy, aby ludzie wierzący w życie pozagrobowe bali się mniej choroby albo byli odważniejsi w bitwie od tych, dla których śmierć kończy wszystko. Nieboszczyk F. W. H. Myers lubił opowiadać, jak kiedyś zapytał sąsiada przy stole: „Co – według Pana – stanie się z Panem po śmierci?” Zapytany próbował nie odpowiadać, ale gdy pytanie zostało powtórzone, odrzekł: „Przypuszczam że osiągnę szczęśliwość wieczną – ale wolałbym, żeby Pan nie

poruszał takiego nieprzyjemnego tematu." Przyczyna tej pozornej niekonsekwencji kryje się oczywiście w tem, że w większości wypadków wiara religijna opanowała tylko świadome myśli człowieka, ale nie zdołała zmienić jego nieświadomych, automatycznych reakcyj. Jeśli obawa śmierci ma być istotnie pokonana, możemy tego dokonać jedynie przy pomocy metody, która oddziaływałaby na całą naszą psychikę, a nie tylko na tę jej część, którą nazywamy zwykle świadomą myślą. Wiara religijna może być skuteczna w pewnych rzadkich przypadkach, ale nie w zastosowaniu do większości ludzi. Poza przytoczonym już względem, fiasko jej w tym kierunku ma dwie przyczyny: jedną jest pewna doza powątpiewania, które istnieje mimo gorących wyznań wiary i znajduje swój wyraz w gniewie, jaki budzą sceptycy; drugą jest fakt, że ludzie wierzący w życie przyszłe skłonni są wyolbrzymiać raczej niż pomniejszać okropność śmierci w wypadku, gdyby ich wierzenia nie odpowiadały prawdzie – a to musi wzmacniać jeszcze obawę śmierci w ludziach, którzy nie wierzą w sposób stanowczy i absolutny.

Cóż więc możemy uczynić, jeśli chcemy przystosować młodzież do świata, w którym istnieje śmierć? Musimy przyjąć tu trzy kryteria, które bardzo trudno ze sobą pogodzić. (1) Nie powinniśmy

stwarzać w dzieciach poczucia, że na temat śmierci nie chcemy z nimi mówić ani zachęcać ich samych do myślenia. Jeśli powstanie w nich takie poczucie, uznają to za interesującą tajemnicę i będą myślały o tem jeszcze zawzięciej. W tej kwestji zastosować się daje znane rozumowanie nowoczesnych wychowawców, dotyczące wychowania seksualnego. (2) Jednocześnie musimy postępować tak, aby – o ile to możliwe – nie pozwolić naszym wychowankom zbyt często albo zbyt intensywnie myśleć o śmierci; przeciw zbyt niemu zaabsorbowaniu tą sprawą przemawiają te same względy, co przeciw zaabsorbowaniu pornografią – mianowicie osłabia ono sprawność umysłową, uniemożliwia wszechstronny rozwój i prowadzi do postępowania, szkodliwego zarówno dla danej osoby jak i dla innych. (3) Nie powinniśmy spodziewać się, że zdołamy wytworzyć w kimkolwiek odpowiednią postawę wobec śmierci, odwołując się jedynie do jego świadomej myśli; w szczególności bezwartościowe są wierzenia, które starają się przedstawić śmierć jako rzecz mniej straszną, niż się ona skądinąd wydaje – jeżeli, co jest przypadkiem normalnym, wierzenia takie nie przenikają do podświadomości.

Aby zadośćuczynić wszystkim tym kryterjom, musimy zróżniczkować nieco nasze metody postępo-

wania w zależności od indywidualnych doświadczeń danego dziecka czy młodej osoby. Jeśli z najbliższego otoczenia dziecka nikt nie umiera, przyjmie ono względnie łatwo śmierć jako fakt zwykły, mało je obchodzący uczuciowo. Dopóki śmierć jest zjawiskiem abstrakcyjnym, nie wiążącym się z wyobrażeniem żadnej osoby określonej, powinno się mówić o niej głosem suchym i rzeczowym, nie robiąc z niej niczego okropnego. Jeśli dziecko pyta: „Czy ja umrę?” – trzeba mu odpowiedzieć: „Tak, ale prawdopodobnie dopiero po bardzo długim czasie”. Jest rzeczą ważną, aby nie dopuścić do wytworzenia wokół śmierci atmosfery tajemniczości. Należy ją traktować jako zjawisko tej samej kategorii, co zwykłe zabawy. Ale jest oczywiście bardzo pożądane, aby dziecko – dopóki jest małe – traktowało ją, jako rzecz bardzo odległą.

Gdy dziecku umiera ktoś bliski, sprawa wygląda inaczej. Przypuśćmy dla przykładu, że dziecko traci brata. Dla rodziców jest to nieszczęście; i chociaż nie chcieliby może aby dziecko wiedziało, *jak dalece* są nieszczęśliwi, jest rzeczą słuszną i konieczną, aby w *pewnym stopniu* zdawało sobie sprawę z ich cierpień. Uczucie przywiązania jest rzeczą bardzo cenną, i dziecko powinno wyczuwać je w dorosłych. Ponadto, jeśli przy pomocy nadludzkich wysiłków

rodzicom uda się maskować wobec dziecka, może w niem powstać myśl, że gdyby ono umarło – nicby to ich również nie obeszło. A myśl taka może prowadzić do różnych chorobliwych zaburzeń psychicznych. Z tego względu, chociaż dziecko może odczuć boleśnie tego rodzaju wypadek (zwłaszcza gdy jest starsze – małe dziecko nie przejmie się niem zbyt-
nio), nie powinniśmy jednak starać się go zabardzo bagatelizować. Nie powinno się ani unikać tego tematu, ani specjalnie długo na nim zatrzymywać; trzeba zrobić wszystko co możliwe, aby – nie okazując zbyt-
celowych wysiłków w tym kierunku – wytworzyć w dziecku nowe zainteresowania, a przede wszystkim – nowe uczucia. Wydaje mi się, że jeśli dziecko żywi bardzo intensywne uczucie do jakiejś jednej osoby, oznacza to często, że coś jest z niem nie w porządku. Uczucie takie może rozwinąć się w stosunku do jednego z rodziców, jeśli drugie jest dla dziecka niedobre, albo w stosunku do nauczyciela, jeśli niedobre jest i jedno i drugie: źródłem takiego uczucia jest przeważnie strach, a obiektem – jedyna osoba, dająca dziecku poczucie bezpieczeństwa. Zjawisko tego rodzaju w dzieciństwie nie jest zdrowe; może doprowadzić do tego, że śmierć ukochanej osoby wstrząśnie całym życiem dziecka. Nawet jeżeli zewnętrznie rozwija

się ono normalnie, każda jego późniejsza miłość połączona będzie z uczuciem strachu. Osoba taka zadrećzać będzie swego męża (względnie żonę) i dzieci nadmierną afektacją i uważać, że są zupełnie bez serca, gdy będą poprostu żyć swoim własnym życiem. Dlatego nie trzeba się wcale cieszyć, jeżeli dziecko darzy jednego z rodziców tego rodzaju uczuciem. Jeśli dziecko jest szczęśliwe i żyje w przyjaznej dlań naogół atmosferze – zmartwienie, jakie sprawić mu może śmierć kogoś bliskiego, minie samo bez większych trudności. Sam wigor życiowy i naturalny optymizm powinien tu wystarczyć, jeśli tylko istnieją normalne warunki pomyślnego rozwoju.

W latach młodzieńczych jednak, jeśli mają to być przyjemne lata, postawa wobec śmierci musi być bardziej pozytywna. Młody człowiek powinien niewiele myśleć o śmierci, zarówno swojej jak swoich bliskich, nie dlatego, że świadomie zwraca swoją myśl ku innym tematom – gdyż próby tego rodzaju nigdy się naprawdę nie udają i są wobec tego beznadziejne – ale naskutek czynnej postawy życiowej i różnorodności zainteresowań. Skoro już myśli o śmierci, niech myśli najlepiej z pewnym stoicyzmem, całkiem świadomie i spokojnie, nie próbując bagatelizować jej znaczenia, ale odczuwając pewną

dumę z tego, że wznosi się ponad nią. Zasada jest tu taka sama, jak w każdym innym przypadku strachu: jedynym lekarstwem jest śmiała kontemplacja tego, co ów strach wywołuje. Trzeba sobie powiedzieć: „Tak, oczywiście, to może się stać, ale cóż z tego?” Ludzie osiągną taką postawę wobec śmierci, która grozi na przykład na polu bitwy, ponieważ są w tym wypadku głęboko przekonani o wadze sprawy, której poświęcili swoje życie, albo życie kogoś kto jest im drogi. Coś z tej postawy uczuciowej powinno trwać w człowieku zawsze. Człowiek powinien mieć zawsze poczucie, że żyje dla czegoś co ma istotne znaczenie, i że śmierć jego, albo jego żony czy dziecka, nie kończy wszystkiego co go na świecie interesuje. Jeżeli postawa taka ma być głęboka i szczerą w życiu późniejszym, trzeba żeby młodość przeniknięta była prawdziwym entuzjazmem i żeby młody człowiek opierał się właśnie na nim, obierając swoją karierę życiową. Młodość jest okresem szlachetnych uczuć i powinna być wyzyskana dla wytworzenia w człowieku szlachetnych przyzwyczajeń. Dokonać tego może wpływ ojca, albo nauczyciela. W lepszym ustroju społecznym rola ta przypadłaby często matce; dziś jednak kobiety, naskutek życia jakie naogół prowadzą, mają punkt widzenia zbyt osobisty i zbyt mało intelektu-

alny, aby mogły przeprowadzić to co mam na myśli. Z tych samych względów młodzież (zarówno chłopcy jak dziewczęta) powinna mieć wśród swoich nauczycieli mężczyznę, póki nie wyrosnie nowe pokolenie kobiet, mające więcej zainteresowań nieosobistych.

Znaczenie stoicyzmu w życiu było może nieco niedoceniane w ostatnich czasach, zwłaszcza przez zwolenników postępowych metod w wychowaniu. Gdy grozi nam w życiu jakiś cios, możemy zachować się w dwojaki sposób: starać się uchronić przed nim, albo postanowić sobie znieść go mężnie. Pierwsza metoda jest doskonała, dopóki odwoływanie się do niej nie jest równoznaczne z tchórzostwem; ale i druga stanie się prędzej czy później koniecznością dla każdego, kto nie chce zostać niewolnikiem strachu. Stoicyzm – to właśnie ta druga metoda. Ale zagadnienie komplikuje się bardzo tem, że wpajanie stoicyzmu młodzieży może stać się ujściem dla impulsów sadystycznych. Koncepcja dyscypliny była dawniej tak surowa, że przy pomocy wychowania pedagogzy wyładowywali swoje instynkty okrucieństwa. Czy jest rzeczą możliwą wpoić dzieciom niezbędne minimum dyscypliny, nie rozwijając w sobie jednocześnie przyjemności z zadawania im cierpień? Ludzie starego pokroju będą oczywiście

negowali, że odczuwają jakąś przyjemność tego rodzaju. Znana jest historyjka o chłopcu, którego ojciec okładał kijem, mówiąc przytem: „Chłopcze, to boli mnie więcej niż ciebie” – na co ten odrzekł: „Niech mi ojciec pozwoli w takim razie zrobić to sobie!” Samuel Butler, w *The Way of all Flesh*, opisał sadystyczne przyjemności surowych rodziców w sposób, przekonywający dla każdego nowoczesnego psychologa. Cóż więc począć z całą tą sprawą?

Obawa śmierci jest tylko jedną z wielu obaw, na które najlepszym lekarstwem jest stoicyzm: istnieje przecież obawa ubóstwa, obawa fizycznego bólu, obawa porodu, powszechna wśród kobiet. Wszystkie te obawy są słabościami, które powinny być mniej lub więcej lekceważone. Ale jeśli staniemy na stanowisku, że ludzie nie powinni zwracać na nie uwagi, będziemy również skłonni sądzić, że nie należy robić niczego, aby ulżyć ich zmartwieniom. Przez długi czas uważano, że kobiety w czasie porodu nie powinny korzystać ze środków znieczulających; w Japonji pogląd ten utrzymuje się do dzisiejszego dnia. Mężczyźni-lekarze twierdzili, że środki znieczulające są szkodliwe; pogląd ten pozbawiony był jakichkolwiek podstaw i płynął niewątpliwie z sadyzmu, którego sami sobie nie uświadamiali. Ale im bardziej udawało się łagodzić bóle porodowe,

tem niechętniej zamożne kobiety były skłonne je znosić: odwaga ich zmniejszała się szybciej, niż potrzeba odwagi w tej dziedzinie. Oczywiście trzeba tu pewnego umiaru. Nie można sprawić, aby całe życie przeszło każdemu gładko i przyjemnie, i wobec tego człowiek musi być zdolny do postawy, odpowiedniej w sytuacjach przykrych; ale musimy starać się wytworzyć w dziecku tę postawę, unikając możliwie wszystkiego, co zachęcałoby wychowawców do okrucieństwa.

Każdy kto ma do czynienia z małymi dziećmi dochodzi po krótkim czasie do przekonania, że błędem jest okazywanie im zbyt wielkiego współczucia. Zamało współczucia – to oczywiście błąd jeszcze gorszy; jak wszędzie tak i tutaj obie skrajności są niedobre. Dziecko, którem się wciąż przejmują, będzie płakało długo z powodu najdrobniejszego niepowodzenia; normalne opanowanie wytwarza się w człowieku dorosłym tylko naskutek świadomości, że rozczulanie się nad sobą nie wywoła niczyjego współczucia. Dzieci szybko pojmują, że dorosły, który jest od czasu do czasu surowy, jest dla nich najlepszy; instynkt mówi im, czy dany człowiek kocha je czy nie, i jeśli wy czuwają, że je kocha – zniosą łatwo stanowczość, wynikającą z istotnej troski o ich należyty rozwój.

Teoretycznie więc rozwiązanie naszego zagadnienia jest proste: wychowawcami powinno kierować rozumne uczucie, i wtedy postępować będą w sposób właściwy. W rzeczywistości jednak sprawa jest bardziej skomplikowana. Rodzice czy nauczyciele nie są wolni od kłopotów, zmartwień, zniecierpliwienia i zmęczenia; niebezpieczna jest więc doktryna pedagogiczna, która – pozostawiając wychowawcy dla dobra dziecka swobodę działania – pozwala mu w postępowaniu z dzieckiem dawać wyraz tego rodzaju stanom duchownym. Mimo to jeśli doktryna jest słuszną, trzeba ją przyjąć, wskazując jednocześnie wyraźnie na jej niebezpieczeństwa – tak aby rodzice czy nauczyciele mogli przedsięwziąć wszelkie możliwe środki ostrożności.

Możemy teraz zreasumować wnioski, płynące z naszych rozważań. Jeśli chodzi o smutne wydarzenia życia, wiedzy o nich nie powinno się przed dziećmi ukrywać, ani zdobycia jej utrudniać: powinna ona dotrzeć do świadomości dzieci, kiedy okoliczności tego wymagają. Jeśli o wydarzeniach bolesnych trzeba przed dziećmi wspominać, powinno się mówić o nich zgodnie z prawdą i w sposób beznamiętny – chyba że chodzi o śmierć kogoś z bliskich, gdyż w tym wypadku ukrywanie zmartwienia byłoby rzeczą nienaturalną. Dorośli powinni w swoim

zachowaniu przejawiać pewien odważny optymizm, który dzieci przejmą wówczas nieświadomie za ich przykładem. Młodzieży trzeba ukazywać szerokie horyzonty zainteresowań nieosobistych, i wychowanie prowadzić w takim duchu, aby wpajało jej (drogą pośrednich sugestij, a nie zwróconych do niej bezpośrednich wezwań) koncepcję życia dla jakichś nieosobistych celów. Młodzież powinna umieć znosić przeciwności losu – gdy przychodzą – przez uświadamianie sobie, że mimo wszystko istnieją jeszcze rzeczy, dla których żyć warto; nie powinna jednak rozmyślać zgóry o możliwych zmartwieniach, nawet jeśli to miałyby pomóc jej później w opanowaniu tych zmartwień. Ludzie, którzy naskutek swego zawodu mają stale do czynienia z młodzieżą, muszą się bacznie kontrolować, czy konieczna w pewnych rozmiarach w wychowaniu i stosowana przez nich dyscyplina nie jest dla nich źródłem przyjemności sadystycznych; motywem stosowania dyscypliny powinno być zawsze dążenie do rozwoju charakteru albo inteligencji wychowanków. Intelpekt bowiem wymaga również dyscypliny – bez niej nie możnaby było nigdy osiągnąć dokładności i precyzji w myśleniu; ale zagadnienie dyscypliny intelektualnej jest sprawą odrębną, nie wchodzącą już w zakres tego szkicu.

Pragnę do powyższych rozważań dodać jeszcze tylko jedną uwagę – mianowicie że dyscyplina ma największą wartość, gdy odpowiada pewnym istotnym dążeniom wychowanka. Aby to było możliwe, trzeba żeby w dziecku czy młodzieńcu istniała ambicja dokonania czegoś trudnego, oraz gotowość ponoszenia ofiar w tym celu. Ambicja tego rodzaju nasuwana bywa zwykle pod wpływem kogoś z otoczenia; nawet więc dyscyplina, stosowana wobec samego siebie, zależy w ostatecznym rachunku od bodźców wychowawczych.

GENEALOGJA FASZYZMU

Gdy porównujemy epokę naszą z czasami – powiedzmy – Jerzego I, zdajemy sobie sprawę z głębokiej przemiany, jaka nastąpiła w nastrojach intelektualnych, a za nimi – w ogólnym kierunku polityki. Światopogląd z przed dwustu lat można w pewnym sensie nazwać „racjonalistycznym”, a za najbardziej charakterystyczną właściwość światopoglądu dzisiejszego uważać jego „antyracjonalizm”. Używając jednak tych słów, nie chcę jeszcze przesądzać całkowitego akceptowania pierwszego kierunku i całkowitego odrzucania – drugiego. Trzeba pozatem pamiętać, że wydarzenia polityczne przybierają bardzo często taką czy inną postać pod wpływem teorii z epok minionych: między sformułowaniem teorii i jej praktycznym zastosowaniem upływa zwykle poważny okres czasu. W polityce angielskiej ok. r. 1860 dominowały idee, wypowiedziane przez Adama Smitha w r. 1776; dzisiejsze Niemcy urzeczywistniają teorię Fichtego z r. 1807, a dzisiejsza Rosja – ideologię

Manifestu komunistycznego z r. 1848. Aby więc zrozumieć czasy dzisiejsze, trzeba cofnąć się dość poważnie wstecz.

Każda rozpowszechniona doktryna polityczna uwarunkowana jest przyczynowo z reguły w sposób dwojaki. Z jednej strony chodzi o czynniki natury intelektualnej: ludzie formułują teorie, które rozwinęły się z innych teoryj lub stanowią na nie reakcję. Z drugiej strony istnieją warunki gospodarcze i polityczne, które skłaniają ludzi do przyjmowania pewnych poglądów, odpowiadających ich potrzebom. Te ostatnie czynniki nie tłumaczą same przez się w sposób wystarczający danego zjawiska, jeśli – jak to się zbyt często zdarza – czynniki natury intelektualnej pozostają nieuwzględnione. W szczególnym przypadku, o który nam chodzi, rozmaite warstwy powojennego społeczeństwa miały pewne powody do niezadowolenia – to zaś skłaniało je do przyjęcia określonej filozofji, sformułowanej już o wiele dawniej. Zacznę od rozpatrzenia owej filozofji, a potem wskażę pokrótce przyczyny jej dzisiejszej popularności.

Bunt przeciw *rozumowi* zaczął się, jako bunt przeciw *rozumowaniu*. W pierwszej połowie osiemnastego wieku, gdy w umysłach ludzkich królował Newton, rozpowszechniony był pogląd, że droga do

poznania prowadzi poprzez odkrycie prostych praw ogólnych, z których można będzie wyciągać wnioski przy pomocy rozumowania dedukcyjnego. Zapominano często, że prawo ciężenia Newtona oparte było na stuletnich starannych obserwacjach; wyobrażano sobie, że prawa ogólne mogą być odkryte przy pomocy jakiegoś objawienia ze strony natury. Mówiło się wtedy o naturalnej religii, o prawie natury, o naturalnej moralności i t. d.; wszystkie te systemy miały składać się z wniosków, wyprowadzonych – jak u Euklidesa – z pewnych oczywistych aksjomatów. Owocem politycznym tego punktu widzenia była doktryna „praw człowieka”, głoszona w czasie Rewolucji Amerykańskiej, a potem Francuskiej.

W tym samym jednak czasie, kiedy świątynia Rozumu wydawała się niemal całkowicie ukończona, podłożono pod nią minę, która w końcu wysadziła cały gmach w powietrze. Człowiekiem, który minę tę podłożył, był Hume. Jego *Traktat o naturze ludzkiej*, ogłoszony w r. 1739, ma jako podtytuł: „Próba wprowadzenia do nauk humanistycznych eksperymentalnej metody rozumowania.” Do tego istotnie sprowadzały się intencje Hume’a; w rzeczywistości jednak poszedł w swojej pracy znacznie dalej. Intencją jego było, aby miejsce de-

dukcji z formalnie oczywistych aksjomatów zajęła indukcja i obserwacja. Ze swych skłonności był zdecydowanym racjonalistą, choć raczej typu Bacona niż Arystotelesa; niezwykle jednak połączenie przenikliwości z uczciwością intelektualną doprowadziło go do wniosków bardzo destrukcyjnych, a mianowicie – że indukcja jest przyzwyczajeniem, logicznie nieuprawnionem, a wiara w przyczynowość – niemal przesądem. Wynikało z tego, że nauka powinna być złożona – tak samo jak teologia – do rupieciarni złudnych nadziei i irracjonalnych przekonań ludzkości.

W umyśle Hume'a sceptycyzm i racjonalizm istniały razem, nie przeszkadzając sobie wzajem. Sceptycyzm stosowany był wyłącznie przy biurku; w życiu codziennym należało o nim zapomnieć, co więcej – stosować tutaj te właśnie metody naukowe, które sceptycyzm podważał. Kompromis tego rodzaju mógł przyjąć jedynie filozof, który był jednocześnie trzeźwym człowiekiem czynu; jest też pewien zapaszek arystokratyczny w tem rezerwowaniu sobie prawa do niewiary – tylko dla wtajemniczonych. Świat nie zaakceptował doktryn Hume'a w całej ich rozciągłości. Kontynuatorzy jego odrzucili z nich sceptycyzm, niemieccy oponenci natomiast podkreślali, że sceptycyzm ten jest nieunik-

nioną konsekwencją ściśle naukowego i wąsko-racjonalistycznego światopoglądu. W ten sposób, w wyniku jego teorii filozofja angielska stała się powierzchowna, a filozofja niemiecka – antyrozumowa, w obu wypadkach z obawy przed nieznośnym agnostycyzmem. Myśl europejska nie odzyskała już potem nigdy swojego zdrowego rozmachu: rozsądek oznaczał wśród następców Hume'a płytkość, a głębia – taką lub inną aberację umysłową. W ostatnich dyskusjach, toczących się na temat podstaw filozoficznych teorii kwantów, wracają znowu stare, podniesione przez Hume'a zagadnienia.

Filozofja specyficznie niemiecka zaczyna się od Kanta, i zaczyna się jako reakcja przeciw poglądom Hume'a. Kant był zdecydowany wierzyć w przyczynowość, Boga, nieśmiertelność duszy, prawo moralne i tak dalej – widział jednak, że filozofja Hume'a podważa tę wiarę. Wobec tego wynalazł rozróżnienie między rozumem „czystym” i rozumem „praktycznym”. „Czysty” rozum ma zastosowanie tam, gdzie czegoś dowodzimy – co niezbyt często zachodzi; „praktyczny” zaś rozum wskazuje na to, co jest niezbędne do osiągnięcia cnoty i ma znaczenie bardzo poważne. Jest rzeczą oczywistą, że „rozum czysty” oznaczał poprostu rozum, natomiast

„rozum praktyczny” sprowadzał się do przesądu. W ten sposób Kant wprowadził z powrotem do filozofji czynnik, który był z niej wygnany już od czasów rozkwitu scholastyki – mianowicie apel do czegoś jawnie irracjonalnego.

Bardziej jeszcze doniosły od Kanta jest z naszego punktu widzenia Fichte; przeszedłszy od filozofji do polityki, pisarz ten stał się twórcą prądu, z którego zrodził się hitleryzm. Zanim jednak omówimy jego twierdzenia, musimy bardziej sprecyzować nasze stanowisko wobec „rozumu”.

Naskutek nieodpartych argumentów Hume’a, nie można już „rozumu” uważać za jakąś kategorię absolutną, i wszelkiego odstępstwa od rozumu – za rzecz zasadniczo niedopuszczalną. Mimo to jednak, istnieje widoczna i istotna różnica między postawą psychiczną – powiedzmy – angielskich radykałów filozoficznych i pierwszych fanatycznych zwolenników Mahometa. Jeśli tamtą postawę nazwiemy rozumową, a tę – irracjonalną, będziemy mieli prawo twierdzić, że w ostatnich czasach wpływy irracjonalizmu wzrosły.

Myślę, że na „postawę rozumową” – tak jak ją rozumiemy w życiu codziennem – składają się trzy czynniki. Po pierwsze, odwołuje się ona do perswazji raczej niż do siły; po drugie. wymaga, aby lu-

dzie posługiwali się tylko argumentacją, w ich przekonaniu zupełnie poprawną; po trzecie dąży do tego, aby poglądy opierały się jaknajbardziej na obserwacji i indukcji, a jaknajmniej – na intuicji. Pierwsza z tych zasad wyklucza wszelką inkwizycję; druga – metody takie, jakimi posługiwała się angielska propaganda wojenna (metody chwalone przez Hitlera na tej zasadzie, że propaganda „musi obniżać swój poziom umysłowy w miarę tego, jak ma apelować do coraz szerszych mas”); trzecia wreszcie zakazuje używania takich przesłanek, jak teza Prezydenta St. Zjednoczonych, Jacksona, w sprawie Mississippi – mianowicie że „życzeniem Pana Wszechświata było, aby cała ta wielka dolina należała do jednego narodu”: bo chociaż teza ta była oczywista dla Prezydenta i jego słuchaczy, trudnoby było dowieść ją komuś, ktoby ją kwestjonował.

Odwoływanie się do rozumu, w ten sposób zdefiniowane, zakłada że między tym, kto wypowiada jakieś twierdzenie, a jego audytorjum istnieje pewna wspólność interesów i pewien wspólny światopogląd. Jest coprawda wierszyk, w którym właścicielka oberży mówi do kaczek: „Chodźcie, kaczęta! Będziecie zarżnięte, potem nadziane i gościom podane”; naogół jednak, gdy chcemy kogoś po-

zreć, nie spodziewamy się aby nasze argumenty trafiły do jego przekonania. Przeciwnicy kuchni wegetariańskiej nie starają się argumenotwać w sposób, który byłby przekonywający dla cieląt; Nie tsche nie stara się o przekonanie większości ludzi, że są istotnie „płodem nieudolności”, a Marks nie ubiega się o poparcie kapitalistów. Przykłady te pokazują, że w walce o władzę polityczną łatwiej jest odwoływać się do rozumu, gdy wszystkimi wpływami rozporządza niepodzielnie taka czy inna oligarchja. W Anglii w wieku osiemnastym wysłuchiwane były tylko poglądy arystokratów i ich przyjaciół, którzy mogli zawsze przedstawiać je z rozumowem uzasadnieniem innym arystokratom. W miarę jak grupa osób, decydujących o kierunku polityki, rośnie i staje się coraz bardziej niejednolita, rośnie też trudność apelowania do rozumu, ponieważ istnieje wtedy mniej przyjętych powszechnie założeń, które mogłyby stanowić punkt wyjścia w argumentacji. Gdy takich wspólnych założeń brak, ludzie muszą opierać się na swych intuicjach; a ponieważ intuicje różnych grup są różne, prowadzi to do niezgody i walki różnych grup o władzę.

Tego rodzaju bunt przeciw rozumowi powracają wciąż w historii. Wczesny buddyzm był doktry-

ną rozumną; nie były nią natomiast późniejsze postacie buddyzmu, ani hinduizm, który zajął jego miejsce w Indjach. W Grecji przeciwko home-ryckiemu racjonalizmowi buntowali się Orficy. Od Sokratesa do Marka Aureljusza, wybitni ludzie starożytności odznaczali się postawą rozumową; po Marku Aureljuszu nawet konserwatywnie usposobieni neoplatonicy pełni byli przesądów. Poza światem muzułmańskim, uprawnienia rozumu były lekceważone aż do jedenastego stulecia; potem, dzięki scholastyce, Odrodzeniu i rozwojowi nauk ścisłych, zdobywały sobie coraz bardziej dominujące stanowisko. Reakcja zapoczątkowana została przez Russa i Wesleya, ale utrzymywana była w szachu dzięki postępom nauki i techniki w dziewiętnastym wieku. Wiara w rozum dosięgła swego maksimum w latach sześćdziesiątych; od tego czasu zaczęła stopniowo opadać, i opada wciąż dalej. Racjonalizm i anty-racjonalizm istniały zawsze obok siebie od początków cywilizacji Greckiej; ale gdy tylko jeden z kierunków wydawał się kompletnie dominujący – wywoływał zawsze reakcję w postaci rosnącej fali kierunku przeciwnego.

Nowoczesny bunt przeciw rozumowi różni się pod jednym ważnym względem od większości swoich poprzedników. Począwszy od filozofów orfickich,

ideałem tego rodzaju tendencji było dawniej zbawienie – stan złożony, zawierający zarówno cnotę jak szczęście, do którego droga prowadziła z reguły poprzez jakąś ciężką ofiarę. Ideałem irracjonalistów naszej epoki jest nie zbawienie, lecz władza. Etyka ich przeciwstawia się chrystjanizmowi i buddyzmowi; a żądza panowania prowadzi ich z konieczności do polityki. Z pośród pisarzy, do ich drzewa genealogicznego należą: Fichte, Carlyle, Mazzini, Nietzsche – mający pomocników takich jak Treitschke, Rudyard Kipling, Houston Chamberlain i Bergson. Do ruchu przeciwnego zaliczyć należy zarówno zwolenników szkoły Bentham'a, jak socjalistów: można ich traktować, jako dwa skrzydła tej samej partji – kosmopolitycznej, demokratycznej i apelującej do interesów gospodarczych jednostki. Różnice tych dwu skrzydeł między sobą dotyczą środków, nie celów – podczas gdy nowy ruch, który (jak dotąd) osiągnął punkt kulminacyjny w hitleryzmie, odbiega od nich obu, jeśli chodzi o cele, jak zresztą odbiega pod tym względem od całej tradycji cywilizacji chrześcijańskiej.

Cel, do którego dążyć powinni mężowie stanu – tak jak go rozumieją wszyscy niemal irracjoniści, z których wyrósł faszyzm – określony został najjaśniej przez Nietzschego. Przeciwwstawiając się świa-

domie zarówno chrześcijaństwu jak utylitaryzmowi, Nietzsche odrzuca doktryny Bentham'a, dotyczące szczęśliwości „możliwie największej liczby ludzi”. „Ludzkość – mówi – jest znacznie bardziej środkiem, niż celem... ludzkość jest tylko materiałem doświadczalnym.” Celem jest według niego wielkość jednostek niepospolitych: „Zadanie polega na tem, aby osiągnąć tę olbrzymią *energję wielkości*, która pozwoli ukształtować człowieka czasów nadchodzących przy pomocy unicestwienia milionów, będących płodami nieudolności – i która przytem *nie załamie się* na widok spowodowanego w ten sposób, a niewidzianego nigdy dotąd *cierpienia*”. Trzeba zauważyć, że sama przez się tego rodzaju koncepcja celu ostatecznego nie może być uważana za sprzeczną z rozumem, ponieważ zagadnienia, dotyczące celów ostatecznych, nie dają się rozstrzygnąć na drodze rozumowej. Koncepcja ta może nam się *nie podobać* – jak nie podoba się mnie – ale nie możemy jej rozumowo *obalić*, tak samo jak Nietzsche nie może jej dowieść. Mimo to, widać w niej pewien irracjonalizm, ponieważ rozum nakazuje bezstronność, a kult wielkiego człowieka zawsze suponuje, jako mniejszą przesłankę, twierdzenie: „Ja jestem wielkim człowiekiem.”

Światopogląd wszystkich twórców tego kierun-

ku, z którego rozwinął się faszyzm, ma pewne cechy wspólne. Wszyscy oni cenią *wolę* bardziej niż uczucie lub poznanie, i władzę bardziej niż szczęście; wolą siłę od argumentów, wojnę od pokoju, arystokrację od demokracji, propagandę od naukowej bezstronności. Propagując surowość obyczajów, czynią to nie w duchu chrześcijaństwa, lecz w duchu Sparty – to znaczy traktują ją jako środek do osiągnięcia władzy nad innymi, a nie jako samoopanowanie, pomagające zachować cnotę i obiecujące szczęście dopiero na tamtym świecie. Późniejsi z tych autorów przejęli są darwinizmem w jego popularnej postaci i uważają, że w walce o byt rodzą się gatunki wyższe; w walce tej jednak walczyć mają ze sobą nie jednostki – jak u apostołów wolnej konkurencji – lecz rasy. Przyjemność i wiedza są dla nich, jako cele ostateczne, czemś zbyt biernem. Przyjemność zastępują sławą, a wiedzę – pragmatystyczną wiarą, że prawdziwe jest to czego pragną. W pismach Fichtego, Carlyle’a i Mazziniego doktryny te są jeszcze przysłonięte płaszczem moralizatorskiej obłudy; dopiero u Nietschego występują nago i bez obsłonek.

Rola Fichtego w wytworzeniu tego wielkiego prądu nie jest należycie doceniana. Zaczął swoją działalność pisarską, jako abstrakcyjny metafizyk,

ale już wtedy wykazywał pewną arbitralność i egotyzm. Cała jego filozofja wyprowadza się z twierdzenia „Jestem sobą”, o którym mówi:

„Jaźń *postuluje siebie samą*, i naskutek tego aktu postulowania *istnieje*; jest jednocześnie czynnikiem działającym i rezultatem działania – tem co działa i tem co jest przez działanie wytworzone; *Jestem* oznacza czyn. Jaźń istnieje, ponieważ postulowała swoje istnienie.”

Według tej teorii, „Jaźń” istnieje, ponieważ chce istnieć. Dalej okazuje się, że „Nie-ja” istnieje również dlatego, że „Jaźń” tego chce; ale „Nie-ja”, zrodzone w ten sposób, nigdy nie może stać się czemś zewnętrznem w stosunku do „Jaźni”, której podobało się postulować jego istnienie. Ludwik XIV powiedział: „*l'état c'est moi*”, Fichte zaś oświadczył – „wszechświat to ja”. Jak zauważył Heine, zestawiając Kanta z Robespierrem: „w porównaniu z nami, Niemcami, wy Francuzi jesteście łagodni i umiarkowani”.

Fichte coprawda wyjaśnia nieco dalej, że kiedy mówi „Ja” ma na myśli Boga; ale czytelnik nie może się uwolnić od pewnych wątpliwości w tym względzie.

Kiedy w wyniku bitwy pod Jeną Fichte musiał uciekać z Berlina, zaczął uważać, że zbyt energicz-

nie postulował istnienia „Nie-ja” w osobie Napoleona. Gdy powrócił w r. 1807, wypowiedział swoje słynne „Mowy do narodu niemieckiego”, w których po raz pierwszy wyłożona została w skończonej formie doktryna nacjonalizmu. Mowy te zaczynają się od wyjaśnienia, że Niemcy stoją wyżej od wszystkich pozostałych narodów nowożytnych, ponieważ tylko oni mówią czystym językiem (Rosjanie, Turcy i Chińczycy, nie mówiąc o Eskimosach i Hotentotach, także mówią czystym językiem, ale o nich niema wzmianki w historycznych dziełach Fichtego). Tylko Niemiec – dzięki czystości swego języka – może posiadać głębię; „mieć charakter – konkluduje Fichte – i być Niemcem, to niewątpliwie jedno i to samo”. Aby jednak uchronić charakter niemiecki od obcych wpływów rozkładowych, i aby naród niemiecki mógł występować w działaniu, jako całość – potrzebny jest nowy rodzaj wychowania, który „uczyni z Niemców jedno zbiorowe ciało”. Istotą nowego wychowania musi być „zupełnie unicestwienie wolności woli.” Wola – dodaje Fichte – „jest rdzeniem człowieka.”

Handel zagraniczny powinien być ograniczony do rozmiarów absolutnie niezbędnych. Należy wprowadzić powszechną służbę wojskową: każdy będzie zmuszony walczyć – nie dla materialnego

dobrobytu, nie w obronie wolności ani konstytucji, ale pod wpływem „gorejącego żaru wyższego patriotyzmu, obejmującego cały naród jako symbol wieczności – dla którego człowiek szlachetny poświęca się z radością, a człowiek niegodny, istniejący tylko dla pożytku tamtego, także będzie musiał się poświęcić.”

Ta właśnie teza, że ludzkość istnieje dla człowieka „szlachetnego”, a człowiek „niegodny” nie może wymagać dla siebie żadnych praw – stanowi najbardziej istotną cechę dzisiejszego ataku na demokrację. Nauka chrześcijańska głosi, że każda istota ludzka ma nieśmiertelną duszę i że pod tym względem wszyscy ludzie są sobie równi: doktryna „praw człowieka” była tylko rozwinięciem koncepcji chrześcijańskiej. Utylitaryzm, choć nie przyznawał jednostce żadnych „praw” absolutnych, przykładał jednak tę samą wagę do szczęśliwości każdego człowieka; dawał więc demokracji poparcie nie mniejsze, niż doktryna „prawa naturalnego”. Fichte natomiast, jakgdyby jakiś polityczny Kalwin, uważał niektórych ludzi za specjalnych wybrańców, a resztę traktował, jako pozbawioną znaczenia.

Trudność polega oczywiście na określeniu, kto jest owym wybrańcem. Gdyby doktryna Fichtego

została powszechnie przyjęta, każdy człowiek uważałby siebie za „szlachetnego” i przyłączyłby się do jakiejś grupy, która wydawałaby mu się dostatecznie doń podobna i mogła wobec tego pretendować także w pewnym stopniu do „szlachetności”. Tą grupą mógłby być jego naród, jak dla Fichtego, albo jego klasa społeczna – jak dla wyznawcy ideologii proletarjackiej, albo wreszcie jego rodzina – jak dla Napoleona. Nie istnieje żadne obiektywne kryterium „szlachetności”, z wyjątkiem powodzenia w wojnie; dlatego wojna jest nieuchronną konsekwencją tego rodzaju ideologii.

Wśród czynników, które wpłynęły na ukształtowanie ideologii Carlyle’a, najsilniejszy był wpływ Fichtego; ale Carlyle dodał od siebie coś, co stało się odtąd charakterystyczną cechą całej szkoły – mianowicie pewne tendencje socjalistyczne i pewną troskę o interesy proletariatu, która jest w rzeczywistości tylko niechęcią wobec industrializmu i wobec *nouveau-riche’ów*. Carlyle zamaskował to tak sprytnie, że oszukał nawet Engelsa, który w swojej książce o angielskiej klasie robotniczej w r. 1844 mówi o Carlyle’u z najwyższym uznaniem. Wobec takiego faktu trudno się dziwić, że wielu ludzi pociągnęła socjalistyczna fasada hitleryzmu.

Istnieją zresztą w dalszym ciągu ludzie, wypro-

wadzeni w pole przez Carlyle'a. Jego „kult bohaterów” brzmi bardzo szlachetnie; nie potrzeba nam – powiada – wybieranych parlamentów, lecz „królów-bohaterów, oraz świata, który nie wyrzekł się heroizmu”. Aby zrozumieć, o co mu w gruncie rzeczy chodzi, trzeba przyjrzeć się, jak stosował konkretnie swoje kryterja. W książce *Przeszłość i Terażniejszość* Carlyle podaje, jako wzór do naśladowania, opata Samsona z dwunastego wieku; jeśli jednak nie brać słów Carlyle'a na wiarę, lecz przeczytać samemu *Kronikę Jocelina z Brakelonde*, okazuje się, że opat był bezczelnym opryskiem, łączącym w sobie wady feodalnego despoty i pokątnego kauzyperdy. Inni bohaterowie Carlyle'a są conajmniej tak samo odpychający. Rzezie, jakich dopuszczał się Cromwell w Irlandji, wywołują z jego strony komentarz: „Gdyż w czasach Olivera, jak powiadam, wierzono jeszcze w wyroki Sądu Bożego; w czasach Olivera nie było jeszcze mętnej paplaniny o „zniesieniu kary śmierci” i o filantropji à la Jean-Jacques, nie polewano jeszcze wszystkich grzechów tego świata wodą różaną... Dopiero w ostatnich, zwyrodniałych pokoleniach... mogło nastąpić... takie bezsensowne pomieszanie zła i dobra i przygotowanie z tej mieszaniny jednego uniwersalnego lekarstwa.” O większości pozosta-

łych bohaterów Carlyle'a – takich, jak Fryderyk Wielki, dr. Francia i gubernator Eyre – wystarczy powiedzieć, że ich jedyną cechą wspólną była krwiożerczość.

Ludzie, którzy w dalszym ciągu uważają, że Carlyle był czymś w rodzaju liberała, powinni przeczytać rozdział o demokracji w jego *Przeszłości i Teraźniejszości*. Większą część rozdziału zajmują pochwały na cześć Wilhelma Zdobywcy oraz opis przyjemności, jakie były w tym czasie udziałem chłopów pańszczyźnianych. Potem następuje definicja wolności: „Prawdziwa wolność człowieka polegałaby więc na tem, że znajdzie swoją właściwą drogę – lub zostanie do tego zmuszony – i wkroczy na nią” (s. 263). Dalej znajdujemy pogląd, że demokracja „oznacza rezygnację z wynalezienia bohaterów, którzyby nami rządzili, i radzenie sobie jakoś mimo ich braku”. Rozdział kończy się stwierdzeniem – w sposób wymowny i proroczy – że kiedy rola demokracji będzie skończona, powstanie problemat „wynalezienia ustroju, w którym rządzić będą jednostki naprawdę wyższe”. Czy w tem wszystkim jest choć jedno słowo, pod którem nie mógłby się podpisać Hitler?

Mazzini był człowiekiem łagodniejszym od Carlyle'a, z którym nie zgadzał się w sprawie „kultu

ma to swoją wyjątkową rolę
bohaterów." Przedmiotem jego uwielbienia był nie wielki człowiek, lecz naród; i chociaż stawiał Włochy najwyżej, przypisywał jakąś rolę każdemu z narodów europejskich, z wyjątkiem Irlandczyków. Podobnie jednak, jak Carlyle, uważał że nakazy obowiązku są ważniejsze od szczęścia, nawet od szczęścia kolektywnego. Sądził, że Bóg objawił każdemu w jego sumieniu, co jest rzeczą słuszną a co niesłuszną, i trzeba tylko aby wszyscy postępowali zgodnie z nakazem moralnym, jaki dyktuje im serce. Nie zdawał sobie nigdy sprawy z tego, że różni ludzie mogą naprawdę różnie rozumieć swoje obowiązki moralne; nie widział też, że żąda w gruncie rzeczy od ludzi, aby postępowali zgodnie z *jego* objawieniem. Podporządkowywał demokrację moralności, mówiąc: „Prosta wola większości nie jest jeszcze najwyższą racją, jeśli w sposób oczywisty przeczy zasadom moralnym... wola ludu jest święta, kiedy przemawia za nią prawo moralne; ale jest nieważna i bezsilna, kiedy odchyła się od tego prawa i wyraża tylko kaprys.” Taki jest również pogląd Mussoliniego.

Od tego czasu do ideologii szkoły dodany został tylko jeden nowy i istotny element, mianowicie pseudo-darwinistyczna wiara w znaczenie rasy. (Fichte uzasadniał wyższość Niemców ich językiem,

a nie biologicznem pochodzeniem). Nietzsche, który w przeciwieństwie do swych następców nie był nacjonalistą ani antysemitą, stosuje swoją doktrynę tylko do poszczególnych jednostek; pragnie, aby jednostkom nieprzystosowanym nie pozwolono się rozmnażać i ma nadzieję że przy pomocy metod, stosowanych w hodowli psów, uda się wytworzyć rasę nad-ludzi, który posiadać będą całą władzę i dla których pożytku istnieć ma cała pozostała ludzkość. Późniejsi jednak pisarze o podobnym światopoglądzie starali się wykazać, że wszelka doskonałość łączy się z ich własną rasą. Profesorem irlandzcy piszą książki aby dowieść, że Homer był Irlandczykiem; antropolodzy francuscy, powołując się na świadectwo archeologii, twierdzą że cywilizacja w Europie Północnej była dziełem Celtów, a nie Teutonów; Houston Chamberlain długo dowodzi, że Dante był Niemcem a Chrystus nie był Żydem. Podkreślanie znaczenia rasy było rzeczą powszechną wśród Anglików w Indjach, od których – za pośrednictwem Rudyarda Kiplinga – chorobą tą zaraziła się imperjalistyczna Anglja. Antysemityzm jednak nigdy nie odgrywał w Anglii poważniejszej roli – chociaż Anglik, Houston Chamberlain, jest głównym sprawcą nadania pseudo-historycznego uzasadnienia antysemityzmowi

w Niemczech, gdzie prąd ten istniał zawsze od czasów średniowiecza.

Jeśli o zagadnieniach rasy mówić obiektywnie – stwierdzić trzeba, że nie wiemy w tej sprawie nic, co miałoby jakiegokolwiek znaczenie dla polityków. Można uważać za rzecz prawdopodobną, że między rasami istnieją jakieś wrodzone różnice psychiczne; rzeczą jednak pewną jest, że dotąd tych różnic zupełnie nie znamy. W człowieku dorosłym cechy dziedziczne zacierają się pod wpływem otoczenia. Ponadto różnice rasowe pomiędzy Europejczykami nie są tak określone, jak różnice między t. zw. rasą białą, żółtą i czarną; niema żadnych wyraźnych cech fizycznych, pozwalających na ustalenie, do którego z dzisiejszych narodów europejskich należy dany osobnik – ponieważ wszystkie te narody powstały z przemieszania różnych elementów. Jeśli chodzi o wyższość umysłową – każdy naród europejski może do niej pretendować z jakim takim uzasadnieniem. Jest rzeczą *możliwą*, że Żydzi stoją niżej od Niemców, ale jest rzeczą zupełnie tak samo możliwą, że Niemcy stoją niżej od Żydów. Cała metoda posługiwania się pseudo-darwinistycznym żargonem w tego rodzaju kwestji jest w najwyższym stopniu nienaukowa. Czegokolwiek dowiemy się w tej dziedzinie w przy-

szłości – *jak dotąd* nie mamy żadnego przekonywającego powodu, aby popierać jakąś jedną rasę na niekorzyść drugiej. Prąd, zapoczątkowany przez Fichtego, zmierza do wzmocnienia w ludziach poczucia pewności siebie i żądy władzy zapomocą wpajania im przekonań, za którymi nic nie przemawia – pozatem, że mile łechcą ambicję. Fichte potrzebował doktryny, która pozwalałaby mu czuć się wyższym od Napoleona; Carlyle i Nietzsche cierpieli na dolegliwości, które kazały im szukać kompensaty w świecie fantazji; nastroje imperjalistyczne angielskie w okresie Rudyarda Kiplinga zrodziły się ze wstydu, spowodowanego utratą supremacji przemysłowej; a dzisiejszy obłęd hitlerowski jest ciepłym mitem, którym otula się jaźń niemiec-ka w obronie przed zimnymi podmuchami Wersalu. Żaden człowiek nie jest w stanie trzeźwo myśleć, jeśli jego godność osobista została śmiertelnie zraniona – i ci, którzy świadomie doprowadzają do upokorzenia jakiegoś narodu, tylko sobie samym mają do zawdzięczenia, jeśli naród ten staje się narodem warjatów.

Tutaj dotknęliśmy już przyczyn faktu, że rozpatrywane przez nas irracjonalne, a nawet antyracjonalne doktryny spotkały się w tak szerokich warstwach z uznaniem. Niemal zawsze istnieje

wiele rozmaitych doktryn, głoszonych przez wielu rozmaitych proroków; te z nich jednak, które zyskują sobie popularność, muszą jakoś specjalnie odpowiadać istniejącym nastrojom, które z kolei uwarunkowane są przez określone okoliczności. Widzieliśmy, że charakterystyczne cechy współczesnych teorii irracjonalistycznych polegają na: podkreślaniu znaczenia *woli* w przeciwieństwie do myśli i uczucia; gloryfikacji władczej potęgi; wierze w intuicyjne „postulowanie” tez – zamiast ustalania ich drogą obserwacji i indukcji. We wszystkim tem przejawia się postawa psychiczna, naturalna dla ludzi, którzy przyzwyczajeni są do kierowania nowoczesnymi maszynami w rodzaju np. aeroplanów – jak również dla tych, którzy mają dzisiaj mniej władzy niż mieli dawniej, a nie potrafią znaleźć wystarczających motywów racjonalnych, które przemawiałyby za przywróceniem dawnego stanu rzeczy. Industralizm i wojna, przyzwyczajwszy ludzi do władzy nad maszynami, dokonały jednocześnie wielkich przesunień w zakresie władzy gospodarczej i politycznej; w ten sposób wytworzyły w wielkich grupach ludności potrzebę pewnego zadośćuczynienia w postaci pragmatycznych teorii, podnoszących je na duchu. Na tem tle rozwinął się faszyzm.

Jeśli porównamy świat w r. 1920 ze światem z r. 1820, okaże się że w tym okresie wzrosły wpływy: wielkich przemysłowców, robotników, kobiet, heretyków i Żydów („heretykami” nazywam tych, których religja nie była religją panującą w danym kraju). Odpowiednio zato spadły wpływy: panujących, arystokracji, duchownych, drobnomieszczaństwa i mężczyzn w porównaniu z kobietami. Wielcy przemysłowcy, chociaż byli potężniejsi niż kiedykolwiek, uważali jednak swoją sytuację za niepewną wobec niebezpieczeństwa socjalizmu, a zwłaszcza – z obawy przed Moskwą. Zwolennicy wojny – generałowie, admiralicja, lotnicy, fabryki broni – byli w podobnem położeniu: mocni narazie, ale zagrożeni przez piekielną bandę bolszewików i pacyfistów. Grupy składające się z żywiołów pokonanych, a więc królowie i szlachta, drobni sklepikarze, ludzie nieznoszący organicznie tolerancji religijnej, oraz ci mężczyźni, którzy nie mogli pogodzić się z emancypacją kobiet – wydawały się pokonane definitywnie i ostatecznie; rozwój gospodarczy i kulturalny nie pozwalał im, jak sądzono, odgrywać żadnej roli w życiu współczesnem. Naturalnie grupy te były niezadowolone – a liczebnie stanowiły siłę poważną. Filozofja nietscheańska odpowiadała ich potrzebom psychicznym;

fabrykanci i militaryści skorzystali bardzo mądrze z tej sytuacji, aby utworzyć z pokonanych grup jedną partję, która popierałaby reakcję średnio-wieczną we wszystkich dziedzinach, z wyjątkiem przemysłu i sztuki wojennej. W przemyśle i w wojsku panować miała nowoczesna technika – jednak bez żadnego dzielenia się władzą i bez dążeń pokojowych, to znaczy bez tego właśnie, czem socjalizm zagrażał rządzącym potentatom.

To więc, co w filozofji hitlerowskiej jest irracjonalne, uwarunkowane jest politycznie dążeniem do uzyskania poparcia ze strony grup, które nie mają już żadnej racji bytu; to natomiast, co w tej filozofji jest względnie trzeźwe, reprezentuje światopogląd przemysłowców i militarystów. Ta część ideologii hitlerowskiej, która ma działać na masy, musi być irracjonalna, ponieważ jest rzeczą prawie niemożliwą, aby np. nadzieje drobnych sklepikarzy mogły być kiedykolwiek zrealizowane, i wobec tego – aby nie popaść w zupełną rozpacz – muszą oni karmić się wierzeniami całkowicie fantastycznymi; dążenia natomiast przemysłowców i militarystów mogą być istotnie urzeczywistnione przy pomocy faszyzmu – i bodaj tylko przy jego pomocy. To, że dążenia te mogą się urzeczywistnić dopiero na gruzach cywilizacji, czyni je demonicznymi,

ale nie irracjonalnemi. Te koła stanowią intelektualnie najlepszy, a moralnie najgorszy element całego ruchu; reszta, otumaniona wizjami sławy, heroizmu i poświęcenia, nie zdaje sobie wcale sprawy z roli, jaką istotnie odgrywa, i pozwala używać się do obcych sobie celów. Taka jest psychopatologia hitleryzmu.

Mówiłem o militarystach i fabrykantach, popierających faszyzm, jako o elementach rozsądnych – ale rozsądek ich jest tylko względny. Thyssen wierzy, że przy pomocy ruchu hitlerowskiego może zadać śmiertelny cios socjalizmowi i jednocześnie ogromnie rozszerzyć swoje rynki zbytu. Nie mamy jednak powodu uważać, że Thyssen ma rację – jak nie mieliśmy powodu uważać w r. 1914, że jego poprzednicy mieli rację. Polityka jego wymaga takiego wzmożenia nastrojów wojowniczych i nacjonalistycznych, że ich prawdopodobnym wynikiem będzie wojna, i to wojna przegrana. Nawet wielkie sukcesy w stadjach początkowych nie dadzą Niemcom ostatecznego zwycięstwa; dziś, tak samo jak przed dwudziestu laty, rząd niemiecki zapomina w swoim rachunku o Ameryce.

Istnieje jeden tylko, bardzo poważny czynnik, zwracający się przeciw hitleryzmowi, choć można było przypuszczać, że będzie popierał reakcję –

mianowicie zorganizowany kościół. Filozofja całego tego prądu, z którego wyrósł hitleryzm, jest w pewnym sensie logicznym rozwinięciem protestantyzmu. Moralność Fichtego i Carlyle'a jest moralnością kalwińską – Mazzini zaś, który przez całe życie był w opozycji wobec Rzymu, miał czysto luteranскую wiarę w nieomylność indywidualnego sumienia. Nietzsche głęboko wierzył, że jednostka może mieć wielką wartość, i uważał, że bohater nie powinien ustępować przed władzą; głosząc tę tezę, rozwijał tylko protestancką ideję buntu. Można było przypuszczać, że kościoły protestanckie powitają radośnie ruch hitlerowski – i do pewnego stopnia tak się stało. Nowy ruch jednak okazał się sprzeczny z tem wszystkim, co było wspólne protestantyzmowi i katolicyzmowi. Nietzsche jest pisarzem wyraźnie anty-chrześcijańskim, a Houston Chamberlain przedstawia chrześcijaństwo, jako zbiór starych zniekształconych przesądów, które rozpowszechniły się wśród mieszkańców lewantyjskich. Odrzucanie pokory, miłości bliźniego i gloryfikacji ludzi „cichych” sprzeczne jest z nauką ewangelji; antysemityzm zaś, ujmowany nie tylko jako praktyka ale i jako teoria, trudno pogodzić z religją, która sama jest żydowskiego pochodzenia. Z tych względów zbliżenie hitleryzmu i chrześcijaństwa

napotyka na poważne przeszkody, i nie jest rzeczą wykluczoną, że ten antagonizm doprowadzi do upadku hitleryzmu.

Istnieje jeszcze inny wzgląd, dla którego dzisiaj kult nierozsądku – w Niemczech czy w innych krajach – nie daje się pogodzić z tradycyjną postawą chrześcijańską. Chrześcijaństwo przejęło od Żydów koncepcję Prawdy, wraz z odpowiadającą jej cnotą Wiary. Obie te koncepcje – jak wszystkie cnoty chrześcijańskie – wywoływały zresztą pewne wątpliwości wśród wolnomyślicieli epoki wiktoriańskiej. Stopniowo jednak, pod wpływem wzrostu sceptycyzmu i panoszenia się reklamy, ludzie zaczęli uważać poznanie prawdy za rzecz niemożliwą, natomiast głoszenie fałszu – za rzecz bardzo zyskową. Uczciwość intelektualna została w ten sposób unicestwiona. Hitler, tłumacząc program hitlerowski, powiada:

„Państwo narodowe traktować będzie naukę jako środek, służący do wzmocnienia dumy narodowej. Nietylko historia powszechna, ale i historia cywilizacji musi być wykładana z tego punktu widzenia. Należy podkreślać, że wynalazca jest wielkim człowiekiem nietylko jako wynalazca, ale jeszcze bardziej – jako nasz rodak. Podziw dla każdego wielkiego czynu musi być połączony z dumą, że jego

szczęśliwy wykonawca należy do naszego narodu. Z pośród tłumu wielkich imion w historii Niemiec musimy wybrać największe i ukazać je oczom młodzieży w sposób tak sugestywny, aby mogły one się stać filarami, na których opierać się będzie niezachwiane uczucie nacjonalistyczne."

Pogląd, że nauka ma na celu poznanie prawdy, jest tak obcy umysłowi Hitlera i tak odeń daleki, że nie walczy on nawet z tym poglądem. Jak wiemy, teoria względności ma w tych sferach złą opinię, ponieważ stworzył ją Żyd. Inkwizycja odrzuciła doktrynę Galileusza, ponieważ uważała ją za fałszywą; ale Hitler przyjmuje lub odrzuca doktryny z motywów politycznych, nie posługując się wogóle pojęciem prawdy i fałszu. Biedny Wiliam James, który pierwszy sformułował tego rodzaju punkt widzenia, byłby przerażony gdyby zobaczył, do czego służy dzisiaj jego teoria; z chwilą jednak, gdy koncepcja obiektywnej prawdy zostaje porzucona, jest rzeczą jasną że problemat: „W co mamy wierzyć?” musi być rozstrzygany „przez odwołanie się do siły i zdanie na arbitraż zbrojnych bataljonów” – jak pisałem w r. 1907*) – a nie przy pomocy me-

*) W szkicu „O pragmatyzmie“, w zb. „Philosophical Essays“, Londyn, 1912. (Przyp. tłum.)

tod naukowych ani teologicznych. Państwa, których polityka zrodzona jest z buntu przeciw rozumowi, muszą więc popaść w konflikt nie tylko z nauką, ale także z Kościołem wszędzie tam, gdzie prawdziwy chrystjanizm jest jeszcze siłą żywotną.

Wśród czynników, które wywołały bunt przeciw rozumowi, poważną rolę odgrywał fakt, że wielu zdolnych i energicznych ludzi, nie znajdując ujścia dla swej żądzy władzy, zwracało się wobec tego przeciw istniejącemu porządkowi. W małych państwach epok minionych większa liczba ludzi miała władzę polityczną, a małe przedsiębiorstwa dawnego typu dawały większej liczbie ludzi władzę gospodarczą. Przypatrzmy się wielkim masom ludności, która nocuje na przedmieściach a dzień spędza na pracy w wielkich miastach. Gdy się podjeżdża pociągiem do Londynu, mija się ogromne dzielnice małych domków, zamieszkałych przez ludzi, którzy nie poczuwają się do żadnej solidarności z klasą robotniczą; ojciec rodziny nie interesuje się sprawami lokalnymi swojej dzielnicy mieszkalnej, ponieważ przez cały dzień przebywa poza nią, spełniając polecenia swego pracodawcy; jedyną dziedziną, w której przejawiać może jakąś inicjatywę, jest uprawianie własnego ogródka w czasie week-endów. Jeśli chodzi o jego orientację

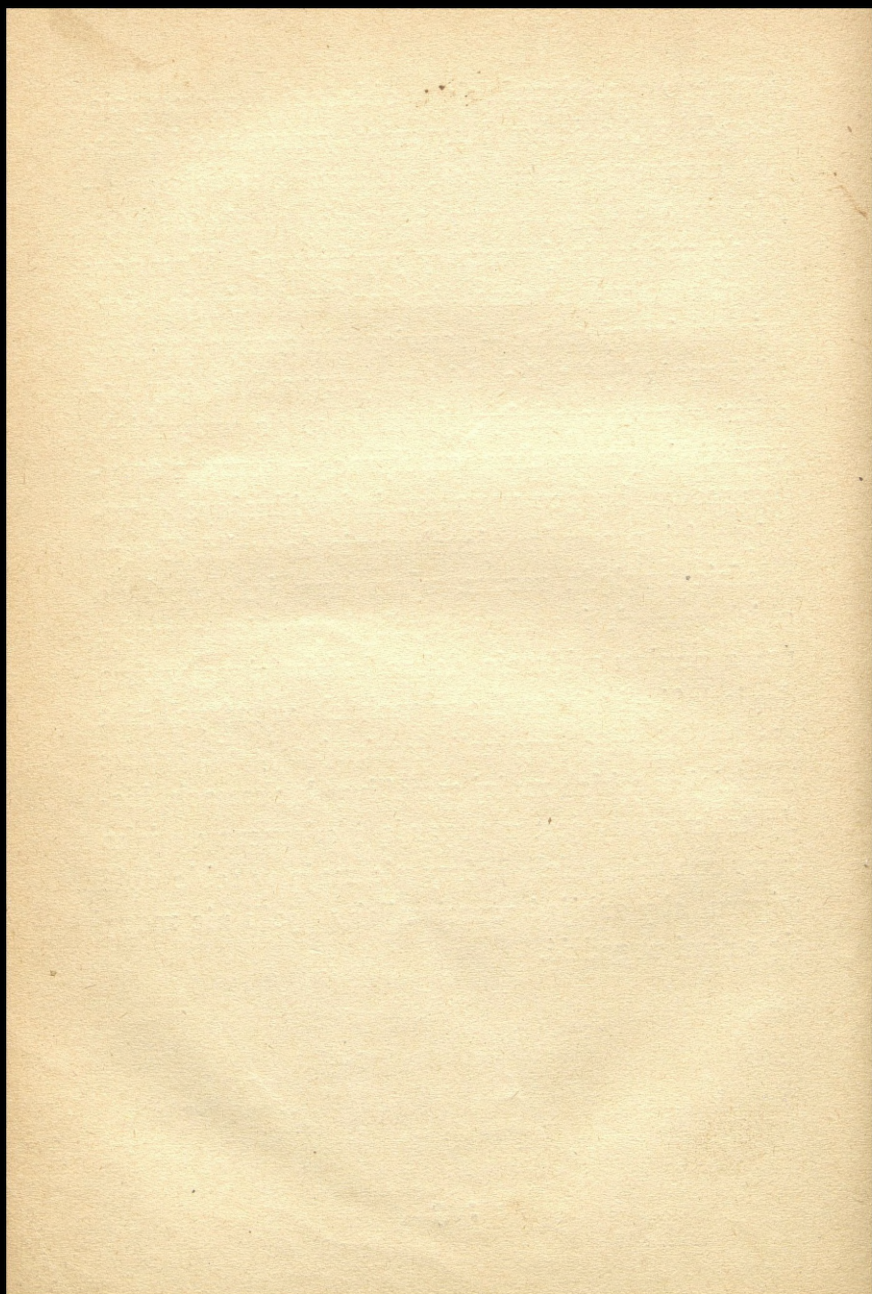
polityczną, zazdrości klasie robotniczej wszystkiego, co udało jej się uzyskać; chociaż jednak uważa się za biedaka, snobizm nie pozwala mu naśladować metod socjalistów i związków zawodowych. Przedmieście jego może pod względem liczby ludności dorównywać niejednemu miastu, które zasłynęło w historii, ale życie kolektywne tego przedmieścia jest bardzo ospałe, gdyż mieszkańcy nie mają czasu nim się interesować. Takemu człowiekowi, jeśli niezadowolenie jest w nim dość silne, faszyzm może łatwo wydawać się wyzwoleniem.

Upadek wpływów racjonalistycznych w polityce jest następstwem dwóch czynników: z jednej strony istnieją klasy społeczne i typy jednostek, którym świat istniejący nie pozostawia żadnego pola działania, a które – nie należąc do klasy robotniczej – nie łączą swych nadziei z socjalizmem; z drugiej strony, istnieją ludzie zdolni i potężni, mający interesy sprzeczne z interesami społeczeństwa i mogący wobec tego najłatwiej utrzymać swoje wpływy przez popieranie tych czy innych form zbiorowej hysterji. Najważniejszymi straszakami, służącymi do tego celu, są: zbrojenia innych państw, widmo komunizmu i groźba obcej konkurencji. Nie chcę przez to twierdzić, że człowiek racjonalny nie może odczuwać tych obaw; twierdzę tylko, że są one

wyzyskiwane w sposób, który nie pozwala na krytyczne ustosunkowanie się do zagadnień bieżących. Dwie rzeczy, których świat potrzebuje najbardziej – to socjalizm i pokój; obie jednak sprzeczne są z interesami ludzi, mających dzisiaj największą władzę. Nie jest rzeczą trudną przedstawić kroki, wiodące do socjalizmu i pokoju tak, że będą się one *wydawały* sprzeczne z interesami dużych grup ludności – a najłatwiej można to osiągnąć, wytwarzając zbiorową histerję. Im niebezpieczeństwo socjalizmu i pokoju jest większe, tem silniej będą rządy deprawowały psychikę swoich poddanych; z drugiej strony, im cięższa sytuacja gospodarcza, tem łatwiej ludzie upośledzeni wyrzekać się będą zdrowego rozsądku na rzecz jakichś złudnych fantasmagoryj.

Gorączka nacjonalistyczna, rosnąca stale poczynając od r. 1848, jest jedną z form, jaką przybiera kult irracjonalizmu. Koncepcja jednej uniwersalnej prawdy została porzucona: mamy obecnie prawdę angielską, prawdę francuską, prawdę niemiecką, prawdę jugo-słowiańską i prawdę księstwa Monaco. Podobnie mamy prawdę robotnika i prawdę kapitalisty. Spór między temi różnemi „prawdami” – jeśli rezygnuje się z perswazji rozumowej – może być zdecydowany tylko przy pomocy wojny i wza-

jemnego prześcigania się w obłądnej propagandzie. Dopóki głębokie konflikty międzynarodowe i klasowe, zarażające nasz świat, nie zostaną rozwiązane – nie wydaje się prawdopodobne, aby ludzkość wróciła do racjonalnej postawy psychicznej. Trudność jednak polega na tem, że dopóki dominują pierwiastki irracjonalne – rozwiązanie naszych zagadnień może być tylko dziełem przypadku; gdy bowiem rozum, apelując jednakowo do wszystkich, umożliwia powszechną współpracę – nastroje antyrozumowe, będące wyrazem indywidualnych namiętności, prowadzą nieuchronnie do walki. Z tego właśnie względu rozum, ujmowany jako apel do obiektywnych i powszechnych kryterjów prawdy, ma z punktu widzenia dobra ludzkości najwyższą doniosłość – i to nie tylko w epokach, w których nikt nie kwestjonuje jego roli dominującej, ale jeszcze bardziej w takich mniej szczęśliwych okresach, kiedy traktowany jest z pogardą i odrzucany, jako czczy sen marzycieli, którzy nie mają w sobie dość wigoru aby zabijać przeciwników jeśli nie mogą się z nimi pogodzić.



SOCJALIZM I JEGO UZASADNIENIE

W swej przeważającej większości socjaliści dzisiejsi są uczniami Karola Marksa, od którego przejęli wiarę, że jedyną siłą polityczną mogącą urzeczywistnić socjalizm jest proletarijat, zwracający się przeciw tym, którzy pozbawili go środków produkcji. Naskutek nieuniknionej reakcji na takie postawienie sprawy wszyscy nieproletariusze – z licznymi stosunkowo wyjątkami – uznali że socjalizmowi trzeba się przeciwstawić; gdy słyszą hasła wojny klasowej, głoszone przez obóz który uważa ich za swych wrogów, skłonni są naturalnie zacząć tę wojnę sami, dopóki jeszcze mają władzę. Faszyzm jest odpowiedzią na komunizm i to odpowiedzią bardzo groźną. Dopóki socjalizm propagowany jest w tej przejętej od Marksa postaci, wywołuje sprzeciw tak potężny, że powodzenie jego w zaawansowanych krajach Zachodu staje się z każdym dniem mniej prawdopodobne. Jest oczywiście rze-

czą pewną, że i w innem sformowaniu socjalizm musiałby się zawsze natknąć na opór klas posiadających; ale opór byłby wówczas mniej zacięty i mniej powszechny.

Co do mnie – chociaż jestem socjalistą tak samo zdecydowanym, jak najgorętsi marksiści, nie ujmuję jednak socjalizmu, jako ewangelji zwycięstwa proletariatu; nie jest nawet dla mnie *głównym* argumentem przemawiającym za socjalizmem to, że pozwala na zrealizowanie sprawiedliwości gospodarczej. Socjalizm jest dla mnie przede wszystkim przystosowaniem ustroju do warunków techniki maszynowej, zgodnem z wymaganiami zdrowego rozsądku i z potrzebami nie tylko proletariatu, ale całej ludzkości poza małą garstką. Jeśli nie można go dzisiaj zrealizować bez gwałtownego przewrotu, należy to w dużym stopniu przypisać propagowaniu konieczności takiego przewrotu przez zwolenników socjalizmu. Nie wyrzekłem się jednak jeszcze nadziei, że spokojniejsza propaganda może złagodzić opór i umożliwić mniej katastrofalne przejście do nowego ustroju.

Zacznijmy od definicji socjalizmu. Definicja musi składać się z dwóch części – gospodarczej i poli-

tycznej. Przedewszystkiem więc socjalizm polega na upaństwowieniu wszystkich źródeł władzy gospodarczej, to znaczy conajmniej: ziemi i bogactw kopalnianych, kapitału, bankowości, kredytu i handlu zagranicznego. Jeśli chodzi o drugą część definicji – władza polityczna musi należeć do demokracji. Sam Marks, i wszyscy prawie socjaliści przed r. 1918, zgodziliby się na tę część definicji bez zastrzeżeń; od chwili jednak, gdy bolszewicy rozwiązali konstytuante rosyjską, rozwinęła się inna doktryna – głosząca, że kiedy rząd socjalistyczny dochodzi do władzy w rezultacie zwycięskiej rewolucji, wpływy polityczne mają uzyskać tylko jego najgorętsi zwolennicy. Trzeba przyznać, że po wojnie domowej natychmiastowe przyznanie praw politycznych zwyciężonym niezawsze będzie rzeczą możliwą; ale w takim razie niemożliwe będzie wprowadzenie odrazu ustroju socjalistycznego. Rząd socjalistyczny, wprowadziwszy w życie gospodarczą treść socjalizmu, nie spełni jeszcze do końca swego zadania, dopóki nie uzyska poparcia mas wystarczającego na to, aby wprowadzić również w życie rządy demokratyczne. Konieczność ustroju demokratycznego jest oczywista, jeśli rozpatrzyć sprawę na skrajnym przykładzie. Jakiś despota wschodni może zadekretować, że wszystkie bogactwa natural-

ne jego terytorjum będą należały do niego – nie wprowadzi jednak przez to jeszcze socjalistycznego ustroju; nie można też przyjąć, jako wzoru do naśladowania, rządów Leopolda II w Kongo. Dopóki nie istnieje kontrola ludowa, niema powodu wierzyć państwu, że nie będzie prowadziło swoich przedsiębiorstw wyłącznie dla własnego zysku – a wtedy eksploatacja przybierze tylko nową postać. Z tych względów rządy demokratyczne muszą wchodzić do definicji ustroju socjalistycznego.

Jeśli chodzi o gospodarczą część definicji, potrzeba tu jeszcze pewnych bliższych wyjaśnień; istnieją bowiem formy przedsiębiorczości prywatnej, które – zdaniem jednych – dają się pogodzić z socjalizmem, zdaniem innych – pogodzić się z nim nie dają. Czy należy pozwolić pionierowi – osadnikowi zbudować sobie chatę z berwion na ziemi, wydzierzawionej od państwa? Tak; ale z tego nie wynika, że powinno się pozwolić osobom prywatnym na budowanie „drapaczy chmur” w New Yorku. Tak samo będzie można pożyczyć przyjacielowi szylinga, ale finansista nie będzie mógł pożyczać dziesięciu milionów jakiemuś przedsiębiorstwu albo obcemu rządowi. Jest to kwestja stopnia; odpowiednie rozwiązanie nie jest tu trudne, gdyż rozmaite formalności prawne potrzebne są przy du-

zych transakcjach, ale zbyt wiele przy małych. Tam, gdzie są potrzebne, dają państwu okazję do wkraczania i kontroli. Aby wziąć inny przykład: biżuterja nie jest kapitałem w sensie gospodarczym, ponieważ nie jest środkiem produkcji; w dzisiejszym jednak stanie rzeczy posiadacz diamentów może je sprzedać i kupić za nie akcje. W ustroju socjalistycznym będzie mógł zatrzymać swoje diamenty, ale nie będzie ich mógł sprzedać i kupić akcji – bo nie będzie żadnych akcji do kupienia. Niema potrzeby pozbawiać ludzi majątków prywatnych; należy jedynie uspołecznić funkcję inwestowania – co pozbawi osoby prywatne zysków z kapitału, i w rezultacie majątki ich stopniowo rozplyną się, poza pewnym umiarkowanym zakresem przedmiotów, które pozostaną własnością osobistą. Jednostki nie mogą mieć władzy gospodarczej nad innymi ludźmi – taka jednak własność prywatna, która nie daje władzy gospodarczej, może istnieć w dalszym ciągu.

Korzyści, jakie powinno dać wprowadzenie ustroju socjalistycznego – jeśli przyjąć, że jest ono możliwe bez destrukcyjnej wojny domowej – są bardzo różnorodne i bynajmniej nie dotyczą samych tylko robotników. Nie jestem natomiast wcale przekonany, czy wszystkie te korzyści, a choćby tylko

część ich ujawni się istotnie, jeśli partja socjalistyczna zwycięży po długiej i trudnej walce, która roznieci namiętności, wysunie na plan pierwszy ludzi o bezwzględnych, militarystycznych skłonnościach, zmarnuje w egzekucjach, w więzieniach i na wygnaniu wiele fachowych uzdolnień i wyłoni rząd o umysłowości koszarowej. Wszystko co będę mówił o zaletach socjalizmu suponuje, że wprowadzony zostanie w życie drogą zasadniczo pokojową, użycie zaś siły ograniczy się do pokonania niewielkich grup malkontentów. Przekonany jestem, że gdyby w propagandzie socjalistycznej mniej było nienawiści i zaciekłości, i gdyby podkreślała ona mniej uczucia klasowe, a bardziej – oczywiście potrzebę planowej organizacji gospodarczej, zadanie jej byłoby ogromnie ułatwione, a potrzeba uciekania się do siły – odpowiednio zredukowana. Odwoływanie się do siły – poza obroną tego, co zostało legalnie ustalone drogą pokojową – uważam za zło, ponieważ: (a) próba użycia siły zakończyłaby się prawdopodobnie porażką, (b) walka musi być niesłychanie destrukcyjna, (c) po takiej zjadłej walce zwycięzcy mogą łatwo zapomnieć o swoich celach pierwotnych i wprowadzić coś zupełnie odmiennego – prawdopodobnie rządy o charakterze despotyczno-wojskowym. Jako warunek zatem zwycięst-

wa socjalizmu zakładam pokojowe pozyskanie większości dla jego doktryn.

Przytoczę teraz argumenty, przemawiające za socjalizmem. Żaden z nich nie jest nowy i nie wszystkie mają jednakową doniosłość. Listę ich można przedłużyć do nieskończoności – sądzę jednak, że już te które przytoczę wystarczą aby wykazać, że socjalizm nie jest ewangelją jednej tylko klasy.

I. Usunięcie motywu prywatnego zysku.

Zysk, jako wyraźna kategoria ekonomiczna, wyodrębnia się dopiero na pewnym stadium rozwoju gospodarczego; w zarodku jednak możemy go już dostrzec w stosunkach Robinsona Kruzo i Piętaszka. Wyobraźmy sobie że Robinson, przy pomocy swojej strzelby, przywłaszczył sobie na jesieni wszystkie tereny uprawne i inne bogactwa żywnościowe swojej wyspy. Może wtedy zmusić Piętaszka do pracy nad przygotowywaniem przyszłorocznych zbiorów, wzamian za co Piętaszek dostanie tyle jedzenia, ile mu potrzeba dla utrzymania się przy życiu, a cała pozostała nadwyżka przypadnie Robinsonowi. To co Robinson otrzymuje na mocy takiej umowy może być uważane za zysk z kapitału:

kapitał składa się w tym wypadku z paru narzędzi i nagromadzonych zapasów żywności, jakie Robinzon posiada. W takiej jednak postaci, w jakiej zysk występuje w społeczeństwach cywilizowanych, suponuje on istnienie wymiany. Fabrykant wyrobów bawełnianych nie produkuje ich wyłącznie dla siebie i dla swej rodziny; potrzebuje poza niemi wielu innych rzeczy i aby te potrzeby zaspokoić, sprzedaje przeważającą część swoich wyrobów. Ale zanim jeszcze przystąpi do produkcji, musi zapłacić za bawełnę, maszyny, energję i pracę ludzką. Zysk jego równy jest różnicy między tem, co za to wszystko płaci a tem, co otrzymuje za swoje wyroby. Jeśli jednak sam zarządza swoją fabryką, musimy jeszcze od całego zysku odjąć sumę równą temu, co otrzymywałby najemny dyrektor, gdyby wykonywał tę samą mniejwięcej pracę; ostatecznie więc właściwy zysk przedsiębiorcy równy jest całemu jego zyskowi, minus pensja hipotetycznego dyrektora. W wielkich przedsiębiorstwach, których akcjonariusze nie biorą udziału w prowadzeniu fabryki, zysk fabryki stanowi to, co akcjonariusze otrzymują. Ludzie rozporządzający pieniędzmi, które mogą zainwestować, kierują się oczekiwaną rentownością przedsiębiorstwa; oczekiwany więc zysk jest czynnikiem decydującym o powstawaniu nowych

przedsiębiorstw i o rozszerzaniu starych. Obrońcy dzisiejszego ustroju twierdzili, że motyw spodziewanego zysku prowadzić będzie naogół do wytwarzania odpowiednich towarów w odpowiednich ilościach. W pewnym stopniu było to słuszne kiedyś, ale nie jest już słuszne dzisiaj.

Zmianę tę wywołał skomplikowany charakter nowoczesnej produkcji. Jeśli jestem wiejskim szewcem, i moi klienci przynoszą mi buty do zelowania, wiem że na wytwory mojej pracy będzie popyt; jeśli jednak jestem wielkim fabrykantem obuwia, produkującym przy pomocy drogich maszyn, muszę polegać na przypuszczeniach, ile par obuwia będę mógł sprzedać, i w przypuszczeniach tych mogę łatwo się omylić. Kto inny może mieć tańsze maszyny i sprzedawać obuwie taniej; albo moi klienci mogli zbiednieć i nauczyć się dłużej nosić stare buty; albo moda mogła się zmienić i wytworzyć popyt na inny rodzaj obuwia, którego moje maszyny nie mogą wyprodukować. Jeżeli następuje którakolwiek z tych ewentualności – nie tylko przestają osiągać zyski, ale maszyny moje stają i pracownicy są na bruku. Praca, zużyta na wyprodukowanie moich maszyn, nie wydała w rezultacie na świat użytecznych towarów, została zmarnowana całkowicie – niemniej niż gdyby polegała na rzucaniu

piasku do morza. Ludzie pozbawieni warsztatu pracy nie produkują niczego, co zaspokajałoby potrzeby ludzkie, a społeczeństwo musi jeszcze odejmować sobie to, co daje tym bezrobotnym, aby nie umarli z głodu. Bezrobotni, otrzymując tylko zasiłki zamiast płac, wydają o wiele mniej niż dawniej, wywołując z kolei bezrobocie wśród tych, których wytwory dawniej kupowali. W ten sposób błędne obliczenie ilości butów, jaką mogę sprzedać z zyskiem, prowadzi do bezrobocia, zataczającego coraz szersze kręgi, i równoczesnego spadku popytu. Co do mnie – przywiązany jestem do moich drogich maszyn, które pochłonęły zapewne cały mój kapitał i kredyt; to uniemożliwia mi szybkie przerzucenie się od obuwia do jakiegoś innego, lepiej prosperującego przemysłu.

Albo weźmy przykład z jakiejś bardziej imponującej gałęzi produkcji – na przykład z budowy okrętów. Podczas wojny, i jeszcze przez krótki czas po jej zakończeniu, popyt na okręty był ogromny. Ponieważ nikt nie wiedział, jak długo wojna potrwa i jakie straty spowoduje działalność łodzi podwodnych, poczyniono jaknajszersze przygotowania do budowy niesłychanej ilości okrętów. Około r. 1920 straty wojenne marynarki handlowej zostały wyrównane, i osiągnięto tu znów poziom z przed woj-

ny; naskutek jednak skurczenia się handlu morskiego popyt na okręty spadł nagle dość poważnie. Całe prawie urządzenia w stocznjach stały się bezużyteczne, i większość zatrudnionych w tej gałęzi robotników pozbawiona została pracy. Podkreślić trzeba, że cały poprzedni rozwój produkcji był tylko zastosowaniem się przedsiębiorców do zaleceń rządu, który nastawał, aby budować ile się da. Ale w ustroju naszym, opartym na prywatnej przedsiębiorczości, rząd nie jest odpowiedzialny wobec ludzi, których doprowadza do ruiny. W rezultacie nędza zataczała coraz szersze kręgi. Zmniejszył się popyt na stal, na czym ucierpiało hutnictwo. Zmniejszył się popyt na mięso australijskie i argentyńskie, ponieważ bezrobotni musieli ograniczać spożycie; to z kolei zmniejszyło popyt na towary przemysłowe, które Australia i Argentyna sprowadzały dotąd wzamian za mięso – i tak dalej.

Inną, bardzo poważną przyczyną załamania się produkcji, opartej na zysku prywatnym, jest zjawisko t. zw. „nadprodukcji.” W wielu wypadkach określony towar może być wytworzony w ilościach olbrzymich taniej, niż w ilościach mniejszych. W tych wypadkach rzeczą najbardziej ekonomiczną byłoby skoncentrowanie całej produkcji światowej każdego z tych towarów w jednej tylko fabry-

ce. Korzyści jednak produkcji na wielką skalę nie pojawiły się odrazu, lecz rosły stopniowo – i faktycznie istnieje wiele fabryk konkurujących. Każdy fabrykant wie, że gdyby był jedynym na świecie producentem danego towaru, mógłby zaspokajać cały popyt i produkować z poważnym zyskiem; ponieważ jednak istnieje wielu współzawodników, żaden nie wyzyskuje w pełni swojego aparatu produkcyjnego i wobec tego żaden nie jest pewien swych zysków. To prowadzi do imperjalizmu gospodarczego, ponieważ jedyną możliwość zysku daje całkowite opanowanie jakiegoś wielkiego rynku. Jednocześnie słabsi konkurenci zostają wyeliminowani, i na placu pozostają tylko przedsiębiorstwa większe; a im większe przedsiębiorstwo – tem silniejsze powoduje zakłócenia, gdy zotaje zamknięte. Współzawodnictwo prowadzi do produkcji w takich rozmiarach, że nie można jej sprzedać z zyskiem; ograniczenie podaży odbywa się przytem powoli, gdyż jeśli zakład zakupił drogie maszyny – może mu się nawet opłacać produkować ze stratą, która będzie mniejsza, niż gdyby zupełnie wstrzymał produkcję.

Cały ten chaotyczny stan rzeczy, prowadzący do wszelkiego rodzaju zakłóceń, ma swoje źródło w motywie prywatnego zysku, rządzącym produkcją na wielką skalę.

W ustroju kapitalistycznym tem, co decyduje o produkowaniu danego towaru przez daną firmę, jest koszt jego produkcji dla tej firmy, a nie dla całego społeczeństwa. Zilustrujmy tę różnicę przy pomocy fikcyjnego przykładu. Przypuśćmy że ktoś – np. p. Fordowi – udaje się fabrykować samochody tak tanio że nikt nie może z nim konkurować, i w rezultacie wszyscy pozostali fabrykanci samochodów bankrutują. Jeślibyśmy chcieli obliczyć, ile zapłaci społeczeństwo za nowe, tanie samochody – musielibyśmy do zniżonych kosztów p. Forda dodać koszt urządzeń innych firm, które obecnie stały się bezużyteczne, oraz koszt wychowania i wykształcenia nanowo w jakimś fachu robotników i techników z tych firm, pozbawionych obecnie pracy. (Część ich znajdzie zatrudnienie w zakładach p. Forda, ale prawdopodobnie nie wszyscy, ponieważ nowy sposób produkcji wymaga mniejszej ilości pracy ludzkiej – dlatego jest tańszy). Społeczeństwo może ponosić jeszcze inne koszty – zatargów z robotnikami, strajków, zaburzeń, dodatkowych sił policyjnych, sądów i zamykania ludzi do więzień. Gdy to wszystko wzięte zostanie pod uwagę, może się łatwo okazać, że nowe samochody kosztują społeczeństwo o wiele drożej, niż stare. I chociaż właśnie koszty ponoszone przez całe społeczeństwo okre-

ślają, co jest społecznie korzystne – w naszym ustroju cały przebieg życia gospodarczego wyznaczony jest jedynie przez koszty poszczególnego przedsiębiorcy.

Jak zagadnienie to rozwiąże socjalizm – rozważymy jeszcze w dalszym ciągu tych uwag.

2. Czas wolny od pracy*)

Dzięki produkcyjności maszyn, zapewnienie możliwego poziomu życia całej rasie ludzkiej wymaga teraz o wiele mniej pracy, niż dawniej. Niektórzy dość ostrożni pisarze utrzymują, że wystarczyłaby godzina pracy dziennie; być może jednak, że obliczenie to nie uwzględnia należycie potrzeb Azji. Aby już napewno nie grzeszyć przesadą, przyjmę że czterogodzinny dzień roboczy wszystkich osób dorosłych wystarczyłby do wytworzenia i utrzymania takiego poziomu materialnego komfortu, jakiego rozsądny człowiek może pragnąć.

W warsztatach obecnych, gdy produkuje się dla zysku, wolny czas nie może być równomiernie podzielony: niektórzy są przepracowani, inni zato nie

*) Tą sprawę poruszę tylko ogólnie, ponieważ omawiam ją bardziej szczegółowo na początku tej książki.

mają wogóle pracy. Dzieje się tak, ponieważ przedsiębiorca woli robotnika, pracującego siedem do ośmiu godzin, od dwóch robotników, którzy dzieliliby się tą pracą; z drugiej strony robotnik także woli długi dzień roboczy z dobrą zapłatą, niż bardzo krótki dzień z zapłatą o wiele gorszą. Obu stronom odpowiada więc długi dzień roboczy, – w rezultacie bezrobotni cierpią głód, albo muszą być utrzymywani przez władze na koszt publiczny.

W chwili obecnej, przy ośmiogodzinnym dniu pracy dla zatrudnionych robotników – większa część ludzkości nie korzysta z jakiego takiego poziomu materialnego komfortu. Trzeba jednak przytem wziąć pod uwagę, że w dzisiejszym stanie rzeczy znaczna ilość pracy idzie na marne; gdyby nie panujący chaos oraz produkowanie przedmiotów niepotrzebnych, jeszcze połowa z pośród zatrudnionych dziś robotników byłaby również bez pracy. Jeśli chodzi o przykłady owego chaosu – mówiliśmy już o marnotrawstwie, do jakiego prowadzi współzawodnictwo; ale trzeba tu dodać jeszcze wszystkie koszty reklamy oraz koszty handlowe. Nacjonalizm gospodarczy prowadzi do innego rodzaju marnotrawstwa: amerykańscy fabrykanci samochodów na przykład muszą – wobec taryf celnych w państwach europejskich – budować w tych państwach

swoje warsztaty, choć niewątpliwie wymagałoby mniej pracy ludzkiej, gdyby mogli wytwarzać wszystkie swoje samochody w jednej wielkiej fabryce w Stanach Zjednoczonych. Dalej istnieje marnotrawstwo, związane z produkcją wojenną i z wyszkoleniem wojskowym, któremu w krajach o obowiązkowej służbie podlega cała ludność męska. Naskutek tych i innych form rozrzutności, do których dodać jeszcze trzeba zbytek klas posiadających, zatrudnienie utrzymuje się jeszcze na dzisiejszym poziomie – i dopóki trwa ustrój obecny, każdy krok, zmierzający do usunięcia marnotrawstwa, pogarsza jeszcze sytuację klasy robotniczej. Jednocześnie jednak wynika z naszych rozważań, że w innym ustroju, gdy przytem wszyscy mieć będą pracę, znacznie mniej niż cztery godziny pracy dziennej wystarczy na wyprodukowanie tej ilości przedmiotów niezbędnego użytku, jaką produkuje się dzisiaj.

3. Niepewność gospodarcza.

W dzisiejszym stanie rzeczy jest nietylko wielu ludzi w nędzy, ale ponadto większość tych, którzy narazie mają na utrzymanie, boi się zupełnie słusznie, że każdej chwili może znaleźć się na bruku. Dla

robotników bezrobocie jest stałą groźbą; urzędnicy i pracownicy umysłowi wiedzą, że zawsze może nastąpić redukcja albo bankructwo firmy; ludzie interesu, nawet tacy, którzy uchodzą za bardzo bogatych, wiedzą, że utrata przez nich całego majątku nie jest bynajmniej niemożliwością. Ludzie t. zw. wolnych zawodów muszą prowadzić ciężką walkę o byt. Czynią wielkie ofiary dla zapewnienia dzieciom wykształcenia, aby potem przekonać się, że dla osób o takich kwalifikacjach, jakie właśnie dzieciom zapewnili, niema już – jak dawniej – perspektyw otrzymania zarobkowego zajęcia. Jeśli dzieci ukończyły prawo – zobaczą, że ludzie coraz rzadziej mają na prowadzenie procesów, chociaż wiele poważnych niesprawiedliwości pozostaje dalej nienaprawionych; jeśli są lekarzami – stwierdzą, że dawni bogaci pacjenci – hipochondrycy nie mogą sobie teraz pozwolić na chorowanie, a wielu prawdziwie cierpiących nie ma na lekarza. Spotyka się mężczyzn i kobiety z uniwersyteckim wykształceniem za ladą sklepową, co chroni ich od nędzy, choć zabierają w ten sposób miejsce tym, którzy zajmowaliby je w normalnych warunkach*).

*) Trudno z tą słuszną uwagą pogodzić to, co mówi Autor na str. 6. (Przyp. tłum.)

*ale chodzi o
normalne warunki
ż. in. według autora - socjalistyczne*

We wszystkich warstwach społecznych, od najniższych i niemal aż do najwyższych, troski materialne dominują w myślach ludzi, a nawet w ich snach, denerwując ich przy pracy i nie pozwalając na prawdziwy wypoczynek. Ten powszechny strach jest, jak sędzę, główną przyczyną obłąkanych nastrojów, jakie zapanowały w poważnej części cywilizowanego świata.

Pragnienie posiadania majątku jest w większości wypadków pragnieniem zabezpieczenia się przed przeciwnościami losu. Ludzie gromadzą oszczędności i inwestują je, aby mieć z czego żyć gdy będą starzy i niedołężni, i aby dzieci nie były zmuszone opuścić się w hierarchji społecznej. W okresach dawniejszych postępowanie takie było racjonalne, ponieważ istniały lokaty pieniężne, które można było uważać za pewne. Dziś jednak lokat zupełnie pewnych niema: załamują się największe przedsiębiorstwa, bankrutują państwa, a to co trzyma się jeszcze – może być zmiecione z powierzchni przez następną wojnę. W rezultacie – pomijając ludzi, nie zdających sobie zupełnie sprawy z rzeczywistości – wytwarza się rozczarowanie, połączone z bezwzględnością życiową; nastrój ten bardzo utrudnia spokojne rozważenie sposobów naprawy.

Jeśli pominąć niebezpieczeństwo wojny, zabezpie-

czenie materialnego bytu ludności byłoby dla świata cywilizowanego największym dobrodziejstwem, jakie wogóle można sobie wyobrazić. Praca – w ilości społecznie niezbędnej – powinna być obowiązkowa dla wszystkich zdrowych i dorosłych ludzi, ale dochody człowieka powinny zależeć tylko od jego gotowości do pracy; nie powinien być ich pozbawiony, gdy z jakichkolwiek względów usługi jego przestają być chwilowo potrzebne społeczeństwu. Lekarz na przykład powinien otrzymywać stałą pensję aż do śmierci, choć po osiągnięciu pewnej granicy wieku mógłby przestać pracować. Dzieci jego powinny mieć zapewnione należyte wykształcenie. Jeżeli nastąpiłaby tak znaczna poprawa w zdrowiu ludności, że pomoc wszystkich wykwalifikowanych lekarzy nie byłaby już potrzebna, część ich możnaby zużytkować w badaniach naukowych, dotyczących medycyny, higieny społecznej i higieny odżywiania. Nie ulega chyba kwestji, że większości lekarzy odpowiadałby bardziej taki system, niż dzisiejszy – choć spowodowałby zmniejszenie zarobków tej nielicznej garstki, która ma wyjątkowe powodzenie.

Chęć z bogacenia się nie jest wcale niezbędnym bodźcem do pracy. Większość ludzi pracuje dziś nie poto, aby się z bogacić, ale aby uniknąć nędzy. Li-

stonosz nie ma wcale nadziei, że będzie bogatszy od innych listonoszy; żołnierz czy marynarz też nie liczą na zdobycie wielkiego majątku. Istnieje co prawda nieliczna garstka ludzi – przeważnie ludzi o wyjątkowych zdolnościach i energii – dla których osiągnięcie wielkiego sukcesu finansowego jest dominującym motywem ich działalności. Niektórzy z nich są pożyteczni, inni szkodliwi; jedni dokonywają jakiegoś ważnego odkrycia, lub zastosowują je, inni spekulują na giełdzie albo przekupują polityków. Zasadniczym celem ich działalności jest powodzenie, którego symbolem jest dla nich dzisiaj pieniądź. Gdyby powodzenie można było osiągać tylko na innej drodze, na przykład w postaci zaszczytów lub wysokich stanowisk administracyjnych, mieliby w dalszym ciągu odpowiedni dla siebie bodziec do działania, i mogliby wówczas – bardziej niż dzisiaj – uważać za wskazane działać z korzyścią dla społeczeństwa. Samo przez się dążenie do bogactwa – w przeciwieństwie do pragnienia sukcesu – nie jest motywem społecznie pożytecznym, tak jak nie byłoby niem obżarstwo lub opilstwo. Ustrój więc, w którym na urzeczywistnienie tego dążenia niema miejsca, nie będzie następstwem tego gorszym ustrojem; jeśli zaś usunie dręczącą ludzi niepewność jutra – oczyści w znacznym stop-

niu życie społeczne z panującej w niem dzisiaj histerji.

4. Próżniactwo klas posiadających.

Rozmiarów klęski, jaką jest bezrobocie dla robotnika, nikt nie kwestjonuje. Cierpienia samych bezrobotnych, strata jaką ponosi społeczeństwo, nie korzystając z ich usług, demoralizujące skutki długiego i bezowocnego poszukiwania pracy – wszystko to są znane sprawy, nad którymi niema potrzeby się rozwodzić.

Próżniactwo ludzi bogatych jest złem innego typu. Świat pełen jest ludzi, nie mających żadnego zajęcia; większość ich stanowią kobiety – mało wykształcone, bogate i wobec tego bardzo pewne siebie. Wielka ilość pracy ludzkiej wykonywana jest poto, aby one mogły żyć w komforcie. Chociaż rzadko mają jakąkolwiek prawdziwą kulturę, są głównymi patronkami sztuki – i oczywiście najczęściej podobają im się zła sztuka. Bezżyteczność ich egzystencji skłania je do bezpłodnego sentymentalizmu, a usposabia niechętnie wobec wszystkiego, co ma rozmach i szczerość; wpływ jaki wywierają na kulturę jest bardzo ujemny. Zwłaszcza w Ameryce, gdzie

mężczyźni robiący majątki nie mają zwykle czasu ich wydawać, dominujące stanowisko w dziedzinie kultury zajmują kobiety, których jedynym tytułem do szacunku ze strony bliźnich jest to, że ich mężowie posiadli sztukę robienia pieniędzy. Niektórzy twierdzą, że kapitalizm bardziej od socjalizmu sprzyja rozwojowi sztuki; myślę jednak, że zwolennicy tego poglądu pamiętają tylko o arystokracji epok dawniejszych, a zapominają o plutokracji dzisiejszej.

Próżniactwo sfer posiadających ma jeszcze inne ujemne następstwa. Jak wiadomo, w najważniejszych gałęziach przemysłu liczne drobne zakłady wypierane są przez nieliczne wielkie przedsiębiorstwa; od tej nowoczesnej tendencji istnieje jednak wiele wyjątków. Zastanówmy się na przykład nad liczbą niepotrzebnych małych sklepów w Londynie. W dzielnicach, w których bogate panie robią swoje zakupy, istnieje niezliczona liczba magazynów mód, prowadzonych przeważnie przez rosyjskie hrabiny, z których każda ma w swoim pojęciu lepszy gust od wszystkich pozostałych. Klijentki ich chodzą od jednego sklepu do drugiego, tracąc długie godziny na zakup, który powinien zająć kilka minut. Praca personelu sklepów idzie na marne tak samo, jak czas kupujących. Utrzymanie wielkiej licz-

by ludzi związane jest w ten sposób z zaspokajaniem zupełnie nieistotnych potrzeb. Fakt że ludzie bogaci wydawać mogą znaczne sumy pieniędzy wytwarza całe gromady pasorzytów, którzy – choć sami bardzo dalecy od bogactwa – są jednak zainteresowani w tem, aby ludzie bogaci istnieli w dalszym ciągu, bo inaczej nie byłoby popytu na ich wyroby, i groziłaby im ruina. W rezultacie ta zależność od niedających się niczem uzasadnić przywilejów ludzi pustych i niemądrych degraduje człowieka, obniżając jego poziom moralny, intelektualny i artystyczny.

5. W y c h o w a n i e.

W chwili obecnej wykształcenie wyższe dostępne jest głównie, choć nie wyłącznie, dla synów i córek rodziców zamożnych. Zdarza się czasem, że dzięki stypendjom chłopcy czy dziewczęta z klasy robotniczej wstępują na uniwersytet, ale z reguły muszą tak ciężko pracować zanim to nastąpi, że wyczerpują swoje siły i nie spełniają przeważnie pierwotnych zapowiedzi. Wynikiem naszego ustroju jest masowe marnowanie zdolności; chłopiec czy dziewczyna ze sfery robotniczej może mieć pierwszorzędnny talent do matematyki, muzyki albo nauk ekspe-

rymentalnych, ale jest rzeczą bardzo mało prawdopodobną, aby talent ten mógł się rozwinąć. Ponadto wychowanie – przynajmniej w Anglii – jest nawskroś przesiąknięte snobizmem: poczucie istniejącej hierarchii społecznej ani na chwilę nie opuszcza ucznia szkoły powszechnej, zarówno publicznej jak prywatnej. Ponieważ zaś nadzór nad wychowaniem spoczywa głównie w rękach państwa, musi ono bronić istniejącego stanu rzeczy, hamować o ile to możliwe tendencje krytyczne wśród młodzieży i chronić ją od „niebezpiecznych myśli.” Wszystko to, trzeba przyznać, jest nieuniknione w każdym reżimie, który nie ma zupełnie pewnego gruntu pod nogami; w Rosji jest pod tym względem jeszcze gorzej, niż w Anglii lub w Ameryce. Gdy jednak ustrój socjalistyczny, umocniwszy się z czasem dostatecznie, może wówczas przestać obawiać się krytyki – jest rzeczą niemal niemożliwą, aby chwila taka nastąpiła kiedykolwiek w ustroju kapitalistycznym, chyba w jakimś państwie niewolniczem, w którym robotnicy nie otrzymywaliby wogóle żadnego wykształcenia. Nie można zatem mieć nadziei, że system wychowania zostanie ulepszony, dopóki cały ustrój gospodarczy nie ulegnie zmianie.

6. Emancypacja kobiet i opieka nad dzieckiem.

Mimo wszystko co uczyniono w ostatnich czasach dla poprawy sytuacji kobiet, ogromna większość kobiet zamężnych jest w dalszym ciągu materialnie zależna od mężów. Zależność ta jest pod wielu względami gorsza, niż zależność robotnika od przedsiębiorcy. Robotnik może ostatecznie wymówić pracę, co dla żony jest rzeczą jeszcze trudniejszą; ponadto, choćby nie wiem jak ciężko pracowała w domu, nie może domagać się za to zapłaty. Dopóki istnieje taki stan rzeczy, równość gospodarcza mężczyzn i kobiet jest bardzo daleka od urzeczywistnienia; a trudno wyobrazić sobie poprawę w tej dziedzinie bez wprowadzenia ustroju socjalistycznego. Jest rzeczą konieczną, aby za wychowanie dzieci płaciło państwo, a nie ojciec, i aby kobiety zamężne – poza ostatnimi miesiącami ciąży i okresem karmienia – zarabiały na swe utrzymanie pracą poza domem. Wymagać to będzie pewnych reform w dziedzinie budownictwa mieszkaniowego (mówimy o nich na innem miejscu), oraz żłobków i dziecińców. Dla dzieci, tak samo jak dla matek, będzie to wielkiem dobrodziejstwem, ponieważ dzieci potrzebują przestrzeni, po-

wietrza i pożywienia, których nie może im dać mieszkanie robotnicze, natomiast – przy niewielkich kosztach – może zapewnić racjonalne przedszkole.

Tego rodzaju reforma w położeniu kobiet i dzieci może być w pewnym zakresie przeprowadzona nawet w naszym ustroju, i została nawet tu i ówdzie przeprowadzona na małą skalę i w sposób niezupełny. Zupełna jednak realizacja postulatów w tej dziedzinie możliwa jest tylko w ramach całkowitej przebudowy ustroju społecznego.

7. Sztuka.

Mówiłem już o reformach, jakich oczekiwać należy od socjalizmu w dziedzinie architektury. Malarstwo było w epokach minionych uzupełnieniem i upiększeniem architektury, i może wrócić do tej roli, gdy zrodzona z konkurencyjnej niechęci do sąsiadów tendencja izolowania się – choćby w brudzie i zaduchu – ustąpi miejsca dążeniu do życia bardziej gromadzkiego w warunkach naprawdę estetycznych. Nowoczesna sztuka kinowa ma olbrzymie możliwości, które nie mogą się rozwinąć, dopóki wytwórnie kierują się względami handlowymi; już dziś rozpowszechniony jest pogląd, że możliwości te zostały najpełniej rozwinięte w

Z. S. S. R. Jak szkodliwie handlowy punkt widzenia wpływa na literaturę – o tem wie każdy pisarz; każdy prawie rozmach pisarski musi drażnić jakąś grupę społeczną, a wobec tego zmniejsza ilość sprzedanych egzemplarzy. Jest rzeczą dla pisarza bardzo trudną nie mierzyć swojej wartości otrzymanem honorarjum; gdy złe książki dają duże dochody, tylko pisarz o niezwykłej sile charakteru pisać będzie książki dobre i pozostawać w biedzie.

Trzeba przyznać, że socjalizm *może* jeszcze pogorszyć sytuację w tej dziedzinie. Ponieważ wydawanie książek będzie monopolem państwa, powstanie silna pokusa stosowania wobec książek ostrej cenzury. Dopóki nowy ustrój napotykać będzie na silny opór, cenzura taka będzie niemal nieunikniona. Mamy jednak nadzieję, że kiedy minie okres przejściowy, książki których państwo nie uzna za wskazane wydać samo będą jednak mogły się ukazać – jeśli autor zechce pokryć koszty, pracując w tym celu ponad obowiązującą normę. Ponieważ normalny dzień pracy będzie krótki, nie będzie to stanowiło jakiegś nadmiernej ofiary – a wystarczy jednak, aby odstraszyć autora, który nie jest głęboko przekonany o wartości swego dzieła. Chodzi o to, żeby wydanie książki przez autora było *możliwe*, a nie o to, żeby było bardzo łatwe. Stan dzisiejszy cha-

rakteryzuje nietylko niewystarczająca jakość, ale i nadmierna ilość wydawanych książek.

8. Urządzenia użyteczności publicznej, nie przynoszące zysku.

W państwach cywilizowanych było zawsze rzeczą uznaną, że istnieją pewne rzeczy niezbędne, których wykonania nie można pozostawić inicjatywie prywatnej, kierującej się motywem zysku. Najważniejszą z takich spraw była wojna: nawet ludzie, najgłębiej przekonani o szkodliwości etatyzmu, nie proponują powierzenia obrony narodowej - na mocy odpowiednich kontraktów - prywatnym przedsiębiorcom. Istnieje jednak wiele innych rzeczy, o które władze uznały za konieczne się troszczyć - jak drogi, porty, latarnie morskie, ogrody w miastach i t. p. Dziedziną, w której w ostatnim stuleciu rozwinęła się na ogromną skalę działalność publiczna, jest dziedzina zdrowia. Zwolennicy *laissez-faire* protestowali z początku przeciw tej działalności, ale przemawiające za nią argumenty natury praktycznej okazały się przytłaczające. Gdyby zwyciężyła tu zasada przedsiębiorczości prywatnej, pojawiłyby się liczne nowe drogi zdobywania majątku. Człowiek chory na dżumę mógłby

zwrócić się do jakiejś agencji, która rozesłałaby okólnik do towarzystw kolejowych, teatrów i t. d., stwierdzający że ów pan ma zamiar umrzeć w ich pomieszczeniach, jeżeli nie zagwarantują wdowie poważnego odszkodowania pieniężnego. Zdecydowano jednak, że kwarantanny i izolacji nie można pozostawić inicjatywie prywatnej, ponieważ na upaństwowieniu wygrywa całe społeczeństwo, a tracą tylko jednostki.

Rosnący wciąż zakres i złożoność wszelkiego rodzaju służb publicznych stanowiły jedno z najcharakterystyczniejszych zjawisk ubiegłego wieku. Ołbrzymi był zwłaszcza rozwój oświaty publicznej. Przed powszechnem wprowadzeniem przymusu szkolnego szkoły i uniwersytety utrzymywane były z rozmaitych względów. Istniały fundacje religijne, pochodzące z czasów średniowiecza i fundacje świeckie, takie jak Collège de France, założone przez oświeconych monarchów Odrodzenia; istniały również szkoły instytucyj dobroczynnych dla faworyzowanych jednostek spośród biedaków. Wszystkie te szkoły nie były prowadzone dla zysku. Istniały jednak i takie, które były wyraźnymi przedsiębiorstwami handlowymi – znamy ich przykłady z literatury. Istnieją one i dzisiaj; i chociaż nadzór władz szkolnych nie pozwala im na dokładne ko-

powojowanie owych znanych literackich wzorów, są w dalszym ciągu skłonne kłaść raczej nacisk na poler i ogładę wychowanków, niż na ich wiedzę. Naogół powiedzieć można, że w dziedzinie oświaty motyw zysku miał wpływ niewielki, ale w tym niewielkim zakresie – wpływ wyraźnie ujemny.

W wielu dziedzinach, w których władze publiczne nie prowadzą działalności bezpośredniej, uważają jednak za konieczne wykonywanie pewnej kontroli. Oświeclanie ulic może być powierzone firmie prywatnej, ale dokonywane być musi, z zyskiem czy bez zysku. Prywatne budownictwo mieszkaniowe podlega różnym ustawom i przepisom. Ludzie naogół nie uświadamiają sobie, że w tej dziedzinie pożądanym byłby nadzór daleko ściślejszy. Planowanie zabudowy miast, takie jakie sir Christopher Wren proponował dla Londynu po „Wielkim Pożarze”^{*)}, mogłoby z dzisiejszych brzydkich i brudnych dzielnic mieszkalnych uczynić dzielnice zdrowe i estetyczne. Dotykamy tu innego argumentu, przemawiającego przeciw własności prywatnej. Mianowicie przestrzenie, o jakie chodzi w podobnych wypadkach, są zbyt wielkie, aby mogli o nich decydować najbogatsi nawet plutokraci. Londyn na przykład

^{*)} W r. 1666. (Przyp. tłum.)

musi być rozpatrywany jako całość, ponieważ znaczna część jego mieszkańców śpi w zupełnie innej dzielnicy, niż pracuje. Niektóre ważne zagadnienia komunikacyjne, wiążące się np. z systemami kanałów, zahaczają o interesy wielkich terytorjów, należących do dwóch różnych państw: w takich wypadkach nawet pojedynczy rząd reprezentuje terytorjum zbyt małe. Zarówno ludzie i towary, jak energja mogą być dziś przenoszone z miejsca na miejsce znacznie łatwiej, niż w czasach dawniejszych, i w rezultacie małe miejscowości są dziś o wiele mniej samowystarczalne niż w okresie, kiedy koń był jedynym środkiem lokomocji. Elektrownie i inne centrale energetyczne nabierają takiej doniosłości, że jeśli pozostawić je w rękach prywatnych – stać się mogą ośrodkami władzy despotycznej, podobnej do tej, jaką posiadał średniowieczny baron dzięki murom swojego zamku. Jest rzeczą oczywistą że społeczeństwo, zależne od jakiegoś źródła energji, musi być poważnie zagrożone w swojej egzystencji gospodarczej, jeśli właściciele tego źródła mają możność wyzyskiwać w pełni swoją monopolistyczną sytuację. Potrzeby ruchu towarowego prowadzą do zależności od linii kolejowych; ruch posażerski uzależniony jest teraz znowu – jak kiedyś – w dużym stopniu od dróg. Koleje i samo-

chody czynią granice miast anachronizmem; samoloty działają w tym samym kierunku, jeśli chodzi o granice państwowe. W ten sposób pod wpływem wynalazków następuje unifikacja coraz większych terytoriów, wymagająca coraz silniejszej kontroli organów publicznych.

9. W o j n a.

Przechodzę teraz do ostatniego i najmocniejszego z argumentów, przemawiających za socjalizmem – mianowicie do zapobiegania wojnie. Nie będę tracił czasu na dowodzenie prawdopodobieństwa wojny, albo jej szkodliwości – to bowiem można uważać za ustalone. Ograniczę się do rozważenia dwóch zagadnień: pierwszego – w jakim stopniu niebezpieczeństwo wojny związane jest dzisiaj z nacjonalizmem, i drugiego – w jakim stopniu niebezpieczeństwo to zostałoby usunięte przez wprowadzenie ustroju socjalistycznego.

Wojna jest zjawiskiem starem, nie wywołanem początkowo przez kapitalizm, chociaż przyczyny jej były zawsze przede wszystkim ekonomiczne. W przeszłości płynęła głównie z dwóch źródeł: z osobistych ambicij monarchów oraz z ekspansywnych tendencyj żywotnych plemion i narodów. Oba te

rysy dostrzec możemy w konflikcie takim, jak Wojna Siedmioletnia: w Europie był to spór dynastyczny, gdy w Ameryce i Indjach miał charakter wojny narodów. W podbojach Rzymu wielką rolę grały osobiste interesy materialne wodzów i legjonistów. Ludy pasterskie, jak Arabowie, Hunnowie i Mongoli, zaczynały niejednokrotnie podboje na skutek braku odpowiednich pastwisk. We wszystkich epokach – pomijając okresy, w których panujący mógł wymusić dla siebie posłuch, jak w Cesarstwie Chińskim i w Imperjum Rzymskim czasów późniejszych – wojnę ułatwiał fakt, że pełna wigoru i energii ludność męska pragnęła jej, wierząc w zwycięstwo, kobiety zaś podziwiały w mężczyznach ich odwagę. Chociaż nowoczesna wojna mało jest podobna do owych prymitywnych początków, jednak dawne motywy działają w dalszym ciągu, i przeciwnicy wojny muszą o nich pamiętać. Tylko socjalizm, które zniesie granice między narodami, stanowić będzie *zupełną* gwarancję przeciw wojnie; ale już wprowadzenie socjalizmu w głównych państwach cywilizowanych zmniejszyłoby ogromnie – jak będę się starał wykazać – niebezpieczeństwo wojny.

Chociaż awanturniczy impuls, pchający do wojny, istnieje w dalszym ciągu w pewnych sferach

ludności krajów cywilizowanych – czynniki, wywołujące pragnienie pokoju, są dziś o wiele silniejsze, niż były kiedykolwiek w ciągu ostatnich paru stuleci. Ludzie wiedzą z gorzkiego doświadczenia, że ostatnia wojna nie przyniosła dobrobytu nawet zwycięzcom; zdają sobie też sprawę, że wojna następna pociągnie za sobą prawdopodobnie straty wśród ludności cywilnej, dla których – jeśli chodzi o liczby absolutne – historia nie zna wogóle żadnej analogji, a jeżeli chodzi o stosunek strat do całej ludności – analogji trzeba szukać chyba w Wojnie Trzydziestoletniej; że, ponadto, straty te nie ograniczą się bynajmniej do jednej tylko ze stron walczących. Ludzie boją się, że całe stolicy mogą być zburzone, i całe kontynenty – utracone dla cywilizacji. Anglicy w szczególności zdają sobie sprawę, że nie są już – jak w ciągu wieków – zabezpieczeni przed inwazją. Wszystkie te względy wytworzyły w Anglii namiętne pragnienie pokoju, a w innych krajach – nastrój podobny, choć może nie tak intensywny.

Dlaczego, mimo to wszystko, istnieje niebezpieczeństwo bliskiej wojny? Bezpośrednim powodem jest surowość Traktatu Wersalskiego, która wywołała rozwój wojującego nacjonalizmu w Niemczech. Ale nowa wojna zakończyłaby się prawdopo-

dobnie traktatem jeszcze bardziej surowym dla kraju zwyciężonego, wywołując w nim jeszcze gwałtowniejszą reakcję. Taka niekończąca się huśtawka nie może prowadzić do trwałego pokoju, który nastąpi dopiero wtedy, gdy usunięte zostaną przyczyny nieprzyjaźni między narodami. Przyczyn tych należy szukać dzisiaj przede wszystkim w interesach ekonomicznych pewnych grup ludności; usunąć je więc może tylko gruntowna przebudowa ustroju.

Jeżeli chcemy znaleźć dobrą ilustrację twierdzenia, że pewne interesy ekonomiczne pchają do wojny, przypatrzmy się hutnictwu stali i żelaza. Zasadnicze znaczenie ma tu fakt, że przy nowoczesnej technice koszt na jednostkę produkcji spada w miarę tego, jak wyprodukowana ilość rośnie. Zysk więc można osiągnąć tylko przy dostatecznie dużym rynku zbytu. Przemysł stalowy Stanów Zjednoczonych, dysponujący ogromnym rynkiem wewnętrznym, nie miał dotąd wielkiej potrzeby wtrącania się do polityki—poza udaremnianiem od czasu do czasu projektów rozbrojenia na morzu. Natomiast zarówno w Anglii, jak we Francji i w Niemczech rynek krajowy na wyroby stalowe jest zbyt mały w stosunku do poziomu technicznego przemysłu. Hutnictwo tych trzech krajów mogłoby oczywiście osiągnąć

pewne korzyści, porozumiawszy się między sobą; ale przeciw porozumieniu przemawiają też pewne argumenty gospodarcze. Popyt na stal jest w znacznej części związany z przygotowaniami wojennymi i z tego względu hutnictwo czerpie zyski z nacjonalizmu i rosnących zbrojeń. Ponadto, zarówno Comité des Forges jak i niemiecki Trust Stalowy mają nadzieję przy pomocy wojny zdruzgotać rywala, nie kwapią się więc do dzielenia z nim zysków; a ponieważ koszt wojny poniosą przeważnie inni, taka perspektywa wydaje im się finansowo pożądana. Prawdopodobnie mylą się w swoich przewidywaniach – ale jest to omyłka naturalna dla ludzi śmiałych, pewnych siebie i upojonych władzą. Fakt, że bardzo ważna ruda lotaryńska znajduje się na terytorjum dawniej niemieckiem a obecnie francuskim, powiększa jeszcze wrogi nastrój między obu koncernami, stanowiąc stałe przypomnienie, jakie korzyści może dać wygrana wojna. Większą agresywność wykazują przytem, rzecz prosta, Niemcy – gdyż Francuzi są już w posiadaniu łupów wojennych.

Przedstawiciele przemysłu stalowego – i innych przemysłów, mających podobne interesy – nie byłiby oczywiście w stanie wyzyskiwać dla swych celów całych wielkich narodów, gdyby nie mogli od-

woływać się do silnych impulsów, rozpowszechnionych wśród ludności. We Francji i Anglii impulsem takim jest strach, w Niemczech – oburzenie wobec doznanej niesprawiedliwości; uczucia obu stron są zresztą całkiem usprawiedliwione. Jeżeliby jednak sprawa mogła być spokojnie rozważona, obie strony musiałyby uznać za oczywiste, że oparte na słuszności porozumienie jest dla wszystkich rzeczą najpożyteczniejszą. Niema żadnych przekonywających racyj dla których niesprawiedliwość, wyrządzona Niemcom, nie miałaby być naprawiona; gdyby zaś została naprawiona – Niemcy nie mieliby żadnych rozsądnych motywów zachowywać się w sposób, wywołujący obawy sąsiadów. Po każdym jednak wezwaniu do spokoju i rozwagi w sprawę wdaje się propaganda, apelująca do patriotyzmu i honoru narodowego. Świat jest w położeniu pijaka, który chce się poprawić, ale otoczony jest przez przyjaciół częstujących go wódką – i wobec tego wraca wciąż zpowrotem do swojego nałogu. Dobrymi przyjaciółmi są w tym wypadku ludzie, którzy z nieszczęsnej skłonności ofiary ciągną zyski pieniężne – i wobec tego kuracja musi się zacząć od usunięcia ich. W tem tylko, ograniczonem znaczeniu kapitalizm współczesny może być uważany za przyczynę wojen: nie jest to przyczyna jedyna, ale

stanowi ona istotny czynnik, umożliwiający innym przyczynom odegranie ich roli. Gdyby ustrój kapitalistyczny się skończył, ludzie zrozumieliby szybko absurdalność wojny i weszli na drogę rozumnych układów, które uczyniłyby jej powrót rzeczą nieprawdopodobną.

Ostateczne i całkowite rozwiązanie zagadnień tego typu, o jakich mówiliśmy w związku z przemysłem stalowym i innymi przemysłami o pokrewnych interesach, możliwe jest tylko po zwycięstwie socjalizmu w skali międzynarodowej, kiedy wszystkimi temi gałęziami przemysłu kierowałaby jedna centralna władza, reprezentująca wszystkie rządy. Ale już upaństwowienie tych gałęzi w głównych krajach przemysłowych wystarczyłoby zapewne, aby usunąć bezpośrednie niebezpieczeństwo wojny. Gdyby bowiem przemysł stalowy znajdował się w rękach demokratycznego rządu, zakłady jego nie byłyby prowadzone dla zysku, ale dla korzyści całego narodu. W bilansie finansów publicznych zyskom przemysłu stalowego odpowiadałyby straty innej gałęzi gospodarki, a ponieważ niczyje dochody nie ulegałyby wahaniom, zależnym od strat czy zysków jakiegoś jednego przemysłu, nikt nie miałby żadnego powodu popierać interesów hutnictwa na niekorzyść interesów publicz-

nych. Wzrost produkcji stali, spowodowany zwiększeniem zbrojeniami, wystąpiłby jako strata, ponieważ byłby równoznaczny z odpowiednim ograniczeniem podaży dóbr konsumcyjnych, dzielonych między ludność. W ten sposób interesy prywatne znalazłyby się w harmonii z interesami publicznymi, i motywy dla których prowadzi się oszukańczą propagandę przestałyby istnieć.

Kilka słów jeszcze powiedzieć trzeba o tem, jak socjalizm usunie pozostałe z umówionych przez nas bolączek społecznych.

Zamiast motywu zysku, życie gospodarcze oparte będzie na planowej działalności władz centralnych; i chociaż w planowaniu tem rząd *może* popełnić błędy – będzie to robił rzadziej, niż poszczególne jednostki, ponieważ posiadać będzie większą wiedzę. Kiedy cena gumy była wysoka, każdy kto mógł zakładał plantacje drzew gumowych; w rezultacie po paru latach cena spadła katastrofalnie, i trzeba było zawierać umowy, ograniczające produkcję. Władza centralna, mająca do dyspozycji wszelkie informacje statystyczne, może nie dopuścić do tego rodzaju fałszywych kalkulacji. Mimo to, niedające się przewidzieć czynniki takie, jak nowe wynalazki, mogą zadać kłam najostrożniejszym nawet przewidywaniom. W takich

wypadkach społeczeństwo jako całość wygrywa na tem, że przejście do nowych sposobów wytwarzania odbywa się stopniowo. W stosunku do tych, którzy kiedykolwiek znaleźliby się bez pracy, ustrój socjalistyczny będzie mógł zastosować środki, które dzisiaj są niemożliwe do przeprowadzenia nasutek obawy bezrobocia i wzajemnej nieufności przedsiębiorców i robotników. Gdy jedna gałąź przemysłu znajduje się w upadku, a inna rozszerza swoją działalność, młodzi robotnicy mogą być wycofani z pierwszej gałęzi i przygotowywani do pracy w drugiej. Rozmiary bezrobocia mogą być ogromnie zredukowane przez skrócenie godzin pracy. Gdy dla kogoś nie będzie pracy wogóle, będzie mimo to otrzymywał swoją pełną płacę, ponieważ płacić mu się będzie za jego *gotowość* do pracy. Jeśli niektóre jednostki trzeba będzie zmuszać do pracy – czynić się to będzie przy pomocy prawa karnego, a nie sankcyj gospodarczych.

Od organów planujących – a więc w ostatecznym rachunku od głosowania ludowego – zależeć będzie decyzja co do długości dnia pracy, pociągająca za sobą określony poziom dobrobytu ludności z jednej strony, i określoną ilość wolnego czasu – z drugiej. Jeśli każdy pracować będzie cztery godziny, poziom dobrobytu będzie mniejszy, niż gdyby pracował

pięć. Można mieć nadzieję, że udoskonalenia techniczne wyzyskane będą częściowo dla podniesienia dobrobytu, a częściowo dla pozostawienia ludziom większej ilości wolnego czasu.

Obawa utraty zarobku przestanie istnieć (jeśli pominąć ewentualność wojny), ponieważ każdy otrzymywać będzie stałą płacę – chyba że popełni jakieś przestępstwo – a koszty utrzymania i wychowania dzieci ponosić będzie państwo. Żony nie będą zależały materialnie od mężów, a wady rodiców nie będą paczyły wychowania dzieci. Ustanie wogóle zależność gospodarcza jednych ludzi od drugich; wszyscy zależeć będą tylko od państwa.

Dopóki socjalizm nie obejmie wszystkich krajów cywilizowanych, pozostanie jeszcze zawsze możliwość wojny, i korzyści nowego ustroju nie dadzą się w pełni zrealizować. Gdy jednak cały świat cywilizowany wprowadzi ustrój socjalistyczny, czynniki które mogłyby prowadzić do większych wojen będą prawdopodobnie zbyt słabe, aby mogły przeważyć oczywiste względy, przemawiające za pokojem.

Socjalizm – powtarzam – nie jest doktryną, odpowiednią jedynie dla proletariatu. Uwalniając ludzi od trosk materialnych, musi on polepszyć warunki wszystkich, poza małą garstką bogaczy; jeśli

* w rozumieniu: niepełność jutra i t.d.

zaś – w co mocno wierzę – może zapobiec wielkim wojnom, przysłuży się w ogromnym stopniu całemu światu. Przekonanie bowiem niektórych potentatów przemysłu, że nowa Wielka Wojna byłaby dla nich zyskową imprezą, jest – mimo przemawiających za tem pozornie argumentów gospodarczych – chorobliwym złudzeniem megalomanów.

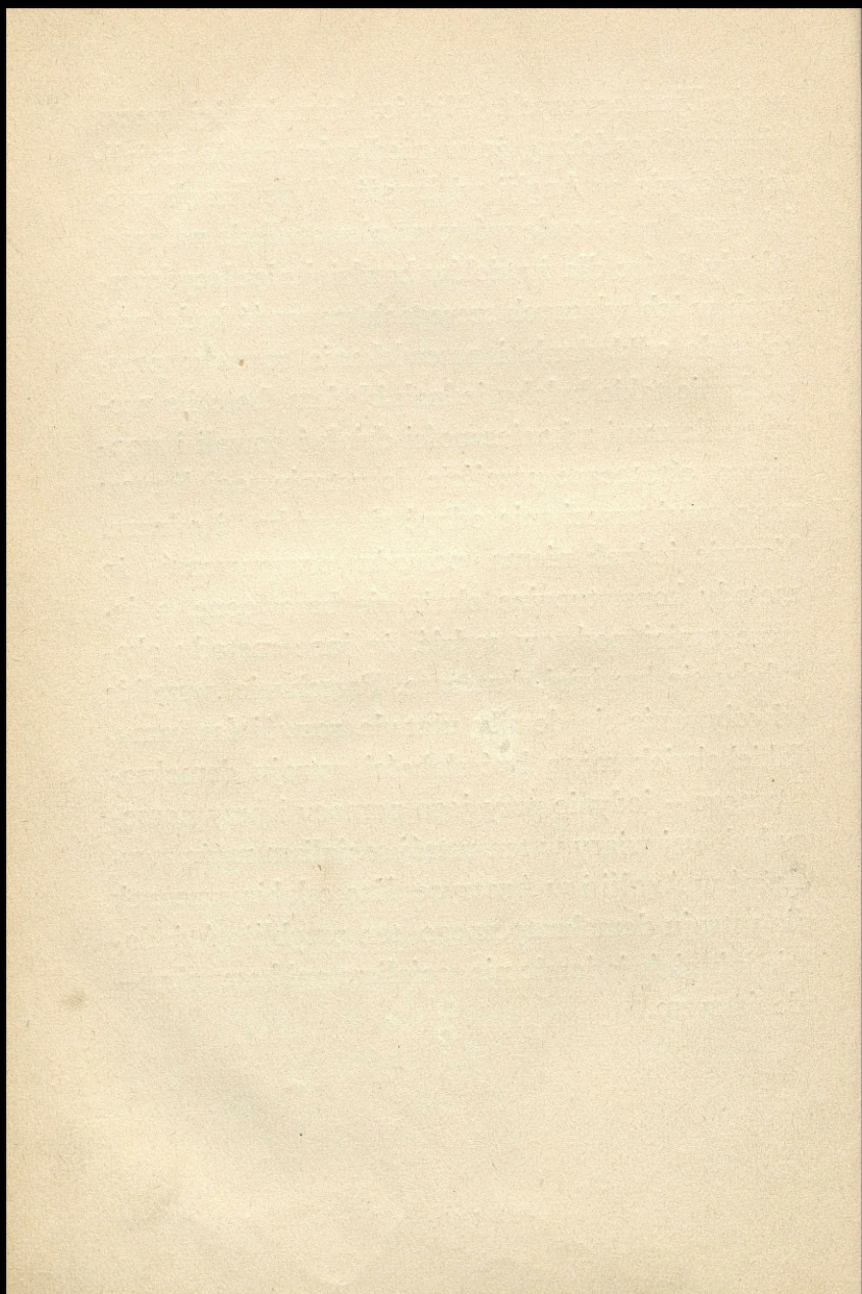
Czy jest istotnie prawdą, jak twierdzą komuniści, że socjalizm – system tak dobroczynny dla wszystkich i tak łatwo zrozumiały, za którym przemawia ponadto oczywiste załamanie się dzisiejszego ustroju gospodarczego i rosnące wciąż niebezpieczeństwo wojny, a więc i ogólnej katastrofy – czy jest istotnie prawdą, że system ten może przemawiać jedynie do proletarijuszki i do garstki intelektualistów i że może być wprowadzony w życie tylko przy pomocy krwawej i destrukcyjnej wojny domowej, której wynik nie da się nigdy z góry przewidzieć? Co do mnie, nie mogę w to uwierzyć. Pod pewnemi względami socjalizm zrywa z zakorzenionemi nawykami, i wobec tego wywołuje sprzeciw emocjonalny, który może być pokonany jedynie stopniowo. W umysłach przeciwników socjalizm łączy się z ateizmem i terorem. Naprawdę jednak socjalizm nie ma nic wspólnego z zagadnieniami religijnymi. Jest to koncepcja gospodarcza; socjalista

może być chrześcijaninem, mahometaninem, czy buddystą, nie popełniając żadnej niekonsekwencji logicznej. Co się zaś tyczy teroru, stosowano go często w ostatnich czasach, przeważnie ze strony reakcji – i istotnie należy się obawiać, że gdy socjalizm wprowadzony będzie drogą buntu przeciw reżimowi teroru reakcyjnego, odziedziczyć może w pewnym stopniu jego gwałtowność i surowość. Myślę jednak że w krajach, w których istnieje jeszcze w pewnym zakresie wolność słowa i prasy, argumenty za socjalizmem mogą – jeśli przedstawiane będą z zapałem a jednocześnie z cierpliwością – przekonać o wiele więcej niż połowę ludności. Jeśliby w tej sytuacji mniejszość uciekła się do siły – większość będzie oczywiście musiała siłą pokonać butowników. Jeżeli jednak praca propagandowa będzie uprzednio przeprowadzona dostatecznie gruntownie, bunt powinien być rzeczą tak oczywiście beznadziejną, że nawet najwięksi reakcyjniści nie będą skłonni go wywołać, a jeśli go wywołają – pokonani zostaną tak szybko i z taką łatwością, że do stosowania teroru nie będzie powodu. Dopóki można działać perswazją, a większość nie jest jeszcze przekonana – do siły uciekać się nie należy; gdy zaś większość została przekonana – można pozostawić sprawę działaniu normalnego demokra-

tycznego ustroju, chyba że rebeljanci powstaną przeciw prawu. Stłumienie takiego powstania byłoby oczywiście obowiązkiem rządu; ale socjaliści odwołaliby się w takim wypadku do siły tak samo, jak czyniłaby to każda partja rządząca w kraju konstytucyjnym i demokratycznym. I jeśli socjaliści chcą mieć kiedykolwiek siłę po swojej stronie – zdobyć ją mogą tylko przy pomocy działalności propagandowej.

W niektórych sferach przyjął się pogląd, że chociaż w pewnym okresie możliwe było wprowadzenie ustroju socjalistycznego przy pomocy zwykłych metod propagandy politycznej, rozwój faszyzmu uniemożliwił obecnie tę drogę. Jeśli chodzi o kraje, w których panuje faszyzm – jest to oczywiście prawda, ponieważ żadna opozycja legalna nie może w tych krajach istnieć. Inaczej jest jednak we Francji, Anglii i Stanach Zjednoczonych. We Francji i w Anglii istnieją potężne partje socjalistyczne; pozatem w Anglii i w Stanach Zjednoczonych komuniści są bardzo nieliczni i nie widać, aby zyskiwali wpływy. Jest ich dość na to, by dawać reakcjonistom pretekst do stosowania umiarkowanych represyj – nie są jednak takim straszakiem, któryby mógł powstrzymać odbudowanie Partji Pracy w Anglii po r. 1931, ani wzrost radykalizmu w Sta-

nach Zjednoczonych. Nie jest bynajmniej rzeczą nieprawdopodobną, że w niedługim czasie socjaliści zdobędą w Anglii większość. W realizacji swoich zasad natkną się wówczas niewątpliwie na przeszkody, które dla żywiołów bardziej niezdecydowanych w ich własnych szeregach stanowić będą pretekst do odkładania i przewlekania sprawy; przewlekanie takie byłoby jednak błędem, bo o ile propaganda musi z konieczności działać powoli i stopniowo, ostateczne przejście do ustroju socjalistycznego musi przeciwnie odbyć się szybko i odrazu. Narazie jednak niema powodu przypuszczać, że metody konstytucyjne okażą się bezowocne, a jeszcze mniej podstaw sądzić, że inne metody okazałyby się bardziej skuteczne. Przeciwnie, wszelkie odwoływanie się do siły ułatwia rozwój faszyzmu. Jakiegolwiek mogą być słabości ustroju demokratycznego – jedynie przy jego pomocy i przy pomocy ludowej wiary w ten ustrój socjalizm może zwyciężyć w Anglii i w Ameryce. Kto osłabia szacunek dla ustroju demokratycznego, ten przybliża świadomie lub nieświadomie nie socjalizm ani komunizm – ale faszyzm.



CYWILIZACJA ZACHODU

Widzieć we właściwej perspektywie cywilizację, w której się wyrosło – nie jest to bynajmniej rzecz łatwa. Oczywistą pomocą w tym kierunku jest znajomość obcych krajów, historii i antropologii – i uwagi, jakie mam wypowiedzieć, nasunęły mi się pod wpływem wszystkich tych trzech dziedzin; żadna z nich jednak nie jest w gruncie rzeczy tak pomocną dla wytworzenia obiektywnego poglądu, jak się może wydawać. Podróżnik widzi to tylko, co go interesuje; Marco Polo na przykład nie zauważył wcale małych stóp Chinek. Historyk układa wydarzenia w sposób zgodny ze swymi zainteresowaniami: upadek Rzymu przypisywany był już imperjalizmowi, chrześcijaństwu, malarji, rozwodom i imigracji – przyczem dwie ostatnie koncepcje cieszyły się szczególną popularnością w Ameryce, pierwsza wśród pastorów, a druga wśród polityków. Antropolog wybiera i interpretuje fakty według panujących w danym okresie przesądów. Cóż my, niezna-

jący dzikich krajów, wiemy o ich mieszkańcach? Wyznawcy Russa twierdzili, że człowiek dziki jest szlachetny, a imperjaliści – że jest okrutny; ortodoksyjnie usposobieni antropologowie widzą w nim wszystkie cnoty rodzinne, a zwolennicy reformy prawa małżeńskiego utrzymują, że uprawia wolną miłość; sir John Fraser powiada, że zawsze zabija swojego boga, inni mówią, że zawsze korzy się przed nim. Krótko mówiąc, dziki człowiek jest bardzo uczynny i robi zawsze to, czego potrzeba teorjom antropologa. Mimo jednak całej ich niedokładności, podróże, historia i antropologia są nam najlepszą pomocą w naszym zagadnieniu, i musimy ich nauki jaknajpełniej wyzyskać.

Przedewszystkiem jednak, na czym polega cywilizacja? Jej zasadniczą cechą jest, powiedziałbym, *myślenie o przyszłości*. Tem przecież głównie ludzie różnią się od zwierząt i dorośli od dzieci. Ale ponieważ myśleć o przyszłości można w stopniu większym i mniejszym, możemy też wyróżniać narody i epoki mniej lub bardziej cywilizowane w zależności od tego, w jakim stopniu cechę tę wykazują; a cechę tę można niemal dokładnie mierzyć ilościowo. Nie będę twierdził, że przeciętna zdolność myślenia o przyszłości danego społeczeństwa jest odwrotnie proporcjonalna do istniejącej stopy

procentowej, choć możnaby bronić takiego poglądu. Sądzę jednak, że można określić stopień uwzględniania przyszłości z jakim przedsięwzięty został każdy konkretny czyn, biorąc pod uwagę trzy czynniki: przykrość doznawaną w chwili dokonywania czynu, przyjemność jaką czyn ma nam dostarczyć, oraz odstęp czasu między czynem i przyjemnością. Spółczynnik o który nam chodzi jest tem większy, im większa doznawana przykrość i odstęp czasu, i im mniejsza przyszła przyjemność. Myślenie o przyszłości ze strony całego społeczeństwa jest czem innem, niż ze strony jednostki. W społeczeństwie arystokratycznym lub plutokratycznym terażniejsze przykrości mogą być udziałem jednych, a przyszłe przyjemności – innych; to sprawia, że w działalności społeczeństw tego rodzaju (którą kierują oczywiście arystokraci lub plutokraci) uwzględnianie przyszłości jest rzeczą o wiele łatwiejszą. Cała działalność, charakterystyczna dla industrializmu, posiada cechę tę w wysokim stopniu: budowanie kolei, portów czy okrętów jest pracą, przynoszącą owoce dopiero po latach.

Przyznać trzeba, że nikt dziś nie myśli o przyszłości w takim stopniu, jak starożytni Egipcjanie, którzy balsamowali zwłoki z myślą o ich zmartwychwstaniu po jakichś 10000 lat. To naprowadza

nas na drugi czynnik, zasadniczy dla cywilizacji, mianowicie na *wiedzę*. Myśl o przyszłości, oparta na przesądach, nie może być uważana za objaw cywilizacji, choć może prowadzić do wytworzenia takiej właśnie postawy psychicznej, jakiej rozwój prawdziwej cywilizacji wymaga. Naprzykład tendencja Purytanów odkładania przyjemności aż do życia przyszłego niewątpliwie ułatwiła akumulację kapitału, niezbędną dla rozwoju industrjalizmu. Możemy więc ostatecznie zdefinjować życie cywilizowane, jako *tryb życia, wynikający z wiedzy w połączeniu z myślą o przyszłości*.

Cywilizacja tak rozumiana zaczyna się wraz z rolnictwem i oswojeniem zwierząt przeżuujących. Aż do czasów względnie niedawnych istniał wyraźny podział na narody pasterskie i rolnicze; czytamy w *Genesis* (XLVI, 31-4), jak Izraelici musieli osiąść w ziemi Gosen, zamiast we właściwym Egipcie, ponieważ Egipcjanie nie uznawali pasterstwa: „I rzekł Józef do braci swoich: pójdę do Faraona i powiem mu jako moi bracia i cały dom ojca mego, którzy byli w ziemi Chanaan, przyszli do mnie; i że są to pasterze, bowiem zajęciem ich było paść bydło; i przyprowadzili ze sobą swoje stada, i trzody swoje, i wszystko co ich jest. I stanie się że Faraon zawoła was i zapyta, czem się zaj-

mujecie? I odpowiecie wtedy: Twoi niewolnicy chodzili koło bydła od młodości aż do dziś dnia, oni i ich ojcowie; a przebywać możecie w ziemi Gosen; bowiem dla Egipcjan każdy pasterz wstrętny jest." W opisach podróży Huc'a znajdujemy podobną postawę Chińczyków wobec pasterskich Mongołów. Naogół biorąc, ludy rolnicze reprezentowały zawsze wyższy szczebel cywilizacji i były bardziej religijne. Ale stada i trzody pasterców nie pozostały bez poważnego wpływu na religję żydowską, a więc i na chrześcijaństwo. Opowieść o Kainie i Ablu jest historyjką propagandową, mającą wykazać, że pasterze są bardziej cnotliwi od rolników. Tem niemniej, aż do czasów najnowszych cywilizacja opierała się głównie na rolnictwie.

Jak dotąd nie wskazaliśmy niczego, co odróżniałoby cywilizację Zachodu od cywilizacji innych rejonów – Indyj, Chin, Japonji czy Meksyku. Istniejące różnice związane są w gruncie rzeczy dopiero z rozwojem nauk ścisłych. Nauka i industrializm są dziś charakterystycznymi cechami cywilizacji Zachodu; ale najprzód chciałbym jeszcze rozważyć, czym była nasza cywilizacja przed Rewolucją Przemysłową.

Jeśli cofniemy się do początków cywilizacji Za-

chodu, stwierdzimy że to co zapożyczyła ona od Egiptu i Babilonu jest naogół wspólną cechą wszystkich cywilizacji, a nie jej rysem odrębnym. Rysy swoiste zaczynają się dopiero od Greków, którzy pierwsi uprawiali rozumowanie dedukcyjne i wynaleźli naukę geometrii. To co było pozatem wartościowego w cywilizacji greckiej nie stanowiło już jej cechy szczególnej, albo też zagubiło się w mrokach średniowiecza. W literaturze i sztuce Grecy dzierżyli może prym, ale nie różnili się w sposób bardzo istotny od wielu innych starożytnych narodów. W nauce doświadczalnej Grecja wydała na świat paru ludzi – przede wszystkim Archimedes – którzy antycypowali metody nowoczesne; ludzie ci jednak nie wytworzyli szkoły ani tradycji. Jedynym wybitnym i jednocześnie swoim wkładem Greków do cywilizacji było rozumowanie dedukcyjne i czysta matematyka.

✕ Ale Grecy nie odznaczałi się zdolnościami politycznymi, i ich zasługi dla cywilizacji zostałyby prawdopodobnie zmarnowane, gdyby nie organizacja polityczna Rzymian. Rzymianie stworzyli metodę rządzenia wielkiem imperjum przy pomocy aparatu urzędników państwowych i systemu prawa. W państwach dawniejszych wszystko zależało od wigoru i energii monarchy; natomiast w Impe-

rium Rzymskiem monarcha mógł być zamordowany przez Pretorjanów, a samo imperjum wystawiane na sprzedaż z licytacji, i przytem mechanizm państwowy doznawał bardzo nieznacznego zakłócenia – nie większego w gruncie rzeczy niż to, jakie powstaje dzisiaj w chwili wyborów do parlamentu. Rzymianie, jak się zdaje, pierwsi przejawiali cnotę lojalności wobec nieosobowego państwa, zamiast dawniejszej lojalności wobec osoby panującego. Grecy coprawda mówili o patryjotyzmie, ale politycy ich byli przekupni; wszyscy prawie kiedyś w swojej karierze przyjmowali łapówki od Persów. Rzymska koncepcja ofiarności wobec państwa odegrała decydującą rolę w wytworzeniu na Zachodzie ciągłości władzy państwowej.

Zadaniem cywilizacji Zachodu, takiej jaka istniała aż do czasów najnowszych, było jeszcze wynalezienie odpowiedniej formy dla stosunków wzajemnych państwa i religji – stosunków, które rozwinęły się pod wpływem chrześcijaństwa. Chrześcijaństwo było z początku doktryną zupełnie apolityczną, ponieważ powstało w Imperjum Rzymskiem jako pocieszenie dla tych, którzy utracili wolność narodową i osobistą; postawę moralnego pojęcia wobec rządzących przejęło ono od judaizmu. W okresie przed Konstantynem chrześcijań-

stwo wytworzyło własną organizację, wobec której każdy chrześcijanin obowiązany był do lojalności większej jeszcze, niż wobec państwa. Po upadku Rzymu chrześcijaństwo potrafiło uchronić w swojej syntezie wszystko, co było najbardziej żywotne w cywilizacjach Żydów, Greków i Rzymian. Z namiętnego moralizatorstwa Żydów zrodziły się etyczne przepisy chrystjanizmu, z greckiego pociągu do rozumowania dedukcyjnego powstała teologia, a przykład rzymskiego ustroju państwowego i rzymskiego prawa wytworzył scentralizowany ustrój kościoła i prawo kanoniczne.

Chociaż jednak te czynniki, reprezentujące wysoką cywilizację, zostały jakgdyby przechowane poprzez epokę średniowiecza, wpływ ich przez długie lata był bardzo ograniczony. Cywilizacja Zachodu nie była zresztą najwyższą z istniejących w owym czasie: stała niżej zarówno od cywilizacji mahometańskiej, jak od chińskiej. Dlaczego Zachód zaczął po pewnym czasie iść tak szybko naprzód – to pozostaje, moim zdaniem, w dużym stopniu tajemnicą. Jest dziś w zwyczaju dopatrywać się wszędzie przyczyn ekonomicznych, ale wyjaśnienia tego rodzaju zazwyczaj zbyt upraszczają sprawę. Same przyczyny ekonomiczne nie wytłumaczają, na przykład, upadku Hiszpanji,

wywołanego raczej przez nietolerancję i głupotę; nie wytłumaczają też rozwoju nauki. Ogólną regułą jest, że cywilizacja nie rozwija się, jeśli nie wchodzi w kontakt z jakąś cywilizacją obcą, wyższą od niej. W historii ludzkości było tylko parę wypadków, kiedy na jakimś terytorjum odbywał się rozwój spontaniczny, niezależny od wpływów zewnętrznych. Taki rozwój nastąpić musiał w Egipcie i Babilonie, gdy pojawiła się tam sztuka pisanie i rolnictwo; w Grecji trwał około 200 lat, a w Europie Zachodniej – począwszy od Odrodzenia. Nie sądzę jednak, aby na tych terytorjach w tych właśnie okresach ogólne warunki społeczne wykazywały jakieś cechy swoiste w porównaniu z innymi terytorjami i innymi okresami, nie wykazującemi żadnego postępu. Nie mogę wyrzec się przekonania, że wielkie epoki postępu wywołane były przez niewielką liczbę jednostek o niezwykłych zdolnościach. Do wywołania takich skutków rozmaite warunki społeczne i polityczne były oczywiście *niezbędne* – nie były jednak *wystarczające*, ponieważ często zachodziły, nie prowadząc wcale do postępu, jeśli przytem nie pojawiły się jednostki wyjątkowe. Gdyby Kepler, Galileusz i Newton poumierali w dzieciństwie, świat w którym żyjemy różniłby się o wiele mniej od świata szesnastego wieku. Z tego płynie

morał, że nie możemy uważać postępu za rzecz pewną: gdyby wybitne jednostki przestały się pojawiać, pograżylibyśmy się niewątpliwie w bizantyjskim bezruchu.

Średniowieczu zawdzięczamy jedną instytucję o wielkiej doniosłości, mianowicie ustrój oparty na przedstawicielstwie ludowem. Doniosłość tej instytucji polega na tem, że dzięki niej w wielkiem państwie rządzeni mogą poraz pierwszy traktować rząd, jako wybrany przez siebie. Gdzie system ten działa z powodzeniem, okazał się pierwszorzędnym czynnikiem stabilizacji politycznej i ustrojowej; ale w ostatnich czasach stało się rzeczą oczywistą, że parlamentaryzm nie jest uniwersalnem lekarstwem, dającym się zastosować we wszystkich częściach świata. Jak się zdaje, system ten przyjął się z powodzeniem przedewszystkiem w krajach anglo-saskich i we Francji.

Mimoto pozostaje faktem że spójność polityczna społeczeństwa, osiągnąta tą lub inną drogą, stała się cechą charakterystyczną cywilizacji Zachodu, w przeciwstawieniu do cywilizacji innych rejonów. Spójność ta jest głównie dziełem patryjotyzmu, który – choć korzeniami swemi tkwi w partykularyzmie żydowskim i w rzymskiej koncepcji poświęcenia dla państwa – jest zjawiskiem bardzo nowo-

czesnem: pojawił się w Anglii w związku z walką przeciw hiszpańskiej Armadzie, a Szekspir dał mu poraz pierwszy wyraz w literaturze. Spójnia państwowa, opierająca się głównie na patriotyzmie, rosła na Zachodzie już od zakończenia wojen religijnych, i szybko rośnie w dalszym ciągu. Szczególnie pojętnym uczniem okazała się w tej dziedzinie Japonja. W starej Japonji panoszyli się niespokojni baronowie feodalni, podobni do tych, którzy dręczyli Anglję w czasie Wojny Dwóch Róż. Przy pomocy jednak prochu i broni palnej – przywożonych do Japonji na tych samych okrętach, które przywoziły misjonarzy chrześcijańskich – Szogunowie zaprowadzili spokój wewnątrz kraju; w rezultacie zaś wysiłków, przedsięwziętych od r. 1868 i posługujących się oświatą oraz religją Szinto, rządowi udało się wytworzyć naród nie mniej spójny i zjednoczony niż którykolwiek z narodów Zachodu.

Większa spójność polityczna społeczeństw nowożytnych związana jest w bardzo dużym stopniu ze zmianami w dziedzinie sztuki wojennej, które – poczynając od wynalazku prochu – działały wszystkie w kierunku zwiększenia władzy rządów. Proces ten nie jest jeszcze zapewne bynajmniej zakończony, komplikuje go jednak pewien nowy czynnik: w miarę tego jak armje zależą coraz bardziej od

przemysłu, dostarczającego im amunicji i sprzętu wojennego, rządy muszą coraz bardziej dbać o poparcie szerokich mas ludności. Wymaga to odpowiedniej techniki propagandowej – i przyjąć można, że w tej dziedzinie rządy poczynią w najbliższych latach znaczne postępy. *Tak jest (1942)*

Historja Europy w ciągu ostatnich czterystu lat była historją jednoczesnego rozwoju i upadku: upadku starej syntezy, reprezentowanej przez kościół katolicki, i rozwoju nowej, jak dotąd jeszcze bardzo niedoskonałej, a opierającej się narazie na patryjotyzmie i technice naukowej. Nie można twierdzić że cywilizacja oparta na nauce, przeniesiona do społeczeństw które nie mają naszej historji, będzie miała tam to samo oblicze, jakie ma u nas. Nauka zaszczerpiona monarchji absolutnej, w której panuje kult przodków, przynieść może zupełnie inne owoce, niż zaszczerpiona demokracji wychowanej przez chrześcijaństwo. Chrześcijaństwo nauczyło nas pewnego szacunku dla jednostki; nauka jednak jest w tej dziedzinie całkowicie neutralna. Nauka sama przez się nie daje nam żadnych idei moralnych, i nie wiemy jeszcze, przez jakie nowe idee moralne zastąpione zostaną te, które zawdzięczamy tradycji. Tradycja zmienia się powoli, i nasza moralność składa się jeszcze przeważnie z idei, które

były odpowiednie dla okresu przed-industrialnego ; nie należy jednak oczekiwać, aby to trwało w dalszym ciągu. Stopniowo myśli ludzkie ukształtują się pod wpływem nowych przyzwyczajęń, a ideały zostaną uzgodnione z techniką industrializmu. Zmiany w sposobie życia stały się obecnie o wiele szybsze, niż były w jakiegokolwiek dawniejszej epoce: w ciągu ostatnich stu pięćdziesięciu lat świat zmienił się bardziej, niż w ciągu poprzednich czterech tysięcy. Gdyby Piotr Wielki mógł porozmawiać z Hammurabim, porozumieliby się wcale dobrze ; ale żaden z nich nie rozumiałby dzisiejszego potentata przemysłu czy finansów. Jest ciekawym zjawiskiem, że wszystkie niemal nowe idee czasów nowożytnych dotyczyły techniki, albo nauki ścisłej. Dopiero w ostatnich czasach nauka zaczęła przyczyniać się do rozwoju nowej moralności, uwalniając tendencje altruistyczne od krępujących je więzów etyki konwencyjonalnej, opartej na przesądach. Ale ilekroć kodeks konwencyjonalny domaga się ludzkiego cierpienia (zwalczając na przykład kontrolę urodzeń), poglądy bardziej humanitarne uważa się za niemoralne ; w ten sposób ludzie, którzy pozwalają wiedzy wpływać na swoją etykę, piętnowani są przez apostołów ignorancji, jako szerzyciele zepsucia. Jest jednak rzeczą bardzo wątpliwą

czy cywilizacja, oparta na nauce w takim stopniu jak nasza, może na długą metę z powodzeniem zwalczać takie dziedziny wiedzy, które w ogromnym stopniu przyczynić się mogą do powiększenia szczęśliwości ludzkiej.

Faktem jest, że nasza tradycyjna moralność jest bądź czysto indywidualistyczna – jak pojęcie osobistej cnoty – bądź przystosowana do grup społecznych znacznie mniejszych niż te, które mają dziś istotne znaczenie. Jednym z najbardziej znamienych objawów wpływu nowoczesnej techniki na życie społeczne jest rosnące wciąż znaczenie zorganizowanych grup ludzkich we wszelkiego rodzaju działalności; w rezultacie czyny człowieka są dziś często brzemiennie w skutki dla jakiejś bardzo odległej grupy, z którą jego grupa współpracuje lub walczy. Grupy małe, takie jak rodzina, tracą na znaczeniu, a z pośród grup wielkich tylko jedną – państwo albo naród – moralność tradycyjna bierze wogóle pod uwagę. W tej sytuacji jedyną praktycznie doniosłą religią naszych czasów – jeśli pominąć wpływy religii, opartej *wyłącznie* na tradycji – jest patriotyzm. Przeciętny człowiek gotów jest poświęcić swoje życie dla idei patriotycznej i odczuwa to jako obowiązek moralny tak silny, że

żaden bunt przeciw nakazom tego obowiązku nie wydaje mu się możliwy. *nie możliwy*

Jest rzeczą prawdopodobną że koncepcja wolności osobistej, która charakteryzowała cały okres od Odrodzenia aż do liberalizmu dziewiętnastego wieku, zostanie unicestwiona przez postępy organizacji, związane z industrializmem. Nacisk społeczeństwa na jednostkę może – w pewnej nowej postaci – stać się znów tak wielki, jak był w okresach barbarzyństwa, i przedmiotem dumy dla narodów może być w coraz większym stopniu to co osiągają kolektywnie, a nie to co osiągnęły należące do nich jednostki. Już dziś daje się to poważnie odczuwać w Stanach Zjednoczonych: ludzie dumni są z „drapaczy chmur”, dworców kolejowych i mostów, a nie z poetów, artystów i uczonych. Tą samą postawą odznacza się filozofja ustroju sowieckiego. Coprawda w obu krajach istnieje w dalszym ciągu potrzeba uwielbiania bohaterów indywidualnych: w Rosji przedmiotem takiego kultu jest osoba Lenina, w Ameryce – szybkobiegacze, bokserzy i gwiazdy filmowe. W obu jednak wypadkach bohater albo nie żyje, albo jest osobistością bardzo pospolitą; działalność społeczeństwa w dziedzinach o istotnem znaczeniu nie łączy się więc z imionami żadnych wybitnych jednostek.

Jest zagadnieniem bardzo interesującym, czy wysiłek zbiorowy – w przeciwieństwie do indywidualnego – może wytworzyć rzeczy o wielkiej wartości, i czy cywilizacja, oparta na takim zbiorowym wysiłku, może być cywilizacją jakościowo najwyższą. Nie sądzę, aby na to pytanie można było już teraz odpowiedzieć kategorycznie. Jest rzeczą możliwą że zarówno w sztuce, jak w dziedzinie intelektu osiągnięte będą kolektywnie rezultaty lepsze, niż to co osiągały w przeszłości jednostki. W naukach ścisłych istnieje już dziś tendencja zmierzająca ku temu, że ośrodkiem pracy staje się raczej określone laboratorium niż określona osoba, i byłoby prawdopodobnie z pożytkiem dla nauki, gdyby tendencja ta jeszcze się wzmocniła – gdyż prowadzi ona do ściślejszej współpracy. Jeżeli jednak poważna praca, niezależnie od jej rodzaju, ma być zbiorowa, musi nastąpić z konieczności pewne ograniczenie indywidualności ludzkiej: człowiek nie może być wtedy tak pochłonięty swymi własnymi idejami i tak przeświadczony o ich doniosłości, jak bywali zazwyczaj dotychczasowi genjusze. W zagadnieniu tem interwenjuje moralność chrześcijańska – choć nie w tym kierunku, w jakim się naogół przypuszcza. Sądzi się zwykle, że ponieważ chrystjanizm wymaga altruizmu i miłości bliźniego, sprzeciwia

się więc indywidualizmowi. Jest to jednak błąd psychologiczny. Chrystjanizm apeluje do duszy jednostki i kładzie nacisk na jej osobiste zbawienie. Jeśli człowiek robi coś dla swoich bliźnich – robi to dlatego, że takie właśnie postępowanie jest *dla niego* rzeczą słuszną, a nie dlatego, że działa instynktownie, jako część pewnej większej grupy. Chrześcijaństwo w swojej genezie, a nawet w swojej dzisiejszej postaci, nie jest zasadniczo biorąc doktryną społeczną ani nawet rodzinną, i z tego względu pod jego wpływem człowiek staje się istotą bardziej egocentryczną, niż go stworzyła natura. Czynnikiem, hamującym ten indywidualizm, była dawniej rodzina; ale rodzina upada i nie ma już takiego wpływu na instynkty człowieka, jak miała kiedyś. To co dawała rodzina przeniosło się na naród, gdyż naród apeluje do instynktów biologicznych, nie znajdujących sobie poważniejszego ujścia w epoce industrializmu. Ale z punktu widzenia stabilizacji stosunków ludzkich naród jest jednostką zbyt ograniczoną. Należałoby sobie życzyć, aby instynkty biologiczne człowieka popychały go ku rasie ludzkiej, jako całości; psychologicznie jednak taka postawa jest rzeczą niebardzo realną, chyba że całej ludzkości zagrażać będzie jakieś wielkie niebezpieczeństwo zewnętrzne – jakaś nowa choroba

albo powszechny głód. Ponieważ takie ewentualności są nieprawdopodobne, nie widzę żadnego mechanizmu psychologicznego, przy którego pomocy możnaby było wprowadzić rząd międzynarodowy; pozostawałby tylko podbój całego świata przez jeden naród lub grupę narodów. To wydawałoby się zupełnie zgodne z naturalną linią rozwojową, i być może nastąpi w ciągu najbliższych stu lub dwustu lat. W cywilizacji Zachodu, takiej jaka obecnie istnieje, nauka i technika przemysłowa odgrywają rolę daleko większą, niż wszystkie czynniki tradycyjne razem wzięte. Nie trzeba też przypuszczać, że wpływ tych nowych czynników na życie ludzkie rozwinął się już do swoich ostatecznych konsekwencji: zmiany następują dziś szybciej niż dawniej, ale jednak wymagają czasu. Ostatniem wydarzeniem w rozwoju ludzkości, które pod względem znaczenia można porównać do powstania industrializmu, było wynalezienie rolnictwa; a wiele tysięcy lat upłynęło, zanim rolnictwo objęło całą kulę ziemską, zmieniając jednocześnie warunki życia i światopogląd ludności. Do dziś dnia rolniczy tryb życia nie zapanował jeszcze całkowicie wśród arystokracji świata, pozostającej wciąż w dużym stopniu – z charakterystycznym dla niej konserwatyzmem – w stadjum łowieckim, o czym świadczą prawidła

naszych gier sportowych. Podobnie możemy oczekiwać, że światopogląd rolniczy utrzyma się jeszcze w ciągu wielu stuleci w zacofanych krajach i w zacofanych warstwach ludności.

Nie ten jednak światopogląd charakterystyczny jest dla cywilizacji Zachodu i dla powstającego jej odgałęzienia na Wschodzie. W Ameryce znajdujemy nawet ludność rolniczą o psychice napół industrialnej, ponieważ Ameryka nie ma swoich rdzennych chłopów. W Rosji i w Chinach rządy mają światopogląd industrialny, ale muszą działać wśród wielkiej masy ciemnych wieśniaków. W związku z tem jednak trzeba podkreślić, że ludność nie umiejąca czytać ani pisać daje się szybciej urobić pod wpływem akcji rządu, niż ludność taka, z jaką mamy do czynienia w Europie czy Ameryce. Znosząc analfabetyzm i prowadząc jednocześnie odpowiednią propagandę, państwo może wpoić młodemu pokoleniu taką pogardę dla przodków, która zadziwiłaby najbardziej postępowego amerykańskiego podlotka; w ten sposób w ciągu jednego pokolenia nastąpić może zupełna zmiana postawy psychologicznej. W Rosji proces ten jest w pełnym biegu; w Chinach widzimy jego początki. Można oczekiwać, że w tych właśnie dwóch krajach rozwinię się typ psychiki czysto industrialnej, wolnej

od domieszki elementów tradycyjnych, które utrzymały się jeszcze przy życiu w rozwijających się wolniej krajach Zachodu.

Cywilizacja zachodnia zmieniała się i zmienia tak szybko, że ludzie przywiązani do jej przeszłości doznają często wrażenia, iż żyją w jakimś obcym dla nich świecie. Ale teraźniejszość uwypukla tylko bardziej wyraźnie czynniki, które istniały przynajmniej od czasów rzymskich i któremi Europa różniła się zawsze od Indyj i Chin. Energja, nietolerancja i abstrakcyjny intelekt cechowały epoki rozkwitu Europy w przeciwstawieniu do epok rozkwitu Wschodu. W literaturze i sztuce Grecy być może stali najwyżej, ale w porównaniu z Chinami wyższość ich była tylko kwestją stopnia. O energii i inteligencji już mówiłem; pewną uwagę musimy jeszcze poświęcić nietolerancji, ponieważ ludzie nie uświadamiają sobie naogół, w jakim stopniu charakteryzowała ona zawsze Europę. Grecy, to prawda, posiadali tę wadę w stopniu mniejszym, niż ich następcy. Jednakże skazali na śmierć Sokratesa, a Platon, mimo podziwu dla Sokratesa, uważał że państwo powinno uczyć religji, którą on sam uważał za fałszywą, i że ludzie podający tę religję w wątpliwość powinni być prześladowani. Zwolennicy Konfucjusza, Tao i Buddy nie przyjęliby ta-

kiej hitlerowskiej doktryny. Arystokratyczna elegancja Platona nie była typowa dla Europy; Europa odznaczała się raczej rozumem i wojowniczością, niż dobrem ułożeniem. Charakterystyczny rys cywilizacji Zachodu odnajdujemy raczej w podanym przez Plutarcha opisie obrony Syrakuz – przy pomocy maszyn pomysłu Archimedesesa.

Jedno źródło prześladowań – demokratyczna za-
wiść – było dobrze znane Grekom. Arystydes został
wygnany, ponieważ jego reputacja człowieka spra-
wiedliwego była rzeczą trudną do zniesienia. He-
raklit z Efezu, który nie był demokratą, wołał:
„Dorośli mężczyźni z Efezu uczyniliby dobrze, gdy-
by powiesili się wszyscy co do jednego, pozostawia-
jąc miasto bezwąsým młokosom – gdyż potępiłi
Hermodora, najlepszego męża z pośród nich,
mówiąc: „Nie chcemy mieć nikogo, kto by był
lepszy od nas; jeśli jest ktoś taki, niech
sobie będzie gdzieindziej i wśród innych”. Grekom
nie obce były liczne nieprzyjemne doświadczenia
naszego wieku. Mieli swój faszyzm, nacjonalizm,
militaryzm, komunizm, potentatów finansowych i
przekupnych polityków; znana im była zaczepna
i wulgarna buta, jak również pewne prześladowa-
nia religijne. Mieli wartościowe jednostki, ale ma-
my je i my; wówczas, jak i dziś, najlepsze jednostki

skazywane były często na wygnanie, więzienie lub śmierć. Cywilizacja grecka miała, co prawda, jedną poważną przewagę nad naszą – mianowicie nieudolność policji, dzięki której przyzwoici ludzie mogli częściej ratować się ucieczką.

Poraz pierwszy owe impulsy prześladowcze, któremi Europa wyróżniała się odtąd w porównaniu z Azją, pojawiły się w pełni z okazji nawrócenia Konstantyna na chrześcijaństwo. W ciągu ostatnich stu pięćdziesięciu lat Europa przeżyła co prawda krótki okres liberalizmu, ale dziś rasa biała powraca znów do bigoterji biologicznej, którą chrześcijanie przejęli od Żydów. Żydzi pierwsi wyznawali pogląd, że tylko jedna religja może być prawdziwa, ale nie pragnęli nawrócić na tę religję całego świata, i wobec tego prześladowali tylko innych Żydów. Chrześcijanie, przyswoiwszy sobie przekonanie Żydów o religji objawionej, dołączyli doń pragnienie panowania nad światem, przejęte od Rzymian, oraz grecki pociąg do subtelności metafizycznych. Połączenie tych czynników dało w rezultacie najbardziej prześladowczą religję, jaką świat znał kiedykolwiek. W Japonji i w Chinach przyjęto spokojnie buddyzm i pozwolono mu istnieć wraz z religją Szinto i z konfucjonizmem; mahometanie nie molestowali Żydów ani chrześcijan,

dopóki ci płacili im daninę; natomiast w całym świecie chrześcijańskim śmierć była normalną karą za najłżejsze odchylenie od doktryny ortodoksyjnej.

Godzę się z ludźmi, którym nie podoba się nietolerancja faszyzmu i komunizmu – chyba że uważają te zjawiska za odstępstwo od tradycji europejskiej. Ci zaś, którzy duszą się w atmosferze prześladowczej oficjalnej ortodoksji, czuliby się w którejś z minionych epok historii europejskiej nie o wiele lepiej, niż dzisiaj w Niemczech lub w Rosji. Czy – jeśli byśmy mogli przenieść się w przeszłość przy pomocy jakiejś sztuki magicznej – uznawalibyśmy Spartę za kraj lepszy od owych krajów dzisiejszych? Czy pragnęlibyśmy żyć w społeczeństwie, które – jak społeczeństwa europejskie szesnastego wieku – skazywało ludzi na śmierć za odmowę wierzenia w czary? Czy wytrzymałibyśmy w atmosferze pierwszego okresu kolonizacji angielskiej w Ameryce, i czy zachwycaloby nas traktowanie Inków przez Pizara? Czy podobałoby się nam Odrodzenie w Niemczech, kiedy w ciągu stulecia spalono 100000 czarownic? Czy przypadłaby nam do smaku Ameryka w wieku osiemnastym, kiedy najwybitniejsi duchowni Bostonu przypisywali trzęsienie ziemi w Massachusetts bezbożności pioru-

nochronów? A w wieku dziewiętnastym, czy sympatyzowalibyśmy z Papieżem Piusem X, który nie chciał mieć nic wspólnego z „Towarzystwem zwalczania okrucieństwa wobec zwierząt”, ponieważ twierdzenie o jakichkolwiek obowiązkach człowieka wobec tworów niższych jest herezją? Mam wrażenie że Europa, przy całej swojej inteligencji, była zawsze dość okrutna – z wyjątkiem krótkiego okresu w latach 1848 – 1914; dzisiaj, niestety, przybiera znow swoje typowe oblicze.

„BEZ UŻYTECZNA” WIEDZA

Franciszek Bacon, który osiągnął wysokie stanowisko, zdradziwszy swoich przyjaciół, wypowiedział pogląd – będący niewątpliwie owocem dojrzałego doświadczenia – że „wiedza daje potęgę”. Nie można tego jednak powiedzieć o *wszelkiej* wiedzy. Sir Tomasz Brown pragnął wiedzieć, co śpiewają syreny; gdyby uzyskał tę informację, nie byłaby mu ona wcale pomocna w jego karierze urzędniczej. Bacon miał na myśli ten rodzaj wiedzy, który nazywamy „naukową”; podkreślając znaczenie nauki, wracał do tradycji Arabów i wczesnego Średniowiecza, kiedy „wiedza” polegała na znajomości astrologji, alchemji i farmakologji – gałęzi ówczesnej nauki. Za „uczonego” uważano wówczas człowieka, który opanował te dziedziny wiedzy i dzięki temu posiadał władzę magiczną. W początkach XI wieku Papież Sylwester II, tylko dlatego że czytał książki, uważany był powszechnie za maga, sprzymierzonego z szatanem. Prospero, który w cza-

sach Szekspira był już tylko wytworem czystej fantazji, reprezentował typ uczonego, takiego jak go sobie wyobrażano w ciągu stuleci – przynajmniej w zakresie władz tajemnych. Bacon wierzył – słusznie, jak dziś wiemy – że nauka stać się może różdżką czarodziejską znacznie potężniejszą niż te wszystkie, o których marzyli nekromanci epok minionych.

Odrodzenie, które w czasach Bacona było w Anglii w okresie największego rozkwitu, zrodziło bunt przeciw utylitarnemu ujmowaniu wiedzy. Grecy zapoznawali się z Homerem tak jak my poznajemy piosenki kabaretowe – ponieważ im się podobał, bez żadnego poczucia, że czytanie Homera jest jakimś badaniem naukowym. Ale ludzie szesnastego wieku nie mogli wogóle zacząć go rozumieć, jeśli nie posiadli wpierw bardzo poważnej wiedzy lingwistycznej. Grecy byli dla nich przedmiotem podziwu, i nie chcieli pozbawiać się żadnej z ich przyjemności; czytali więc utwory klasyczne oraz naśladowali Greków w bardziej intymnych dziedzinach. Zajęcia intelektualne należały w czasach Odrodzenia do *joie de vivre*, zupełnie tak samo jak wino i miłość. Dotyczyło to nie tylko literatury pięknej, ale i poważniejszych studjów. Znana jest historia o tem, jak Hobbes zetknął się poraz pierw-

szy z geometrią Euklidesa: otworzywszy przypadkowo książkę na twierdzeniu Pytagorasa, wykrzyknął: „Na Boga! To niemożliwe!”, i zaczął czytać dowód od końca – aż, doszedłszy do aksjomatów, uznał się za przekonanego. Niepodobna wątpić, że była to dlań chwila rozkoszy, niezbrukanej żadnymi rozważaniami o pożyteczności geometrii do mierzenia pól.

Prawdą jest, że Odrodzenie potrafiło wyzyskać praktycznie znajomość języków obcych w dziedzinie teologii. Jednym z pierwszych następstw studjów nad łaciną klasyczną było zdemaskowanie fałszywych dekretów i donacyj Konstantyna. Naskutek niedokładności, stwierdzonych w tych dokumentach, znajomość greckiego i hebrajskiego stała się niezbędną częścią ekwipunku dyskusyjnego duchownych protestanckich. Na maksymy republikańskie Grecji i Rzymu powoływali się Purytanie, motywując swoją postawę wobec Stuartów, i Jezuici – usprawiedliwiając swój opór wobec monarchów, którzy wypowiedzieli posłuszeństwo Papieżowi. Wszystko to jednak było raczej skutkiem, niż przyczyną odrodzenia studjów klasycznych, które zaczęło się we Włoszech na sto lat prawie przed Lutrem. Zasadniczym impulsem Odrodzenia było odkrycie rozkoszy intelektualnych, jakie daje swo-

bodny rozwój sztuki i abstrakcyjnych spekulacji; rozkosze te były niedostępne, dopóki ciemnota i zabobon ograniczały pole widzenia ludzkości.

Ponieważ Grecy poświęcali swoją uwagę nietylko literaturze i sztuce, ale i takim dziedzinom jak filozofja, geometrja, astronomja – dziedziny te zaczęto traktować z szacunkiem; co do innych gałęzi nauki sprawa była bardziej wątpliwa. Medycynę uszlachetniały imiona Hipokratesa i Galena; potem jednak uprawiali ją niemal wyłącznie Arabowie i Żydzi, przyczem stała się nieodłącznie związana z magją. Stąd nieszczególna reputacja ludzi takich, jak Paracelsus. Chemja miała jeszcze gorszą opinię, i właściwie dopiero w wieku osiemnastym zaczęto ją traktować poważnie.

W ten sposób greka i łacina, wraz z pewną powierzchowną znajomością geometrji i ewentualnie astronomji, stały się wymaganym bagażem myślowym człowieka z wyższych sfer. Grecy lekceważyli sobie praktyczne zastosowania geometrji, co zaś do astronomji – praktyczne jej wyzyskanie w postaci astrologji nastąpiło dopiero w okresie upadku Grecji. W wieku szesnastym i siedemnastym studjowano głównie – z helleńską bezinteresownością – matematykę, odwracano się zaś od pozostałych dziedzin nauki, zdyskredytowanych przez związek z ma-

gją. W ciągu osiemnastego wieku torowało sobie powoli drogę coraz szersze i bardziej praktyczne ujmowanie nauki; proces ten został nagle przyśpieszony w wyniku Rewolucji Francuskiej i postępów techniki maszynowej: Rewolucja zadała cios kulturze szlacheckiej, a technika otwierała nowe, zdumiewające pole działania, na którym ludzie ze stanu nie-szlacheckiego przejawiać mogli swoją zręczność i swoje zdolności. W ciągu ostatnich stu pięćdziesięciu lat wartość wiedzy „bezużytecznej” jest coraz natarczywiej kwestjonowana; coraz bardziej rozpowszechnia się przekonanie, że warta zachodu jest tylko wiedza, dająca się zastosować w tej czy innej sferze działalności gospodarczej.

W krajach takich jak Francja i Anglja, posiadających własny tradycyjny ustrój wychowawczy, utylitarna koncepcja wiedzy nie zapanowała całkowicie. Na uniwersytetach istnieją na przykład w dalszym ciągu profesorowie języka chińskiego, którzy czytają chińskich klasyków, a nie znają prac Sun-Yat-Sena, twórcy Chin nowoczesnych. Istnieją też ludzie, znający historję tylko w tym zakresie, w jakim przekazana nam została przez autorów o stylu „niezepsutym”, a więc do czasów Aleksandra w Grecji i Nerona w Rzymie – odmawiający natomiast zapoznania się z historją okresów póź-

niejszych, mającą o wiele większe znaczenie, tylko dlatego że przekazana jest w opisach, które stoją niżej pod względem literackim. Nawet jednak we Francji i Anglii te stare tradycje zamierają; w krajach bardziej nowoczesnych, jak Rosja i Stany Zjednoczone, zostały już wykorzenione całkowicie. W Ameryce na przykład rozmaite komisje oświatowe podkreślają, że w korespondencji handlowej większość ludzi nie używa więcej niż 1500 słów – i wobec tego domagają się, żeby unikać nauczania innych słów w ramach programu szkolnego. T. zw. „Basic English”, wynalazek brytyjski, idzie jeszcze dalej, ograniczając cały niezbędny słownik do ośmiuset wyrazów. Język przestaje być traktowany jako coś co może mieć pewną wartość estetyczną; coraz powszechniejszy staje się pogląd, że jedynym zadaniem słów jest przekazywanie informacji praktycznych. W Rosji nastawienie praktyczne sięga jeszcze głębiej, niż w Ameryce: wszystko, czego naucza się w szkołach, ma określony cel wychowawczy lub polityczny. Jedyłą ucieczkę stanowi teologia: święte księgi muszą być studjowane przez niektórych w niemieckim oryginale, a garstka profesorów musi znać filozofję, aby móc bronić materializmu dialektycznego przeciwko zarzutom burżuazyjnych metafizyków. Ale w miarę tego, jak or-

todoksja będzie się coraz bardziej umacniać, nawet ta drobna szczelina zostanie zamurowana. ✓

Wiedza zaczyna być wszędzie traktowana nie jako dobro samo w sobie i nie jako środek mający wytwarzać w ludziach szeroki i humanitarny światopogląd – lecz wyłącznie jako warunek powodzenia w działalności praktycznej. Jest to częścią procesu, zespalającego coraz bardziej poszczególne funkcje społeczeństwa, a wywołanego przez postępy techniki i konieczności obrony na wypadek wojny. W epoce naszej zjawiska społeczne i gospodarcze są ze sobą powiązane daleko silniej, niż były w czasach minionych; wobec tego człowiek podlega silniejszemu naciskowi opinii, usiłującej zmusić go do takiego trybu życia, jaki zdaniem jego sąsiadów jest pożyteczny. Zakłady wychowawcze, pomijając przeznaczone dla sfer najbogatszych albo (w Anglii) takie, które stały się nietykalne wskutek starożytnego pochodzenia, nie mogą wydawać pieniędzy według własnego uznania, lecz muszą gwarantować państwu, że umożliwiają swym wychowankom nabywanie pożytecznych kwalifikacyj oraz wpajają im lojalne uczucia. Działają tu te same tendencje, które powołały do życia obowiązkową służbę wojskową, ruch harcerski, organizację partyj politycznych i rozbudzanie namiętności politycz-

nych przez prasę. Bardziej niż dawniej świadomi dziś jesteśmy istnienia naszych współobywateli; bardziej zależy nam na tem – jeśli jesteśmy cnotliwi – abyśmy byli pożyteczni dla nich, a w każdym razie na tem, aby oni byli pożyteczni dla nas. Nie lubimy, gdy ktokolwiek rozkoszuje się leniwie życiem, jakkolwiek subtelne byłyby jego rozkosze. Mamy poczucie, że każdy powinien jakoś współdziałać w wielkiej sprawie (niezależnie od tego na czem ta sprawa polega) – tembardziej, że tylu złych ludzi pragnie ją unicestwić i trzeba ich działalność sparaliżować. Nie mamy więc dość swobodnej głowy, aby móc interesować się jakąkolwiek wiedzą poza taką, która pomoże nam w walce o cele, ważne w naszym przekonaniu.

Za wąsko-utyliarną koncepcją wykształcenia przemawiają bardzo poważne argumenty. Nie mamy czasu nauczyć się wszystkiego, zanim zaczynamy zarabiać na życie – a niewątpliwie „użyteczna” wiedza jest *bardzo* użyteczna. Ona zbudowała współczesny świat. Bez niej nie mielibyśmy maszyn, aut, kolei żelaznych ani samolotów; dodać trzeba, że nie mielibyśmy również nowoczesnej reklamy ani nowoczesnej propagandy. Wiedza dzisiejsza przyczyniła się do ogromnej poprawy warunków zdrowotnych ludności, a jednocześnie wynalazła

sposoby niszczenia całych wielkich miast przy pomocy gazów trujących. Cokolwiek różni świat dzisiejszy od epok minionych, ma swoje źródło w „pożytecznej” wiedzy. Żadne społeczeństwo nie ma jej jeszcze dosyć, i niewątpliwie oświata musi w dalszym ciągu przyczyniać się do jej szerzenia.

Trzeba też przyznać, że w tradycyjnym wykształceniu humanistycznym wiele było rzeczy niemądrych. W ciągu wielu lat chłopcy uczyli się gramatyki łacińskiej i greckiej, a w końcu ani nie umieli, ani nie mieli ochoty (z wyjątkiem bardzo nielicznego odsetka) czytać jakiegokolwiek greckiego czy łacińskiego autora. Języki nowożytnie i historia mają pod każdym względem wyższość nad dawną łaciną i greką: nie tylko są pożyteczniejsze, ale ponadto wpajają więcej kultury w krótszym okresie czasu. Dla Włocha w wieku piętnastym greka i łacina stanowiły niezbędny środek zdobywania kultury, ponieważ w tych językach – jeśli nie po włosku – napisane było wszystko, co warto było czytać. Od tego czasu jednak w językach nowożytnych rozwinęły się wielkie literatury, a cywilizacja postępowała tak szybko naprzód, że dla zrozumienia współczesnych zagadnień znajomość starożytności stała się o wiele mniej pożyteczna, niż znajomość narodów nowożytnych i ich niedawnej

stosunkowo historii. Tradycyjna kultura szkolna, doskonała w czasach odrodzenia wiedzy, stała się z czasem zbyt wąska, bo nie uwzględniała tego, czego dokonał świat po wieku piętnastym. Nietylko zresztą historia i języki nowożytne, ale i wiedza ścisła – odpowiednio nauczana – rozszerza horyzonty kulturalne. Przekonanie więc, że w wychowaniu nie należy ograniczać się do zadań ściśle utylitarnych, nie pociąga za sobą wcale obrony tradycyjnego programu szkolnego. Praktyczny pożytek i kultura – jeśli jedno i drugie ujmować szeroko – dają się ze sobą znacznie łatwiej pogodzić, niż to się wydaje fanatykom jednego lub drugiego kierunku.

Ale niezależnie od wypadków, w których kultura i bezpośredni pożytek dają się ze sobą pogodzić – posiadanie wiedzy, nie prowadzącej do konkretnych zastosowań praktycznych, może być jednak pośrednio pożyteczne z różnych względów. Myślę, że niektóre z najgorszych rysów nowoczesnego świata dałoby się naprawić, gdyby właśnie tego rodzaju wiedza była bardziej popierana, a ludzie dążyli mniej bezwzględnie do zdobycia wąskich, zawodowych kompetencji.

Kiedy świadoma działalność człowieka ześrodko-

wana jest wyłącznie na jakimś jednym zadaniu, ostatecznym wynikiem jest w większości wypadków utrata równowagi duchowej, czemu towarzyszą takie lub inne zaburzenia nerwowe. Kierownicy polityki niemieckiej w czasie wojny popełniali błędy – na przykład w związku z działalnością łodzi podwodnych, które spowodowały przystąpienie do wojny Ameryki po stronie Koalicji – choć każdy człowiek, któryby mógł rozważyć sprawę świeżym umysłem, uznałby taką politykę za niemądrą; ale owi odpowiedzialni kierownicy niezdolni byli do trzeźwego sądu wskutek nadmiernej koncentracji władz umysłowych i braku odpoczynku. To samo zjawisko obserwować można, ilekroć jakaś grupa stawia sobie zadania, wymagające długotrwałego ujarzmienia impulsów naturalnych. Imperjaliści japońscy, komuniści rosyjscy i hitlerowcy niemieccy odznaczają się wszyscy jaskrawym fanatyzmem, który jest wynikiem tego, że żyją zbyt wyłącznie w atmosferze psychicznej pewnych stawianych sobie zadań. Jeśli zadania te są istotnie tak ważne i tak wykonalne, jak to się wydaje fanatykom, osiągnięte rezultaty mogą być znakomite; ale najczęściej zbyt wąski światopogląd powoduje pominięcie w rachunku jakiejś potężnej przeszkody, albo też każe widzieć we wszelkiej ta-

kiej przeszkodzie dzieło szatana, na które odpowiedź powinna być represja i terror. Ludzie dorośli, tak samo jak dzieci, potrzebują okresów zabawy – to znaczy czynności, które nie mają żadnego celu prócz zadowolenia, jakiego same są źródłem. Aby jednak zabawa spełniała swoje właściwe zadanie trzeba umieć interesować się dziedzinami, nie związanymi z właściwą pracą i umieć znajdować w nich przyjemność.

Przyjemności dzisiejszej ludności miejskiej stają się coraz bardziej bierne i kolektywne; coraz większą rolę odgrywają rozrywki polegające na przyglądaniu się wyczynom takich czy innych „specjalistów”. Nie ulega wątpliwości, że to jest lepsze, niż brak wszelkich rozrywek; ale rozrywki mogłyby mieć znacznie wyższą wartość, gdyby wychowanie wytwarzało w ludziach szersze zainteresowania, nie związane z ich normalną pracą. Lepszy ustrój gospodarczy, pozwalający ludzkości wyzyskać produktywność nowoczesnych maszyn, powinien dać ludziom o wiele więcej wolnego czasu; a wolny czas może łatwo grozić nudą, jeśli się nie ma poważnych i aktywnych zainteresowań. Na to aby ludzie, rozporządzający wolnym czasem, byli szczęśliwi – muszą być odpowiednio wychowani; wychowanie musi nauczyć ich doznawania rozkoszy intelektual-

nych, a nie dążyć wyłącznie do wpajania im bezpośrednio użytecznej, praktycznej wiedzy. X

Kultura, jaką daje wiedza dobrze przyswojona, kształtuje w swoisty sposób psychikę człowieka: pod wpływem tej kultury człowiek wykracza w swych myślach i pragnieniach poza sprawy bezpośrednio go dotyczące, i zwraca się – przynajmniej w pewnym stopniu – ku celom i zadaniom szerszym, nieosobistym. Zbyt pochopnie przyjmowano pogląd, że jeśli komuś wiedza dała pewne kwalifikacje – będzie z nich korzystał w sposób, społecznie pożyteczny. Wąsko-utylitarna koncepcja wychowania nie uwzględnia tego, że nie tylko umiejętności człowieka, ale i ostateczne cele, do których dąży, muszą stać się obiektem wykształcenia. Nieurobioną przez odpowiednie wykształcenie naturę ludzką cechuje poważna doza okrucieństwa, widoczna w wielu rzeczach – dużych i małych. Chłopcy w szkole traktują naogół nieprzyjaźnie każdego nowego przybysza, a także chłopca, ubranego niezupełnie tak jak wszyscy. Wiele kobiet (i niemało mężczyzn) stara się wyrządzić możliwie największą przykrość znajomym, opowiadając o nich złośliwe plotki. Hiszpanom sprawia przyjemność walka byków, Anglikom – polowanie. Poważniejszą postacią tych samych impulsów okrucieństwa jest prześladowanie

Żydów w Niemczech i „kułaków” w Rosji. Wszelki imperjalizm daje ujście takim impulsom, a wojna uświęca je – w czasie wojny bowiem traktuje się zrodzone przez nie czyny, jako dokonanie największego obowiązku społecznego.

Niepodobna zaprzeczyć, że okrucieństwem odznaczają się czasem ludzie bardzo wykształceni; wydaje mi się jednak rzeczą niewątpliwą, że częściej zdarza się to wśród ludzi, których umysł leżał zupełnie odłogiem. Chłopcy w szkole, odznaczający się brutalnością, wykazują najczęściej mniej niż przeciętne postępy w naukach. W wypadkach samosądu, dokonanego przez tłum, przywódcami są niemal zawsze ludzie bardzo ciemni. Nie dzieje się tak dlatego, że kultura umysłowa wytwarza wyraźne uczucia humanitarne – choć i to jest możliwe – lecz raczej dlatego, że pod wpływem tej kultury człowiek interesuje się wielu rzeczami poza prześladowaniem bliźnich, i może mieć poczucie własnej godności bez poczucia dominowania nad innymi. Najpowszedniejszym przedmiotem pożądań ludzkich jest władza i uznanie ze strony innych ludzi; człowiek ciemny nie może zreguły zaspokoić tych dążeń inaczej, jak przy pomocy środków brutalnych – polegających na stosowaniu przewagi fizycznej. Kultura daje człowiekowi możliwość spr-

wowania władzy w dziedzinach, w których władza jest mniej szkodliwa, oraz pozwala mu zdobywać sobie uznanie bardziej godziwymi sposobami. Galileusz zmienił świat bardziej, niż jakikolwiek monarcha, i był nieskończenie potężniejszy od wszystkich swoich prześladowców; nie miał więc powodu dążyć do tego, by samemu skolei stać się prześladowcą.

Największą może zaletą wiedzy „bezużytecznej” jest to, że rodzi ona kontemplacyjną postawę psychiczną. Na świecie jest o wiele za dużo gotowości nie tylko do takiego czy innego działania bez należytego namysłu, ale do działania wogóle – w sytuacjach, w których rozum nakazywałby zupełną bezczynność. Objawy tej skłonności – nieraz zabawne – znajdujemy w wielu dziedzinach. Mefistofeles mówi do młodego studenta, że teoria jest szara, gdy drzewo życia jest zielone – i każdy cytuje to zdanie, jakgdyby było opinią Goethego a nie tem, co w jego wyobrażeniu powiedziałaby młodemu studentowi djabek. Wskazuje się na Hamleta jako na straszliwe ostrzeżenie przed myślą, której nie towarzyszy czyn – ale nikt nie wskaże na Otella, będącego ostrzeżeniem przed czynem, któremu nie towarzyszy myśl. Profesorowie typu Bergsona, idąc za swoistym snobizmem upodabniania się do lu-

dzi praktycznych, złorzeczą filozofji i twierdzą, że życie ma najwyższą wartość wtedy, kiedy przypomina szarżę kawalerji. Co do mnie – sądzę, że najlepsze czyny rodzić się muszą z głębokiego zrozumienia świata i jego losów, a nie z jakichś namiętnych impulsów romantycznego i wyolbrzymionego egotyzmu. Umiejętność znajdowania przyjemności w myśleniu raczej niż w działaniu chroni przed zaślepieniem i nadmierną żądzą władzy, pomaga zachować pogodę wobec przeciwności losu i równowagę duchową w przykrych okolicznościach. Życie, wypełnione wyłącznie sprawami osobistemi, musi prędzej czy później stać się niewypowiedzianą udręką; jedynie dzięki oknom, przez które zobaczyć możemy szerokie perspektywy i spokój wszechświata, tragedje życia stają się możliwe do zniesienia.

Kontemplacyjna postawa umysłu daje nam korzyści bardzo różnorodne – od najtrywialniejszych do najbardziej istotnych. Zaczniemy od drobnych udręczeń, takich jak natrętne muchy, spóźnienie się na pociąg albo kłótlivi współnicy. Kłopoty tego rodzaju nie zasługują naogół na to, aby przeciwstawiać im rozważania na temat wartości heroizmu lub zmiennych kolei fortuny; a jednak irytacja, jaką wywołują, zakłóca wielu osobom spokój ducha

i pozbawia ich radości życia. W takich wypadkach wiele pociechy znaleźć można w posiadanych skądś strzępach wiedzy, mających prawdziwy lub urojony związek z przedmiotem chwilowej przykrości; niezależnie zresztą od takiego związku, wiadomości tego rodzaju pozwalają zapomnieć o tem, co nam chwilowo dokucza. Gdy cię napastują ludzie bladzi z wściekłości, sprawi ci ulgę, gdy sobie przypomnisz rozdział z *Traktatu o namiętnościach* Kartezjusza, zatytułowany: „Dlaczego ci, którzy z gniewu bledną, niebezpieczniejsi są od tych, którzy czerwienieją”. Gdy przygnębia nas drapieżna chciwość kapitalistów, znajdujemy nagle pocieszenie kiedy przypomnimy sobie że Brutus – ów wzór cnót republikańskich – pożyczył pewnemu miastu pieniądze na 40⁰/0, a następnie oblegał je przy pomocy wynajętej armji, gdy przestało płacić procenty.

Znajomość różnych ciekawostek nietylko czyni rzeczy nieprzyjemne mniej nieprzyjemnemi, ale także rzeczy przyjemne – bardziej przyjemnemi. Brzoskwinie i morele smakują mi jeszcze lepiej od chwili kiedy się dowiedziałem, że zaczęto je uprawiać w Chinach w początkach dynastji Hanów; że zakładnicy chińscy, trzymanii przez wielkiego króla Kaniska, wprowadzili je do Indji, skąd zawędro-

wały do Persji, a stamtąd – do cesarstwa Rzymskiego w pierwszym stuleciu naszej ery; że słowo „apricot” ma ten sam źródłosłów łaciński, co słowo „precocious” („przedwczesny”, ponieważ wcześniej dojrzewa); i że „a” na początku wyrazu dodane zostało przez omyłkę, naskutek błędnej etymologii. Wszystko to czyni smak owocu znacznie słodszy.

Przed stu laty mniejwięcej grono szlachetnych filantropów zaczęło zawiązywać towarzystwa „szerzenia pożytecznej wiedzy”; w wyniku tej działalności ludzie przestali odczuwać rozkoszny smak wiedzy „bezużytecznej.” Pewnego dnia, kiedy właśnie groziło mi poddanie się temu utylitarnemu nastrojowi, otworzyłem przypadkiem *Anatomję Melancholji* Burtona i dowiedziałem się, że istnieje „substancja melancholji”, że jednak – choć według niektórych autorów substancja ta może być wytworzona przez wszystkie cztery „humory” – „według Galena może ona być wytworzona jedynie przez trzy z nich, z pominięciem flegmy; które to prawdziwe twierdzenie popierają bezwzględnie Valerius i Menardus, jak również Fuscus, Montaltus, Montanus. Jak bowiem – zapytują – białe może stać się czarnem?” Mimo tej nieodpartej argumentacji, Hercules z Saksonji, oraz Cardan, Gujanerius i Laurentius są – wedle Burtona – prze-

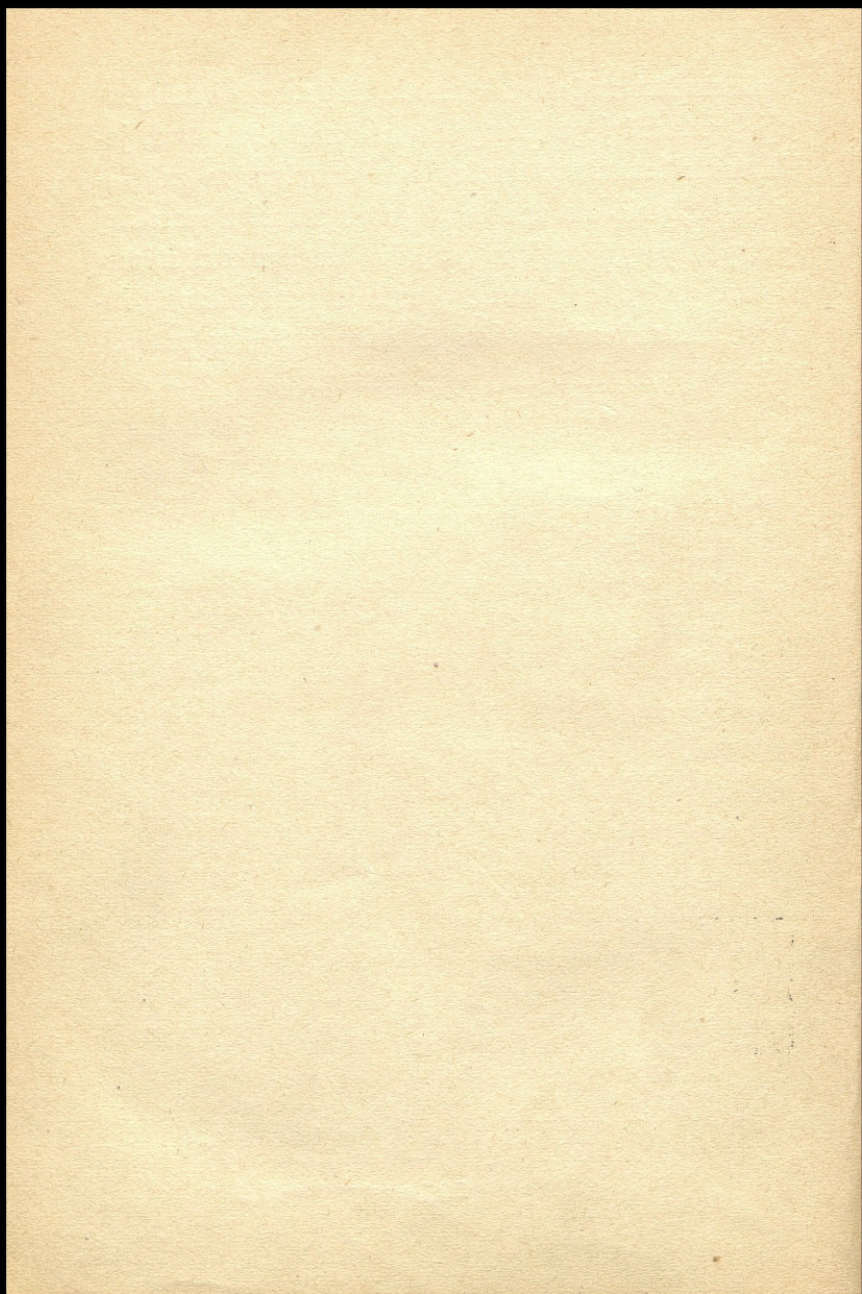
ciwnego zdania. Pod kojącym wpływem tych refleksyj historycznych melancholja moja – wytworzona przez trzy a może i przez cztery „humory” – rozwiała się. Nie wyobrażam sobie lepszego lekarstwa na zbytnią żarliwość, jak kurs tego rodzaju starożytnych sporów.

Gdy jednak drobne usługi, jakie oddaje kultura, odgrywają swą rolę, broniąc nas przed trywialnemi kłopotami życia codziennego – głębsze zalety kontemplacji związane są z tem, co stanowi najgorszą stronę życia: ze śmiercią, cierpieniem i okrucieństwem, ze ślepem staczaniem się ludzkości ku niepotrzebnej katastrofie. Ludzie, których nie mogą już zadowolić dogmaty religijne, potrzebują wzamian czegoś innego, jeśli życie nie ma się stać dla nich przykre, szorstkie i odpychające płytkim egotyzmem. Świat jest dziś pełen rozgoryczonych i zawiętych grup, z których żadna niezdolna jest do ujmowania życia we wszystkich jego przejawach i każda gotowa byłaby raczej zburzyć cywilizację, niż ustąpić choćby o jeden krok. Tego zwężania światopoglądu nie usunie żadne wykształcenie techniczne. Właściwem *antidotum* – jeśli ograniczyć się do psychologii indywidualnej – może być znajomość historii, biologji, astronomji i wszystkich tych dziedzin nauki, które – nie pozbawiając człowieka sza-

cunku dla siebie samego – pozwalają mu widzieć się w należytej perspektywie. Potrzeba tu nie takich czy innych konkretnych informacji, ale wiedzy, z której rodzi się ujmowanie całości życia ludzkiego i jego celów; chodzi tu o sztukę, o historję, o poznanie życiorysów jednostek heroicznych i o zrozumienie, jak dziwnie przypadkowa i efemeryczna jest pozycja człowieka we wszechświecie; jednocześnie chodzi o pewne poczucie dumy z tego, co jest swoiście ludzkie – a więc ze zdolności obserwowania i gromadzenia wiedzy, odczuwania wspaniałości myślnych uczuć i inteligentnego myślenia. Wiedza o szerokim zasięgu, połączona ze wzruszeniami nieosobistymi – oto co najczęściej rodzi prawdziwą mądrość.

Życie zawsze było ciężkie, ale obecnie jest cięższe niż w ciągu dwóch stuleci poprzednich. Ludzie szukają ucieczki od cierpienia w różnych trywialnych zajęciach, w oszukiwaniu samego siebie i w wynajdywaniu wielkich mytów kolektywnych. Ale chwilowa ulga tego rodzaju rodzi w ostatecznym rachunku jeszcze większe cierpienie. Złe siły w życiu osobistym i w życiu społecznym mogą być pokonane jedynie w rezultacie procesu, w którym wola i inteligencja współdziałają ze sobą: rzeczą woli jest nie przyjmować rozwiązań pozornych

i nie dopuszczać do osłaniania zła, rzeczą inteligencji – poznać jego istotę, znaleźć nań lekarstwo, jeśli takie lekarstwo istnieje, w przeciwnym zaś razie – uczynić zło znośnem, patrząc nań z szerokiej perspektywy, przyjmując jako rzecz nieuniknioną i pamiętając, co jeszcze pozostaje poza niem w innych dziedzinach, w innych stuleciach i w przepaściach przestrzeni międzyplanetarnej.



ARCHITEKTURA I KWESTJA SPOŁECZNA

Od najdawniejszych czasów architektura spełniała podwójne zadanie: z jednej strony miała cel czysto użyteczny – dostarczania ludziom dachu nad głową, z drugiej – służyła celom społecznym, mianowicie przez wyobrażenie w kamieniu pewnej idei miała narzucić jej wspaniałość umysłom ludzkim. Budując mieszkania dla biedaków, kierowano się tylko tem pierwszym zadaniem; natomiast świątynie bogów i pałace królów wznoszono z myślą, aby na ich widok ludzie korzyli się wobec potęgi niebios i ich faworytów na ziemi. W nielicznych wypadkach gloryfikowano w ten sposób nie poszczególne monarchów, ale całe społeczności: Akropol w Atenach i Kapitol w Rzymie uosabiały wobec poddanych i sojuszników władczy majestat tych dumnych miast. Zalety estetyczne uważano za pożądane w gmachach publicznych, a później w pałacach plutokratów i cesarzy; nie interesowa-

no się jednak z tego punktu widzenia lepiankami chłopów ani nędznymi pomieszczeniami proletariatu miejskiego.

W epoce średniowiecza, mimo bardziej złożonej struktury społecznej ludności, rola momentów artystycznych w architekturze była tak samo – a nawet bardziej jeszcze – ograniczona, ponieważ zamki możnowładców miały służyć przede wszystkim względem militarnym, i jeśli miały jaką wartość artystyczną – było to tylko dziełem przypadku. Najpiękniejsze budynki średniowiecza wzniesione zostały nie przez feudalizm, lecz przez kościół i handel.

8. Katedry sławiły Boga i Jego biskupów. Handel wełną między Anglią i Holandją, na którego usługach byli królowie angielscy i książęta burgundzcy, budził wśród kupiectwa dumę, która znalazła swój wyraz we wspinających „domach sukienników” i budynkach miejskich we Flandrji, a w mniejszym stopniu – w wielu rynkowych kamienicach miast angielskich. Dopiero jednak Włochy, kolebka nowożytnej plutokracji, doprowadziły do doskonałości architekturę gmachów handlowych. Wenecja, „oblubienica mórz”, która zatrzymywała pochody krzyżowców i budziła niemy podziw sprzymierzonych monarchów chrześcijańskich, stworzyła nowy typ majestatycznego piękna w Pałacu Dożów i w do-

mach patriarchatu handlowego. Inaczej niż rozrzuceni wśród lasów i pól baronowie Północy, magnaci miejscy Wenecji i Genui nie potrzebowali samotnych zamków obronnych, lecz żyli jeden obok drugiego, tworząc w ten sposób miasta, w których wszystko co mógł zobaczyć nie nazbyt ciekawy cudzoziemiec było wspaniałe i pociągające estetycznie. Zwłaszcza w Wenecji łatwo było ukryć brud i nędzę; gnieździła się ona w zaułkach, do których nie mogły dotrzeć gondole z ich pasażerami. Nigdy już potem plutokracji nie udało się osiągnąć tak zupełnego sukcesu.

Kościół wznosił w średniowieczu nietylko katedry, ale i inne budowle, bliższe naszym potrzebom współczesnym: opactwa, klasztory i kolegia. Instytucje te oparte były na zasadach pewnego rodzaju swoistego komunizmu, i miały wytwarzać wśród wychowanków pewne formy wzajemnego współżycia. W budynkach tych wszystko, czem rozporządzała jednostka, było spartańskie i proste, wszystko natomiast, z czego korzystała wspólnota – okazałe i bogate. Pokornemu mnichowi wystarczała pusta i goła cela; duma zakonu przejawiała się we wspaniałości sal, kaplic i refektarzy. W Anglii klasztory i opactwa pozostały dziś głównie w postaci ruin, zwiedzanych przez turystów, ale kolegia

– w Oxfordzie i w Cambridge – są w dalszym ciągu częścią składową życia narodu i zachowały nadal swoje średniowieczne piękno.

Gdy wpływy Odrodzenia objęły również Północ, nieokrzesani baronowie Francji i Angli zaczęli starać się o zdobycie tej kultury, jaką posiadali magnaci włoscy. Podczas gdy Medyceusze wydawali swoje córki za królów – poeci, malarze i architekci na północ od Alp kopjowali wzory florenckie, a arystokraci wznosili zamiast dawnych zamków wiejskie pałace, których bezbronność była świadectwem pewności i bezpieczeństwa, jakie od czuwała teraz szlachta w swoich cywilizowanych salonach. Bezpieczeństwo to zostało jednak zburzone przez Rewolucję Francuską, i od tej chwili tradycyjne style architektury utraciły swoją żywotność. Wegetują jeszcze tam, gdzie wegetują stare formy władzy – widzimy je na przykład w uzupełnieniach Luwru przez Napoleona; ale uzupełnienia te cechuje już wulgarna kwiecistość, wskazująca na brak mocnego gruntu pod nogami cesarza. Gdy się na nie patrzy, wydaje się, jakgdyby Napoleon chciał koniecznie zapomnieć o słowach, które swoją złą francuszczyzną stale powtarzała jego matka: „*Pourvou que cela dure*”.

Dwoma typowemi przejawami architektury dzie-

więtnastego wieku, związanymi z produkcją maszynową oraz z rozwojem indywidualizmu w masach ludowych, są: z jednej strony – fabryka ze swemi kominami, z drugiej – szeregi skromnych domków rodzin robotniczych. Gdy fabryka reprezentuje organizację gospodarczą, wytworzoną przez industrializm, małe domki są wyrazem indywidualistycznych dążeń do separowania się w życiu, przejawianych przez ludność pracującą. Tam, gdzie wobec wysokiego czynszu gruntowego opłaca się budowanie dużych domów, stanowią one pewną całość tylko w sensie architektonicznym, ale nie społecznym: są to pomieszczenia biur, kamienice czynszowe, albo hotele, których mieszkańcy nie stanowią – jak zakonnicy w klasztorze – jednej wspólnoty, ale przeciwnie, starają się nic o sobie wzajem nie wiedzieć. Gdzie tylko w Anglii cena ziemi nie jest zbyt wysoka, budowa domów mieszkalnych odbywa się w myśl zasady: dla każdej rodziny – osobny domek. Kiedy się wjeżdża koleją do Londynu lub do jakiegokolwiek wielkiego miasta na północy Anglii, mija się niezliczone ulice takich małych domków, z których każdy jest ośrodkiem życia prywatnego, podczas gdy życie społeczne koncentruje się w biurach, fabrykach czy kopalniach – zależnie od miejscowości. Obcowanie z innymi ludźmi po-

za domem rodzinnym ma motywy wyłącznie gospodarcze; wszystkie potrzeby towarzyskie o podkładzie pozagospodarczym muszą być zaspokajane w obrębie życia prywatnego, albo pozostawać wogóle bez zaspokojenia. Niezależnie od tego trzeba stwierdzić, że jeśli sądzić ideały społeczne danej epoki według estetycznego poziomu jej architektury – ostatnie stulecie reprezentuje najniższy poziom, na jaki ludzkość zeszła w tej dziedzinie.

Współistnienie fabryki i szeregów małych domków ilustruje dziwną niekonsekwencję współczesnego życia. Gdy produkcja wymaga coraz ściślejszej współpracy dużych grup ludzkich – nasz światopogląd, w dziedzinach które według nas leżą poza sferą ekonomiki i polityki, staje się coraz bardziej indywidualistyczny. Dotyczy to nie tylko sztuki, w której kult egotyzmu doprowadził do anarchicznego buntu przeciw wszelkiej tradycji i konwencji; dotyczy również – może jako wynik przeludnienia mieszkań – życia prywatnego każdego przeciętnego człowieka, a w szczególności kobiety. Fabryka wytwarza z konieczności pewną więź społeczną, z której zrodziły się związki zawodowe; ale w domu każda rodzina chce być izolowana od innych. „Lubię mieć siebie dla siebie” – powiadają kobiety; a mężowie lubią mieć poczucie, że żona siedzi w do-

mu i czeka na powrót męża. Naskutek takiej postawy kobiety znoszą – a nawet wolą – mały oddzielny domek, małą oddzielną kuchenkę, samotne charowanie przy gospodarstwie i dogłądanie dzieci, gdy nie są w szkole. Jest to życie monotonne, a jednocześnie wypełnione ciężką i denerwującą pracą; kobieta jest niemal niewolnikiem we własnym domu; a jednak woli to wszystko od bardziej społecznych form współżycia, ponieważ taka izolacja bardziej odpowiada jej poczuciu godności osobistej.

Tendencja ta związana jest z ogólną sytuacją kobiety. Mimo postępów feminizmu i równouprawnienia politycznego, sytuacja kobiety zamężnej mało się zmieniła w ostatnich czasach – przynajmniej w rodzinach robotniczych. Kobieta zależna jest w dalszym ciągu od zarobków męża; za swoją pracę nie otrzymuje żadnej płacy, chociaż pracuje ciężko. Będąc z zawodu gospodynią, lubi mieć własne gospodarstwo. Wspólne większości ludzi pragnienie, aby móc na jakimś polu przejawić własną inicjatywę, może zaspokoić tylko na terenie własnego domu. Z drugiej strony mąż bardzo sobie ceni poczucie, że jego żona pracuje dla niego i jest od niego materialnie zależna; ponadto posiadanie żony i domu bardziej zaspokaja jego instynkt wła-

sności, niżby to było możliwe w warunkach bardziej społecznego budownictwa mieszkaniowego. Rodzące się na tle małżeństwa poczucie wyłącznego posiadania w stosunku do drugiej osoby sprawia, że zarówno mąż jak żona, mimo odzywającej się w nich od czasu do czasu potrzeby bardziej społecznego trybu życia, są oboje zadowoleni, że druga strona ma mało okazji spotykania się z niebezpiecznymi przedstawicielami płci odmiernej. I choć w ten sposób życie obojga może zostać wypaczone, a życie kobiety jest niepotrzebnie wyczerpujące – żadne nie pragnie odmiennej egzystencji.

Wszystko to uległoby zmianie, gdyby kobiety zamężne z reguły, a nie tylko w drodze wyjątku, zarabiały na życie pracą poza domem. Wśród t. zw. zawodów wyzwolonych liczba zarobkujących zamężnych kobiet jest już tak znaczna, że mogłyby one w wielkich miastach mieć warunki mieszkaniowe odpowiadające w przybliżeniu ich potrzebom – to znaczy korzystać z kuchni, wspólnej dla całego domu, co uwolniłoby je od obowiązków kuchennych, oraz mieć do dyspozycji przedszkole, które opiekowałoby się dziećmi, gdy matka pracuje. Obyczajowość konwencjonalna każe kobiecie ubolewać nad tem, że musi pracować poza domem; jeżeli ponadto pod koniec dnia czekają ją jeszcze

w domu normalne zajęcia tych kobiet, które poza-tem nic innego nie robią – grozi jej poważne przepracowanie. Przy odpowiednich jednak warunkach mieszkaniowych kobiety mogłyby być uwolnione od większości zajęć, związanych z prowadzeniem domu i nadzorem nad dziećmi – z korzyścią dla samych kobiet, dla ich mężów i dla dzieci; wówczas zaś zastąpienie tradycyjnych trosk żony i matki przez zajęcia zawodowe byłoby zjawiskiem wyraźnie dodatniem. Każdy mąż, mający t. zw. „nowoczesną” żonę, może się o tem przekonać, jeśli spróbuje choćby przez tydzień zastępować żonę w jej obowiązkach domowych.

Praca kobiety zamężnej ze sfer robotniczych nie uległa żadnej modernizacji, ponieważ jest bezpłatna; faktycznie jednak znaczna część tej pracy jest wogóle niepotrzebna, a pozostała część powinna być naogół wykonywana przez szereg osób o specjalnych kwalifikacjach. Aby to jednak było możliwe, pierwszą niezbędną reformą jest reforma budownictwa mieszkaniowego. Zagadnienie polega na tem, aby udostępnić ludziom wszystkie korzyści gromadzkiego życia, takie jakie zapewniały średniowieczne klasztory, nie wymagając przytem celibatu – innemi słowy, uwzględniając potrzeby dzieci.

Rozważmy najprzód ujemne strony dzisiejszego stanu rzeczy, w którym każda rodzina robotnicza stanowi odrębną, zamkniętą jednostkę – niezależnie od tego, czy mieszka we własnym domku, czy w wynajętem mieszkaniu w kamienicy czynszowej.

Najpoważniej odbija się to na dzieciach. Póki są w wieku przedszkolnym, mają o wiele za mało powietrza i słońca; jeść muszą to, co może im przyrządzić matka – biedna, nieoświecona i zajęta, nie mogąca przytem gotować innych potraw dla dorosłych a innych dla dzieci; kiedy matka gotuje i sprząta, płaczą jej się ciągle pod ręką, czem denewrują ją i w rezultacie traktowane są z opryskliwością, przeplataną może pieścizotami; nie mają nigdy swobody ruchów ani takiego otoczenia, w którym ich naturalna aktywność nikomuby nie przeszkadzała. W tych okolicznościach łatwo stają się chorowite, nerwowe i przytłumione.

Krzywda matki jest też bardzo poważna. Musi pełnić jednocześnie obowiązki kucharki, służącej i niania, a do żadnej z tych funkcji nie ma kwalifikacji, i prawie zawsze wykonywa je wszystkie źle; jest zawsze zmęczona i traktuje dzieci, jako utrapienie, a nie jako źródło przyjemności; mąż ma odpoczynek, kiedy kończy się jego dzień roboczy – ona jednak nie odpoczywa nigdy; ostatecznie staje

się niemal zawsze podrażniona, drobnostkowa i zawistna.

Dla mężczyzny ujemne skutki są najmniejsze, ponieważ najmniej przebywa w domu. Kiedy jednak jest w domu, nie podoba mu się napewno kłótność żony i „niesforność” dzieci; zamiast winić warunki mieszkaniowe, ma zwykle pretensję do żony – ze wszystkimi przykreimi konsekwencjami takiej sytuacji, zależnymi od stopnia jego brutalności.

Nie twierdzę oczywiście, że tak dzieje się wszędzie; twierdzę jednak, że aby było inaczej – kobieta odznaczać się musi niezwykłym zdrowiem fizycznym, rozumem i opanowaniem. A ustrój, który wymaga od istot ludzkich właściwości wyjątkowych, może – rzecz prosta – dobrze funkcjonować tylko w wyjątkowych wypadkach. Rzadkie wypadki, w których złe strony ustroju nie występują, nie mogą być żadną miarą argumentem przeciw jego szkodliwości.

Aby zaradzić całemu temu złu jednocześnie, trzeba tylko oprzeć budownictwo mieszkaniowe na pewnej wspólnocie. Małe domki i kamienice z lokalami o własnych kuchniach powinny zniknąć. Na ich miejsce postać powinny duże bloki, budowane w czworobok, którego strona południowa byłaby

odpowiednio niska, aby nie zasłaniać słońca. Powinna być wspólna kuchnia, obszerna sala jadalna i inna sala na zebrania, rozrywki i kino; w środku dziedzińca – przedszkole, zbudowane tak, aby dzieci nie mogły łatwo zrobić sobie krzywdy ani niczego potłuc. Nie powinno więc być w niem schodów, kominków ani pieców, które można dotknąć, talerze, filiżanki i półmiski powinny być z nietłukącego się materiału, i wogóle należałoby jaknajusilniej unikać wszystkiego, co zmusza do mówienia dzieciom: „Nie wolno!” Gdy jest ładnie, przedszkole powinno funkcjonować na otwartem powietrzu; w czasie niepogody – w klasach, z jednej strony otwartych (chyba że pogoda jest już bardzo zła). Wszystkie posiłki dzieci powinny jeść w przedszkolu, które może zupełnie tanio dawać im pożywienie o wiele zdrowsze od tego, jakie dostają w domu. Z chwilą kiedy matka przestaje je karmić, aż do pójścia do szkoły, dzieci powinny spędzać cały swój dzień – od śniadania do ostatniego posiłku – w przedszkolu; tu powinny bawić się, a nadzór nad nimi należy ograniczyć do minimum, niezbędnego ze względu na ich bezpieczeństwo.

Wygrana dzieci byłaby olbrzymia. Powietrze, słońce, dużo wolnej przestrzeni i dobre pożywienie poprawiłoby ich zdrowie; a swoboda i uwolnienie

od klóttliwej atmosfery, w jakiej wychowuje się dziś większość dzieci robotniczych, wpłynęłyby korzystnie na ich charakter. Swoboda ruchów, na jaką można bezpiecznie pozwolić małemu dziecku tylko w specjalnie przystosowanem otoczeniu, mogłaby być w takim przedszkolu niemal nieograniczona; w rezultacie rozwinęłaby się w dzieciach w sposób zupełnie naturalny – tak jak rozwija się w zwierzętach – przedsiębiorczość i sprawność fizyczna. Jeśli małym dzieciom ustawicznie nie pozwalać się ruszać, wytwarza to w nich stałe źródło niezadowolenia i bojaźliwości w życiu późniejszym – ale zakazy tego rodzaju są w dużym stopniu nieuniknione, dopóki dzieci przebywają w otoczeniu dorosłych; atmosfera przedszkola wpływałaby więc tak samo dodatnio na ich charakter jak na zdrowie.

Niemniej skorzystałyby na tem kobiety. Zaraz po okresie karmienia oddawałyby swoje dzieci na cały dzień w ręce osób, w tej dziedzinie fachowo wykształconych. Nie musiałyby się zajmować kupowaniem jedzenia, gotowaniem i zmywaniem. Wychodziłyby z domu rano i wracały wieczorem, jak ich mężowie; tak jak oni, miałyby swoje godziny pracy i odpoczynku, zamiast ciągłego zajęcia. Widziałyby swoje dzieci rano i wieczorem – dosyć, jeśli

chodzi o wyładowanie uczucia, ale nie tyle, aby mieć rozstrojone nerwy. Matki, przebywające przez cały dzień ze swemi dziećmi, rzadko mają jeszcze tyle energii, aby móc się z niemi bawić; z reguły ojciec bawi się z dziećmi o wiele więcej niż matka. Dzieci muszą się stać męczące dla każdego człowieka dorosłego – nawet najbardziej oddanego im – jeśli nie może ani na chwilę uwolnić się od ich ciągłych żądań aby się niemi zajmować. Pod koniec dnia, spędzanego oddzielnie, matka i dziecko będą wobec siebie bardziej serdeczne, niż kiedy cały dzień muszą być razem. Dzieci, fizycznie zmęczone, ale nerwowo spokojne, będą bardzo zadowolone ze specjalnej uwagi, okazywanej im przez matkę, którą zestawia z bezstronną postawą wychowawczyni w przedszkolu. To więc, co w życiu rodzinnem jest rzeczą wartościową, pozostanie – zniknie zaś to, co rodzi zmartwienia i osłabia uczucia.

Zarówno mężczyznom jak kobietom, zmiana o której mówimy dawałaby możliwość ucieczki z ciasnych i ponurych mieszkań do wielkich sal wspólnych, które mogą być architektonicznie tak piękne, jak sale *college'ów*. Piękno i wolne przestrzenie przestałyby być wyłącznie prerogatywą bogaczy. Skończyłaby się irytacja, zrodzona w ciasnych mie-

szkaniach i unicestwiająca tak często szczęście rodzinne.

I wszystko to byłoby następstwem – reformy w dziedzinie architektury.

Przeszło sto lat temu Robert Owen był bardzo wykpiwany za swój projekt „równoległoboków spółdzielczych”, który stanowił próbę zapewnienia robotnikom korzyści życia we wspólnocie. Wówczas, w czasach przygniatającej nędzy, projekt ten był przedwczesny; dziś jednak realizacja jego stała się pod wielu względami możliwa i pożądana. Sam Owen zdołał założyć w New Lanark przedszkole o bardzo nowoczesnym poziomie. Pod wpływem specjalnych warunków, panujących w New Lanark, chciał niesłusznie widzieć w swoich „równoległobokach” jakieś jednostki produkcyjne, a nie tylko mieszkalne. Industralizm kładł od początku zbyt wielki nacisk na produkcję, a zbyt mały – na konsumpcję i warunki życia codziennego; było to wynikiem szczególnej roli zysku, łączącego się tylko z produkcją. W rezultacie fabryka zorganizowana jest na zasadzie wskazań nauki i doprowadziła podział pracy do jaknajdalszych granic – do prywatnego gospodarstwa jednak wskazania nauki nie dotarły, i przeciążona pracą matka obciążona jest nadal najrozmaitszemi zajęciami. Fakt, że

najchaotyczniej i najfatalniej zorganizowanemi dziedzinami życia są te właśnie, które nie przynoszą zysków pieniężnych – jest naturalną konsekwencją dominującej roli, jaką motyw zysku odgrywa w naszym ustroju.

Trzeba jednak stwierdzić, że najpotężniejszą przeszkodą na drodze reformy, o jaką mi chodzi, jest psychologia samych robotników. Cokolwiekby na ten temat mówili, ludzie lubią intymność własnego „domowego ogniska”, zaspokajającego ich ambicję i instynkt własności. We wspólnocie ludzi, żyjących w celibacie, tendencja w tym kierunku nie istniała; pociąg do intymności jest produktem małżeństwa i rodziny. Nie sądzę zresztą, aby posiadanie własnej kuchni – poza możliwością jakiegoś doraźnego gotowania na gazie – było konieczne dla zaspokojenia tego instynktu; myślę że ludziom, którzy już się do tego przyzwyczaili, wystarczyłyby wynajmowane pokoje z własnymi meblami. Zmiana jednak zakorzenionych przyzwyczajeń jest zawsze rzeczą trudną. Mimo to, pod wpływem dążenia do niezależności, coraz więcej kobiet szukać będzie zapewne pracy zarobkowej poza domem; to zaś z kolei może sprawić, że zmiana, o jakiej mówiliśmy, wyda im się rzeczą pożądaną. Wśród kobiet z klasy robotniczej feminizm jest jeszcze dotąd na

niskiem stadjum rozwoju; prawdopodobnie jednak będzie rósł na sile – jeśli nie nastąpi reakcja fa-szystowska – a pod jego wpływem kobiety zmieniają swój sąd o wspólnych kuchniach i przedszkolach. W każdym razie żądanie zmiany nie wyjdzie od mężczyzn; robotnicy bowiem, nawet socjaliści i komuniści, rzadko kiedy dostrzegają potrzebę jakichkolwiek zmian w sytuacji swoich żon.

Dopóki istnieje wielka klęska bezrobocia, a nie-rozumienie zasad gospodarki jest zjawiskiem niemal powszechnem – praca zarobkowa kobiet za-mężnych wywołuje naturalną opozycję, jako zagra-żająca zatrudnieniu innych pracowników. Z te-go względu zagadnienia, dotyczące kobiet za-mężnych, związane są z zagadnieniem bezrobocia – to zaś ostatnie nie da się prawdopodobnie rozwią-zać bez zasadniczych zmian ustrojowych o charak-terze socjalistycznym. W każdym razie wznoszenie „równoległoboków spółdzielczych”, o jakich mówi-łem, może nastąpić na większą skalę tylko jako część ogólnego planu socjalistycznego, gdyż dzia-łalność tego rodzaju nie da się nigdy oprzeć na motywie prywatnego zysku. Zdrowie i właściwo-ści psychiczne dzieci, jak również nerwy kobiet, muszą więc być narażane na szwank w dalszym ciągu – dopóki motyw zysku reguluje całe nasze

życie gospodarcze. Przy pomocy tego motywu niektóre rzeczy dają się osiągnąć, niektóre – nie dają: do tych ostatnich należy zaspokojenie potrzeb kobiet i dzieci z klasy robotniczej, oraz – rzecz zakrawająca na jeszcze większą utopję – estetyczny wygląd przedmieść robotniczych. Ale chociaż brzydota tych przedmieść uważamy za rzecz naturalną i nieuniknioną, jak wichry w marcu i mgły w listopadzie, nie działa tutaj żadna konieczność przyrodzona. Gdyby zamiast prywatnych przedsiębiorców budowały je władze komunalne, przeprowadzając planowo ulice i starając się o to, aby ich architektura przypominała architekturę starych *college'ów* – dzielnice robotnicze mogłyby być rozkoszą dla ludzkiego oka. Brzydota, tak samo jak cierpienie i nędza, jest ceną płaconą przez nas za to, że nie potrafimy zrzucić ze siebie niewolniczego jarzma gospodarki kapitalistycznej.

O CYNIZMIE MŁODZIEŻY

Każdego, kto zapoznaje się z życiem uniwersyteckim w krajach zachodnich uderza fakt, że inteligentna młodzież dzisiejsza jest o wiele bardziej cyniczna, niż była dawniej. Nie jest tak w Rosji, Indjach, Chinach czy Japonji; sądzę, że nie można tego również powiedzieć o Czechosłowacji, Jugosławji ani Polsce – nie jest to także zjawisko powszechne w Niemczech; stanowi jednak niewątpliwie bardzo charakterystyczną cechę młodzieży angielskiej, francuskiej i amerykańskiej. Jeśli chcemy zrozumieć, dlaczego młodzież jest cyniczna na Zachodzie, musimy rozumieć również, dlaczego nie jest cyniczna na Wschodzie.

Młodzież rosyjska nie jest cyniczna, ponieważ przyjmuje naogół światopogląd komunistyczny, a żyje w kraju wielkim, pełnym bogactw naturalnych, które czekają tylko na rozsądną eksploatację. Młodzież ma więc przed sobą karierę życiową, której nie uważa za marnowanie czasu. Nie potrzebu-

jemy zastanawiać się nad celem życia, kiedy – realizując pewien ideał – budujemy kolej żelazną, przeprowadzamy rurociąg, albo mamy nauczyć odrazu wszystkich chłopów w promieniu paru kilometrów posługiwania się traktorami Forda. Z tych względów młodzież rosyjska odznacza się gorącą wiarą i wigorem życiowym.

W Indjach zasadniczą wiarą całej poważnie myślącej młodzieży jest przekonanie o niegodziwości Anglików: z tej przesłanki, jak z „istnienia” Kartezjusza, można wydedukować całą filozofję. Z tego więc, że Anglja jest krajem chrześcijańskim, wynika że hinduizm – względnie mahometanizm – jest jedyną prawdziwą religją. Z tego że Anglja jest krajem przemysłowym i kapitalistycznym wynika – zależnie od temperamentu wnioskującego – albo że wszyscy powinni prząść przędzę na kołowrotkach, albo też że należy wprowadzić cła ochronne i dążyć do rozwoju krajowego industrjalizmu i kapitalizmu, jako jedynej broni, którą walczyć można z industrjalizmem i kapitalizmem brytyjskim. Z faktu że Anglicy utrzymują w swych rękach Indie przy pomocy siły fizycznej wynika, że cenić należy tylko siłę moralną. Prześladowanie nacjonalistów w Indjach wystarcza, aby uczynić z nich bohaterów, ale nie wystarcza, aby ich działalność wy-

dawała się zupełnie bezpłodna. W ten sposób Anglicy w Indjach chronią inteligentną młodzież indyjską od cynizmu.

W Chinach nienawiść do Anglii odegrała także swoją rolę – choć rola jej była tu o wiele mniejsza, ponieważ Anglicy nie rządili nigdy tym krajem. Młodzież chińska potrafi łączyć patryjotyzm ze szczerym entuzjazmem dla Zachodu – co było powszechnym zjawiskiem w Japonji przed pięćdziesięciu laty. Młodzież ta pragnie dla narodu chińskiego oświaty, wolności i dobrobytu, i widzi przed sobą wyraźnie drogę, prowadzącą do tego celu. Ideały jej – to naogół ideały dziewiętnastego wieku, które w Chinach nie są jeszcze uważane za przestarzałe. Cynizm w Chinach reprezentowali urzędnicy dawnego cesarstwa, a potem generałowie, pustoszący kraj w ciężkich wojnach między sobą od 1911 r.; niema dlań jednak miejsca w umysłowości nowocześnie wychowanej inteligencji.

W Japonji światopogląd młodej inteligencji przypomina nastrój, jaki panował na kontynencie europejskim w latach 1815 – 1848. Hasła liberalne – parlamentaryzm, prawa obywatela, wolna myśl i wolność słowa – mają wciąż swoją siłę atrakcyjną. Walka o te hasła przeciw tradycjom feodalnym i a-

rystokratycznym wystarcza zupełnie do wywołania w młodzieży energii i entuzjazmu.

Zblazowanemu młodemu człowiekowi z Zachodu cały ten zapal wydaje się nieco naiwny. Jest głęboko przekonany, że zapoznał się bezstronnie ze wszystkim, przejrzał wszystko nawskroś i nie znalazł „niczego godnego uwagi pod słońcem”. Dla takiej postawy możnaby znaleźć poddostatkiem powodów w naukach, głoszonych przez starsze pokolenie; nie sądzę jednak, aby wyjaśnienie tego rodzaju trafiało w sedno rzeczy, gdyż w odpowiednich okolicznościach młodzież umie na poglądy starszych odpowiadać należyłą reakcją i stwarzać sobie własną Ewangelię. Jeśli reakcją dzisiejszej młodzieży Zachodu jest tylko cynizm, musi istnieć potemu jakaś specjalna przyczyna. Młodzież nie tylko nie może wierzyć w to, co jej wpajają starsi, ale nie potrafi wogóle w nic wierzyć. Jest to bardzo szczególny stan rzeczy, zasługujący na zbadanie. Przyjrzyjmy się więc najpierw pokolei niektórym starym ideałom i rozważmy, dlaczego nie są one tak pociągające, jak były dawniej. Do takich ideałów możemy zaliczyć: religję, ojczyznę, postęp, piękno, prawdę. Czegóż brakuje im w oczach młodzieży?

Religia. Upadek jej wpływów ma przyczyny częściowo intelektualne, częściowo społeczne. Z

przyczyn natury intelektualnej ludzie o bystrym umyśle rzadko mają dziś tę samą intensywną wiarę, jaką mógł mieć przypuścmy Św. Tomasz z Akwinu. Bóg dla większości ludzi współczesnych jest istotą o dość niewyraźnych konturach, i łatwo wyradza się w jakąś „siłę witalną” albo „potęgę poza nami, działającą na korzyść sprawiedliwości”. Nawet ludzie wierzący interesują się przedewszystkiem wpływem, jaki wywiera religja na t y m świecie, a nie o wym i n n y m światem, w którego istnienie rzekomo wierzą; są znacznie bardziej pewni tego, że istnienie Pana Boga jest pożyteczną hipotezą dla poprawy doczesnego świata, niż tego, że świat ten stworzony został dla chwały Boskiej. Skoro podporządkowują Boga potrzebom życia doczesnego, musi rodzić się podejrzenie co do szczerości ich wiary. Sądzą jakgdyby, że Pan Bóg – tak jak Niedziela – stworzony został przez wzgląd na człowieka. Istnieją również przyczyny społeczne, nie pozwalające ideałom dzisiejszym skupiać się wokół kościoła. Kościół, naskutek posiadanych fundacyj, stał się jednym z obrońców prawa własności. Ponadto, związał się z prześladowczą etyką, potępiającą wiele przyjemności które młodzież uważa za rzecz nieszkodliwą, i przysparzającą ludziom wielu cierpień które sceptykom wydają się niepotrzebnem okrucieństwem. Znałem

poważnych młodych ludzi, którzy godzili się bez zastrzeżeń na nauki Chrystusa; znaleźli się jednak w opozycji wobec oficjalnego kościoła chrześcijańskiego, traktowani byli jak wyrzutki i prześladowani zupełnie tak samo, jakgdyby byli wojującymi ateistami.

Ojczyzna. Patrjotyzm bywał niejednokrotnie namiętną wiarą, którą podzielać mogły w pełni najlepsze umysły. Tak było w Anglii w czasach Szekspira, w Niemczech w czasach Fichtego, we Włoszech w czasach Mazziniego. Tak jest w dalszym ciągu w Polsce, w Chinach, w Mongolji Zewnętrznej. W krajach zachodnich patrjotyzm jest w dalszym ciągu wielką potęgą: decyduje o polityce, o wydatkach publicznych, o przygotowaniach wojennych i tak dalej. Ale inteligentnej młodzieży ideały patrjotyczne już nie wystarczają: widzi ona, że jest to bardzo piękna rzecz dla narodów uciskanych, ale z chwilą kiedy naród uciskany uzyskuje wolność, nacjonalizm – który dotąd przejawiał się w heroizmie – zaczyna przejawiać się w prześladowaniu innych. Polacy, z którymi idealisci zawsze sympatyzowali już od czasu, gdy Marja Teresa „płakała, ale swoje wzięła”, skorzystali z wolności, aby zorganizować prześladowanie Ukraińców. Irlandczycy, którym Anglja narzucała w cią-

gu ośmiuset lat przemocą swoją cywilizację, wyzyskali wolność w tym kierunku, aby uniemożliwić ukazywanie się wielu wartościowych książek. Widok Polaków, prześladowanych Ukraińców i Irlandczyków, prześladowanych literaturę nie pozwala uważać nacjonalizmu za ideał, odpowiedni nawet dla małego narodu. Gdy zaś chodzi o narody wielkie – argumenty przeciw niemu są jeszcze mocniejsze. Traktat Wersalski nie mógł być bardzo zachęcający dla ludzi, którym udało się uniknąć śmierci w walce – w walce o obronę ideałów, zdradzonych następnie przez ich rządy. Ci którzy w czasie wojny zapewniali, że walczą z militarystem, stali się po zakończeniu wojny głównymi militarystami w swoich krajach. Pod wpływem faktów tego rodzaju cała inteligentna młodzież uznała za rzecz oczywistą, że patriotyzm jest głównym nieszczęściem naszej epoki i że jeśli nie zostanie okiełznany, doprowadzi do ruiny cywilizacji. X

Postęp. Jest to ideał typowy dla dziewiętnastego wieku; dla przesubtelnionej młodzieży dzisiejszej pachnie zabardzo Babbitem*). Postęp w dziedzinach, w których daje się mierzyć, nie ma wielkiego znaczenia – np. w liczbie wyprodukowanych

*) Postać z powieści Sinclair Lewis'a. (Przyp. tłum.)

aut, albo skonsumowanych fistaszek. Spraw naprawdę ważnych mierzyć nie można, a wobec tego nie nadają się one do reklamy. Ponadto, wiele nowoczesnych wynalazków działa na ludzi ogłupiająco; mogę tu wymienić radjo, film dźwiękowy i gazy trujące. Szekspir oceniał doskonałość danej epoki na zasadzie stylu jej poezji (patrz Sonet XXXII), ale taki sposób mierzenia byłby dziś niemodny.

Piękno. W pojęciu „piękna” jest coś staromodnego, choć trudno to bliżej określić. Malarz współczesny oburzyłby się, gdyby go oskarżono o dążenie do piękna. Wydaje się, jakgdyby większość dzisiejszych artystów opanowana była jakąś nienawiścią wobec świata, i wołała raczej sprawiać swemi dziełami głęboki a znaczący ból, niż wywoływać pogodne zadowolenie. Pozatem poczucie piękna wymaga często, aby człowiek który je odczuwa traktował siebie samego bardziej poważnie, niż może to czynić inteligentny człowiek współczesny. Wybitny obywatel małego państwa-miasta, w rodzaju Aten lub Florencji, mógł łatwo przypisywać znaczenie swojej osobie. Ziemia była centrum wszechświata, człowiek – celem, dla którego świat został stworzony, miasto rodzinne dawało przykład, jakimi powinni być ludzie, a on sam był jednym z najlepszych w mieście. W takiej sytuacji Ejschylos lub Dante mogli trak-

tować poważnie swoje radości i smutki. Mogli mieć poczucie, że przeżycia jednostki coś znaczą i że tragiczne wydarzenia zasługują na to, by je uwieczniać w nieśmiertelnych wierszach. Ale człowiek współczesny, gdy szczęście odwraca się od niego, wie że jest tylko jednostką w pewnej grupie statystycznej; przeszłość i przyszłość ukazują mu się, jak szary korowód drobnych i trywialnych niepowodzeń. Sam człowiek wydaje się jakimś komicznym, napuszonem zwierzątkiem, czyniącem wiele hałasu w krótkim okresie, przerywającym na chwilę nieskończoną ciszę niebytu. „Człowiek, co nie może znaleźć sobie miejsca, jest tylko biednym, okaleczonym zwierzęciem”, mówi król Lear, i ponieważ nie może przyzwycząić się do tej myśli – wpada w oślep; człowieka współczesnego, który jest do niej przyzwyczajony, ta sama myśl pozbawia tylko wielkich dążeń i namiętności.

Prawda. W dawnych czasach prawda była czemś absolutnem, odwiecznem i nadludzkim. Sam tak uważałem gdy byłem młody, i zmarnowałem swoją młodość, poświęcając ją poszukiwaniu prawdy. Ale obecnie przeciw prawdzie powstał cały zastęp wrogów, pragnących ją uśmiercić: pragmatyzm, bihewjoryzm, psychologizm, fizyka oparta na teorii względności. Galileusz różnił się z Inkwizycją

co do tego, czy ziemia obraca się dookoła słońca, czy słońce dookoła ziemi; ale obie strony zgadzały się na to, że między temi poglądami zachodzi wielka różnica. Dziś wyglądałoby tak, że obie strony myliły się właśnie w tem, na co się zgadzały – gdyż różnica między temi poglądami jest czysto słowna. W dawnych czasach można było ubóstwiać prawdę; szczerości tego kultu dowiódł zwyczaj składania mu ofiar ludzkich. Trudno jednak czcić prawdę, która jest względna i czysto ludzka. Według Edingtona, prawo grawitacji jest tylko wygodnym sposobem mierzenia; nie jest bardziej prawdziwe, niż jakikolwiek inny pogląd – tak jak system metryczny nie jest bardziej prawdziwy od systemu, posługującego się yardami i stopami.

Natura i jej prawa były ukryte w mrokach...

Bóg rzekł: „Niech przyjdzie Newton” – i... ulatwione zostało mierzenie.

Tego rodzaju uczuciu brak wzniosłości. Gdy Spinoza wierzył w coś, miał poczucie że w owej chwili myśl jego łączy go z Bogiem. Człowiek współczesny albo godzi się z Marksem, że kierują nim motywy gospodarcze, albo z Freudem, że jakiś motyw seksualny leży u podłoża jego wiary w twierdzenie eksponencjalne lub taki czy inny charakter fanmy

Morza Czerwonego. W obu wypadkach nie może dzielić egzaltacji Spinozy.

Dotąd rozpatrywaliśmy cynizm współczesny z racjonalistycznego punktu widzenia, starając się wskazać jego przyczyny intelektualne. Ale wiara, jak o tem przypominają nam ciągle psychologowie współcześni, rzadko kiedy uwarunkowana jest względami rozumowymi: to samo dotyczy i niewiary, chociaż sceptycy często tego nie widzą. Jeśli sceptycyzm jest bardzo rozpowszechniony, ma zawsze przyczyny raczej społeczne niż intelektualne. Główną przyczyną jest zawsze życie wygodne, połączone z brakiem rzeczywistej władzy. Posiadający władzę nie są cyniczni, ponieważ mogą wprowadzać w życie swoje ideały. Ofiary ucisku nie są cyniczne, ponieważ odczuwają nienawiść, a nienawiść, jak każda silna namiętność, rodzi cały zastęp usługnych wierzeń. W czasach przed zapanowaniem demokracji, oświaty powszechnej i produkcji masowej, intelektualiści oddziaływali wszędzie w poważnym stopniu na bieg spraw – nawet wtedy, gdy ich przedstawicielom ucinano głowy. Intelektualista dzisiejszy jest w zupełnie innej sytuacji. Może łatwo dostać dobrą posadę i dobrze zarabiać, jeśli tylko gotów jest sprzedać się ciemnym i głupim bogaczom jako propagandysta albo jako rozweselający

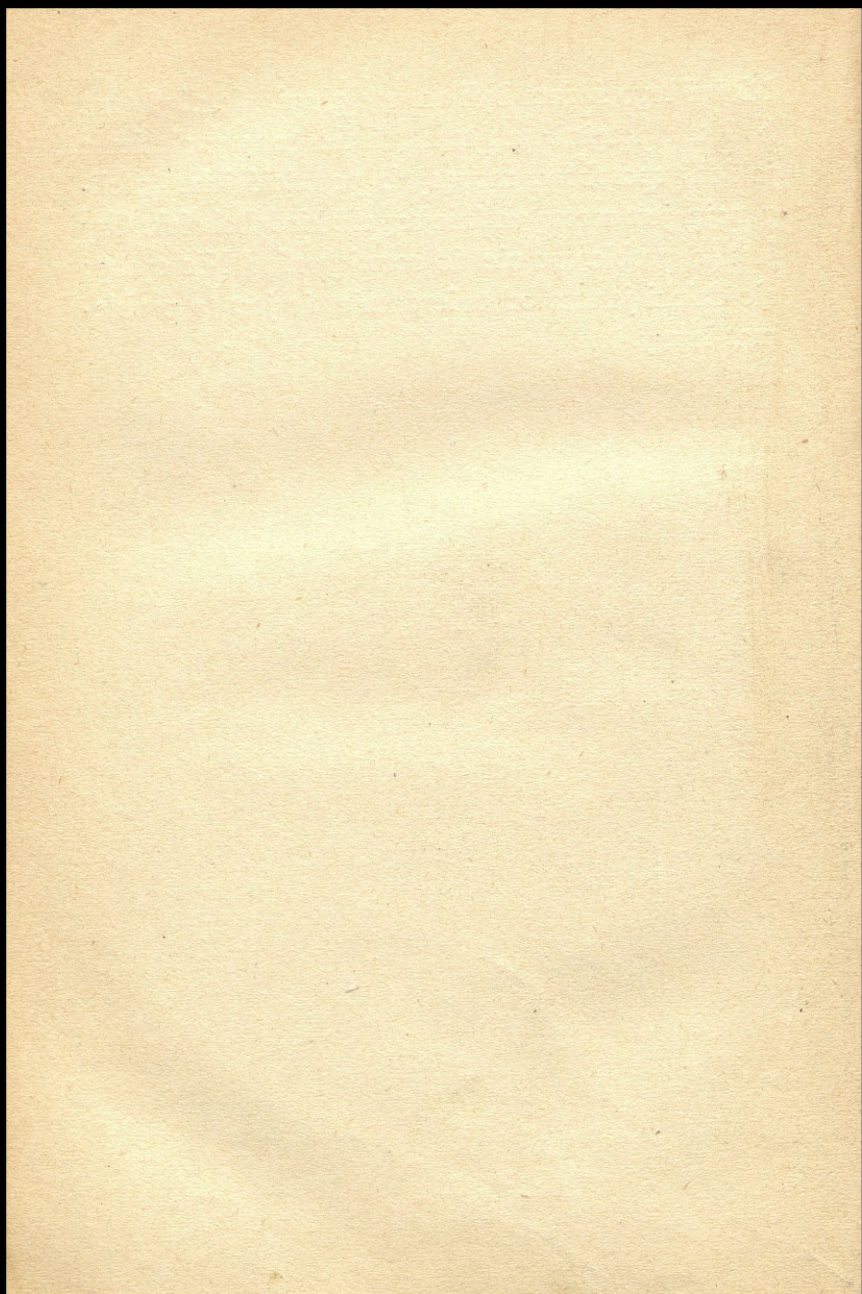
ich trefniś. Produkcja masowa i nauczanie powszechne doprowadziły do tego, że głupota jest dzisiaj obwarowana mocniej, niż kiedykolwiek od początku epoki cywilizowanej. Kiedy rząd carski zamordował brata Lenina, nie uczyniło to Lenina cynikiem, ponieważ nienawiść kazała mu poświęcić całe życie działalności, która w końcu wydała owoce. W bardziej jednak ustabilizowanych stosunkach Zachodu rzadko zdarzają się poważne przyczyny, które mogłyby wywołać tego rodzaju nienawiść, i rzadko okoliczności pozwalają na taką efektowną zemstę. Praca intelektualistów wykonywana jest na zamówienie rządu albo sfer posiadających, które za nią płacą – przyczem intelektualiści uważają najczęściej cele, do których dążą ich pracodawcy, że bezsensowne albo wyraźnie szkodliwe; jednakże w napadzie cynizmu gotowi są przystosować swoje sumienie do potrzeb sytuacji. Istnieją coprawda dziedziny, w których sfery decydujące popierają działalność istotnie wartościową; do dziedzin takich należy przedewszystkiem nauka ścisła, a następnie – budownictwo społeczne w Ameryce. Jeśli jednak młody człowiek otrzymał wykształcenie humanistyczne – a zbyt często tak się właśnie dzieje – ma wprawdzie poważne kwalifikacje, ale nie może znaleźć dla nich zastosowania, które w jego

własnych oczach miałoby jakąś wartość. Ludzie nauki nie są cyniczni nawet na Zachodzie, gdyż mogą w pełni rozwijać swoje władze umysłowe z całkowitą aprobatą społeczeństwa; pod tym względem jednak naukowcy są w wyjątkowo szczęśliwym położeniu.

Jeżeli djagnoza powyższa jest słuszna, lekarstwem na współczesny cynizm nie może być samo moralizatorstwo, ani nawet wskazywanie młodzieży ideałów lepszych od tych, które wydobywają dla niej z zakurzonej rupieciarni przeżytków i przesądów pastorzy i wychowawcy. Wyleczenie nastąpi dopiero wtedy, kiedy intelektualisci będą mogli znaleźć sobie karierę, która da ujście ich impulsom twórczym. Nie widzę żadnego lekarstwa poza starą receptą, propagowaną przez Disraelego: „Wychowujcie tych, którzy wami rządzą”. Trzeba jednak, aby było to wychowanie bardziej realne od tego, jakie jest dzisiaj powszechnym udziałem młodzieży zarówno proletarjackiej jak plutokratycznej. Musi ono uwzględniać pewne istotne wartości kulturalne; jedynym jego kryterjum nie może być dążenie do jaknajintensywniejszej produkcji dóbr materialnych – których ostatecznie produkuje się tyle, że nikt nie może korzystać z nich w sposób właściwy. Nie pozwalamy na wykonywanie praktyki lekar-

skiej nikomu, kto nie ma pewnego pojęcia o funkcjach ludzkiego ciała; ale jednocześnie finansista może rozwijać niczem nieskrępowaną działalność, nie orjentując się w najmniejszym stopniu w jej skutkach – z wyjątkiem wpływu, jaki działalność ta wywiera na jego konto bankowe. Jak przyjemny byłby świat, w którym na giełdzie nie mógłby operować nikt, kto nie zdałby egzaminu z ekonomji i ze znajomości poezji greckiej, a politycy musieliby znać dobrze historję i beletrystykę współczesną! Wyobraźcie sobie dzisiejszego potentata interesów wobec takiego np. zagadnienia: – „Jeślibyś grał na zwyżkę cen pszenicy, jaki miałoby to wpływ na poezję niemiecką?” Powiązanie przyczynowe zjawisk jest w naszych czasach bardziej złożone i obejmuje zjawiska daleko bardziej od siebie odległe, niż to się działo w epokach dawniejszych – głównie na skutek istnienia wielkich organizacyj gospodarczych i innych; ale ludzie, kierujący temi organizacjami – to ignoranci, nawet w jednej setnej części nie zdający sobie sprawy ze skutków własnych poczynań. Rabelais wydał swoją książkę anonimowo z obawy o swe stanowisko na uniwersytecie; Rabelais współczesny nie napisałby w takich warunkach żadnej wogóle książki, ponieważ zdawałby sobie sprawę, że nie zdoła utrzymać w tajemnicy swego nazwiska.

Możni tego świata byli zawsze głupi, ale nigdy nie byli tak potężni, jak teraz. Dlatego wynalezienie jakichś sposobów, mogących podnieść ich inteligencję, jest rzeczą ważniejszą niż kiedykolwiek. Czy jest to problemat nie do rozwiązania? Nie sędzę; ale daleki jestem od twierdzenia, że jest to problemat łatwy.



EPOKA STANDARYZACJI

Jeśli mam sądzić po sobie, dwie rzeczy uderzają Europejczyka zwiedzającego Amerykę: pierwsza – to niezwykle podobieństwo postawy psychicznej ludności we wszystkich częściach Stanów (z wyjątkiem starego Południa), i druga – namiętne pragnienie każdej miejscowości wykazania, że jest miejscowością szczególną i różną od wszystkich pozostałych. Ta druga cecha jest oczywiście następstwem pierwszej. Każda miejscowość chce jakoś uzasadnić swoją dumę lokalną, i z tego względu pielęgnuje wszystko, co jest osobliwego w jej geografji, historii czy tradycji. Im większa istniejąca jednolitość – tem bardziej gorliwe poszukiwanie różnic, które mogłyby ją osłabić. Stare Południe jest w gruncie rzeczy całkowicie odmienne od pozostałej Ameryki – tak odmienne, że człowiek czuje się tam, jakgdyby znalazł się w zupełnie innym kraju: jest rolnicze, arystokratyczne i wpatrzone w przeszłość, gdy pozostała Ameryka jest industrialna, demokratyczna

i patrząca w przyszłość. Gdy mówię że Ameryka poza starem Południem jest industrialna, mam na myśli nawet te jej rejony, w których ludność niemal wyłącznie zajmuje się rolnictwem – gdyż rolnik amerykański ma umysłowość industrialną. Korzysta w dużym stopniu z nowoczesnych maszyn; jest bardzo zależny od kolei żelaznej i telefonu; uświadamia sobie dobrze, jak dalekie są rynki, na których sprzedaje swoje produkty; jest w gruncie rzeczy kapitalistą, i mógłby tak samo dobrze zajmować się jakąś inną dziedziną interesów. Ameryka nie zna właściwie chłopą, takiego jaki istnieje w Europie i Azji. Jest to dla niej olbrzymie dobrodziejstwo, i być może najpoważniejsza jej wyższość w porównaniu ze Starym Światem – bo chłop jest wszędzie okrutny, chciwy, konserwatywny i mało wydajny. Widziałem gaje pomarańczowe na Sycylii i w Kalifornji; kontrast między nimi odpowiada okresowi jakichś dwóch tysięcy lat. Na Sycylii gaje rosną daleko od kolei i portów; drzewa są stare, sękaty i piękne; metody stosuje się tu te same, co w antycznej starożytności. Ludzie są ciemni i pół-dzicy – mieszańcy, pochodzący od rzymskich niewolnic i arabskich najeźdźców; nie wykazują wielkiej inteligencji wobec drzew, ale nadrabiają te braki okrucieństwem wobec zwierząt. Z niskim poziomem moral-

nym i gospodarczą ignorancją idzie w parze instynktowne poczucie piękna, które nieustannie przywodzi człowiekowi na myśl Teokryta i myt o Ogrodzie Hesperyd. W gaju pomarańczowym w Kalifornji ogród Hesperyd wydaje się bardzo daleko. Drzewa są wszystkie zupełnie podobne do siebie, starannie utrzymywane i posadzone w należytej odległości jedno od drugiego. Pomarańcze nie są co prawda wszystkie dokładnie tych samych rozmiarów, ale odpowiednie maszyny sortują je tak, że w każdej skrzynce wszystkie są zupełnie jednakowe. Potem się je pakuje, przyczem odpowiednie maszyny robią z nimi wszystko co trzeba w odpowiednim czasie, odbywają podróż w odpowiednim wagonie – chłodni i przybywają na odpowiedni rynek. Maszyny wybijają na nich słowa „Sunkist”, ale pozatem nic nie wskazuje na to, że w ich produkcji natura odegrała jakąkolwiek rolę. Nawet klimat jest sztuczny, gdyż w razie przymrozków temperaturę w gajach podwyższa się przy pomocy zasłon dymowych. Ludzie zatrudnieni w plantacjach tego typu nie mają poczucia, że są – jak rolnicy w dawnych czasach – cierpliwymi niewolnikami natury; przeciwnie, czują się panami, naginającymi siły natury do swojej woli. Dlatego w Ameryce między ludnością przemysłową i ludnością rol-

niczą niema tej odmienności światopoglądu, jaka istnieje w Starym Świecie. W otoczeniu amerykańskiem istotną rolę odgrywa to, co jest rezultatem działalności człowieka; w porównaniu z tem czynniki naturalne nie mają znaczenia. W Południowej Kalifornji zapewniano mnie ustawicznie, że pod wpływem tamtejszego klimatu ludzie stają się bezwolni i leniwi, ale muszę wyznać, że nie widziałem żadnych oznak takiego stanu rzeczy; ludzie wydawali mi się tutaj dokładnie tacy sami, jak w Minneapolis lub Winnipeg, chociaż te rejony stanowią wobec Kalifornji zupełny kontrast pod względem klimatu, krajobrazu i warunków naturalnych. Gdy uprzytomnić sobie różnicę między Norwegiem i Sycylińczykiem, i potem zestawić ją z brakiem różnic między, powiedzmy, mieszkańcem Północnej Dakoty i Południowej Kalifornji, widzi się olbrzymią rewolucję w bytowaniu człowieka, spowodowaną przez fakt, że z niewolnika otoczenia zewnętrznego człowiek stał się jego panem. Zarówno Norwegja jak Sycylja mają swoje stare tradycje; i tu i tam istniały przed chrześcijaństwem religje, w których znalazły swój wyraz reakcje ludności na szczególne cechy klimatu – i gdy nadeszło chrześcijaństwo, przybrało ono z konieczności zupełnie różną postać w obu krajach. Norweg bał się lodu i śniegu; Sy-

cylijczyk bał się wybuchu wulkanu i trzęsienia ziemi. Piekło wynalezione zostało w klimacie Południa ; gdyby było wynalezione w Norwegji, panowałby w niem mróz. Natomiast zarówno w Północnej Dakocie, jak w Południowej Kalifornji „piekło” nie oznacza żadnego stanu temperatury, lecz jedynie ciasnotę na rynku pieniężnym. To ilustruje naszą tezę, że w warunkach dzisiejszych klimat nie odgrywa poważniejszej roli.

Ameryka jest dziełem człowieka, który stworzył ją przy pomocy maszyn. Mam na myśli nietylko otoczenie zewnętrzne, ale zupełnie tak samo myśli i uczucia ludzi. Weźmy na przykład jakieś naprawdę emocjonujące morderstwo: morderca, coprawda, mógł posługiwać się metodami prymitywnymi, ale wszyscy którzy rozgłaszają jego czyn robią to przy pomocy ostatnich zdobyczy wiedzy. Radjo przynosi wszędzie najświeższe informacje nietylko w wielkich miastach, ale i na dalekich fermach w prerji i w osadach górniczych, zarzuconych gdzieś w Górach Skalistych ; w ten sposób codziennie połowa rozmów w całym kraju toczy się na ten sam temat. Kiedy jechałem pociągiem przez wielkie równiny, usiłując nie słuchać głośnika, który reklamował z rykiem jakieś mydło, zbliżył się do mnie stary farmer i powiedział z rozpromienionem obliczem: „Gdziekolwiek

się dzisiaj ruszyć – nie można uciec od cywilizacji!”
Zupełna prawda – niestety! Usiłowałem czytać książkę, ale ogłoszenia zwyciężyły.

Jednolitość w zewnętrznym trybie życia nie byłaby niczem strasznym, ale jednolitość w umysłach i poglądach jest o wiele niebezpieczniejsza. Jest to jednak nieunikniony rezultat nowoczesnych wynalazków. Produkcja wypada taniej, gdy odbywa się pod jednolitem kierownictwem i na wielką skalę, niż kiedy zajmuje się nią wiele drobnych jednostek wytwórczych. Dotyczy to produkowania poglądów zupełnie tak samo, jak produkowania szpilek. Głównymi producentami poglądów są dzisiaj: szkoły, kościoły, prasa, kino i radjo. Nauczanie w szkołach elementarnych musi być z konieczności coraz bardziej standaryzowane, w miarę jak korzysta się coraz więcej z przyrządów i wynalazków technicznych. Można jak sądzę przyjąć, że w najbliższej przyszłości rola kina i radja w nauczaniu szkolnem będzie szybko rosła: wykłady będą nadawane z jakiejś rozgłośni i wobec tego będą dokładnie te same we wszystkich szkołach, korzystających z danego ośrodka. Mówiono mi, że niektóre kościoły posyłają co tydzień swoim mniej wykształconym kapłanom temat kazania; kapłani, jeśli stosują się do nich zwykle prawa natury ludzkiej, są niewątpliwie

wdzięczni, że w ten sposób oszczędza im się kłopotu układania własnych kazań. Takie kazanie wzorowe poświęcone jest oczywiście jakiejś palącej i aktualnej kwestji i ma na celu wywołanie w jaknajszerszych masach wiernych odpowiednich zbiorowych emocyj. To samo dotyczy w większym jeszcze stopniu prasy, która otrzymuje te same wiadomości telegraficzne i zorganizowana jest w wielkie koncerty. Stwierdziłem, że recenzje z moich książek w prasie są – z wyjątkiem najlepszych dzienników – dosłownie te same na całej przestrzeni od New Yorku do San Francisco i od Maine do Texas; pojawiają się w nich tylko coraz większe skróty w miarę jak jedzie się z północo-wschodu na południo-zachód.

Najpotężniejszym może czynnikiem, działającym w kierunku ujednostajnienia dzisiejszego świata jest kino, ponieważ wpływ jego działa nie tylko w granicach Stanów Zjednoczonych, ale przedostaje się na cały świat – z wyjątkiem Rosji Sowieckiej, która jednak ma swoją własną, odrębną jednostajność. Kino reprezentuje naogół mówiąc to, co według opinji panującej w Hollywood podoba się w stanach Środkowego Zachodu. Nasza postawa emocjonalna wobec miłości i małżeństwa, wobec życia i śmierci urabiana jest jednolicie według tej recepty. Dla mło-

dzieży całego świata Hollywood reprezentuje ostatnie słowo nowoczesności, ukazując zarówno uciechy bogaczy jak i sposoby, przy których pomocy można zdobyć bogactwo. Przypuszczam że film mówiony doprowadzi niedługo do przyjęcia wszędzie tego samego języka – języka Hollywoodu.

Jednostajność charakteryzuje w Ameryce nie tylko warstwy mało oświecone: w takim samym niemal stopniu panuje ona w dziedzinie lektury. We wszystkich rejonach Stanów oglądałem księgarnie, i wszędzie widziałem wystawione na poczytnym miejscu te same „sukcesy” sezonu. Z moich obserwacji wynikałoby, że kulturalna Amerykanka kupuje w ciągu roku około dwunastu książek – tych samych w całym kraju. Dla autora jest to stan rzeczy bardzo pożądany – z zastrzeżeniem że należy do owej dwunastki. W tej dziedzinie jednak zachodzi poważna różnica między Ameryką i Europą, gdzie zamiast niewielu książek o dużym nakładzie istnieje raczej wiele książek o nakładach małych.

Nie trzeba przypuszczać, że tendencja do jednolitości jest całkowicie szkodliwa, ani że jest całkowicie pożyteczna. Ma wielkie plusy i wielkie minusy: główną jej zaletą jest oczywiście to, że wytwarza ludność, skłonną do zgodnej współpracy; wielką wadą – że ludność ta skłonna jest do prześladowania

mniejszości. Ta wada zresztą jest prawdopodobnie tylko chwilowa, gdyż można przyjąć, że niedługo wszelkie mniejszości przestaną istnieć. Wiele zależy oczywiście od tego, w jaki sposób jednolitość została osiągnięta. Rozpatrzmy na przykład, co dała szkoła amerykańska imigrantom z południowych Włoch. Południowi Włosi odznaczali się zawsze w historii pociągami do zabójstwa, podatnością na przekupstwo polityczne oraz wrażliwością artystyczną. Amerykańskie szkoły publiczne potrafiły pozbawić ich tej ostatniej właściwości i upodobnić pod tym względem do rdzennej ludności amerykańskiej, ale jeśli chodzi o dwie pierwsze cechy – wydaje się że powodzenie szkoły było w tej dziedzinie daleko mniejsze. To ilustruje jedno z niebezpieczeństw dążenia do jednolitości: rzeczy dobre łatwiej jest zniszczyć niż złe, i dlatego jednostajność osiągnąć się daje najłatwiej przez obniżenie ogólnego poziomu. Jest rzeczą jasną, że kraj o poważnej ludności obcej musi starać się, przy pomocy szkoły, asymilować dzieci imigrantów – w pewnym więc zakresie amerykanizacja jest rzeczą konieczną; niedobrze jest jednak, że w procesie tym tak wielką rolę odgrywa posilkowanie się dość krzykliwym nacjonalizmem. Ameryka jest już dzisiaj najpotężniejszym krajem na świecie, i wpływy jej ustawicznie rosną. To bu-

dzi oczywiście obawy w Europie – a obawy te stają się jeszcze większe pod wpływem objawów wojującego nacjonalizmu. Być może że Ameryka będzie jeszcze kiedyś uczyć Europę politycznego zdrowego rozsądku –ale pod tym względem Europa okaże się na pewno uczniem bardzo opornym.

Tendencja do jednostajności związana jest mojem zdaniem w Ameryce z fałszywym rozumieniem demokracji. Panuje tu zdaje się powszechnie pogląd, że demokracja wymaga aby wszyscy ludzie byli do siebie podobni i że człowiek, który jest pod jakimś względem odmienny od innych, „wywyższa się” ponad swych współobywateli. Francja jest zupełnie tak samo demokratyczna jak Ameryka, a jednak we Francji nie istnieje tego rodzaju koncepcja. Lekarz, prawnik, ksiądz, urzędnik – wszyscy oni mają we Francji swój typ odmienny; każdy z t. zw. „zawodów wyzwolonych” ma swoją tradycję i swoją obyczajowość, chociaż żaden nie „wywyższa się” w stosunku do innych. W Ameryce ludzie wszystkich tych zawodów upodobnili się pod względem typu do biznesmana. Jest to tak, jakgdyby ktoś zadekretował, że orkiestra ma się składać wyłącznie ze skrzypiec. Brak tu należytego zrozumienia faktu, że społeczeństwo powinno być pewną konstrukcją, pewnym organizmem, którego różne

organy odgrywają każdy swoją rolę. Wyobraźmy sobie, że oko i ucho kłóć się o to, czy lepiej jest widzieć czy słyszeć, i postanawiają nie wykonywać ani jednej ani drugiej funkcji, ponieważ żadne nie może wykonywać ich obu. Wydaje mi się, że tak właśnie rozumianoby demokrację w Ameryce. Istnieje dziwna zawiść w stosunku do wszelkiej doskonałości, której nie może osiągnąć każdy – z wyjątkiem oczywiście sportu, gdyż arystokracja w tej dziedzinie witana jest z entuzjazmem. Wydaje się że przeciętny Amerykanin jest bardziej skromny, kiedy chodzi o jego mięśnie, niż kiedy chodzi o mózg; może tak jest dlatego, że podziw dla mięśni jest w nim bardziej głęboki i szczerzy, niż dla mózgu. Potop książek popularno-naukowych w Ameryce tłumaczy się częściowo – choć oczywiście nie całkowicie – niechęcią pogodzenia się z faktem, że w nauce są dziedziny, które może zrozumieć tylko specjalista. Pogląd że do zrozumienia, powiedzmy, teorii względności potrzebne jest specjalne przygotowanie wywołuje pewnego rodzaju irytację, choć nikogo nie irytuje fakt, że trzeba przejść specjalny trening, aby móc stać się pierszorzędnym futbolistą.

Człowiek który się wybił jest podziwiany w Ameryce może więcej, niż w jakimkolwiek innym kraju – a jednak młodzież ma drogę do wybicia się

w pewnych dziedzinach bardzo utrudnioną, ponieważ ludzie są bardzo nietolerancyjni wobec wszelkich odchyłeń od normy i wobec wszystkiego, co można nazwać „zadzieraniem nosa” – chyba że dany osobnik ma już etykietę człowieka „niezwykłego”. Z tego względu Ameryka ma trudności z wytworzeniem na własnym gruncie wielu typów ludzkich, które najbardziej podziwia, i musi je importować z zagranicy. Jest to zrozumiałe na tle obowiązującej jednostajności i standaryzacji. Ludzie o wyjątkowych zdolnościach – zwłaszcza artystycznych – muszą napotykać w młodości poważne przeszkody, skoro opinia wymaga od wszystkich zewnętrznego naśladowania tego samego wzoru: biznesmana, któremu się dobrze powodzi.

Standaryzacja, przeszkadzając jednostkom wyjątkowym, ułatwia zapewne i uprzyjemnia życie człowiekowi przeciętnemu, ponieważ dzięki niej człowiek przeciętny może być pewny, że wypowiedziane przezeń myśli zgodne są z myślami jego słuchaczy. Ponadto standaryzacja wzmacnia spójność narodową i sprawia, że walka polityczna jest mniej zacięta i gwałtowna, niż w krajach gdzie istnieją bardziej zarysowane różnice. Nie uważam za możliwe odpowiedzieć, co w ostatecznym rachunku przeważa – straty czy zyski standaryzacji; ale nie-

zależnie od tego myślę, że obejmie ona również Europę, w miarę jak świat będzie coraz bardziej zmechanizowany. Europejczycy więc, którzy robią z tego tytułu zarzut Ameryce, powinni uświadamiać sobie, że robią zarzut przyszłości własnego kraju i że przeciwstawiają się nieuniknionej i powszechnej tendencji cywilizacji. Ustrój międzynarodowy będzie niewątpliwie łatwiejszy do przeprowadzenia, gdy zmniejszą się różnice między poszczególnymi krajami; a z chwilą gdy ustrój taki zostanie stworzony, utrzymanie spójni społecznej będzie rzeczą olbrzymiego znaczenia dla zachowania wewnętrznego pokoju. Nie da się zaprzeczyć, że powstanie wówczas niebezpieczeństwo zastygnięcia w bezruchu, jak zastygło Cesarstwo Rzymskie w swem ostatnim stadium. Przeciw takiej ewentualności przemawia jednak rewolucjonizujący wpływ nowoczesnej nauki i techniki. Jeżeli nie nastąpi powszechny upadek intelektualny, siły te – będące specyficznym, nowym czynnikiem dzisiejszego świata – nie pozwolą na trwanie w bezwładzie i nie dopuszczą do tego rodzaju stagnacji, jaka stała się udziałem wielkich imperjów w przeszłości. Wobec kompletnej przemiany, wywołanej przez naukę, operowanie analogjami historycznymi w stosunku do teraźniejszości i przeszłości jest rzeczą niebezpieczną. Nie

widzę więc powodów do nadmiernego pesymizmu --
choćby standaryzacja była bardzo nie w smak lu-
dziom, którzy się do niej nie przyzwyczaili.

WYCHOWANIE I DYSCYPLINA

Wszelka poważna teoria wychowania składać się musi z dwóch części: z pewnej koncepcji celów jakie mają być osiągnięte w życiu, oraz z tez dotyczących dynamiki psychicznej – to jest praw, rządzących przemianami psychiki. Ludzie którzy mają różne poglądy na cele życia nie mogą zgadzać się w poglądach wychowawczych. W krajach cywilizacji zachodniej wychowanie opiera się na dwóch teoriach etycznych: na chrześcijaństwie i nacjonalizmie. Brane poważnie, teorie te nie dają się ze sobą pogodzić: staje się to rzeczą widoczną w Niemczech. Jeśli chodzi o mój pogląd – sądzę że w sprawach, w których teorie te się różnią, słuszniejszą jest teoria chrześcijaństwa, w sprawach jednak w których są zgodne – obie teorie są fałszywe. Koncepcją celów wychowania, przez którą zastąpiłbym je obie, jest koncepcja cywilizacji – przyczem definicja tego terminu, tak jak go rozumiem, jest częściowo indywidualna a częściowo społeczna. Jeśli chodzi o cy-

wilizację w zastosowaniu do indywidualnego człowieka – składają się na nią cechy zarówno intelektualne jak moralne: w dziedzinie intelektualnej chodzi o pewne minimum wiedzy ogólnej, o opanowanie techniki własnego zawodu oraz o zwyczaj opierania swoich poglądów na przesłankach rozumowych; w dziedzinie moralnej – o bezstronność, ogólne dyspozycje przyjazne wobec ludzi i pewne opanowanie siebie samego. Dodałbym do tego jeszcze jedną cechę, nie będącą cechą intelektualną ani moralną, ale raczej może fizjologiczną – mianowicie zapał i radość życia. Jeśli chodzi o społeczeństwo – cywilizacja wymaga poszanowania prawa, sprawiedliwości w stosunkach między ludźmi, wyboru celów, które nie krzywdziłyby w sposób stały żadnej części rasy ludzkiej, oraz inteligentnego przystosowania do tych celów istniejących środków.

Jeżeli przyjmiemy, że takie są zadania wychowania – do psychologii należeć będzie zagadnienie, jak można je zrealizować, i w szczególności – jaki stopień swobody daje największe szanse sukcesu wychowawczego.

Jeśli chodzi o czynnik swobody w wychowaniu, istnieją w chwili obecnej trzy główne kierunki, wywodzące się częściowo z różnego ujmowania celów a częściowo z odmiennych teorii psychologicznych.

Są więc tacy co twierdzą, że dzieci powinny mieć całkowitą swobodę, choćby były zupełnie zlemi dziećmi; tacy co twierdzą, że powinny być całkowicie kierowane przez wychowawców, nawet jeśli są zupełnie dobrymi dziećmi; i wreszcie tacy którzy domagają się dla dzieci swobody, ale sądzą że mimo swobody dzieci będą zawsze dobre. Ten ostatni kierunek jest silniejszy, niżby na to pozwalało jego uzasadnienie logiczne; dzieci, podobnie jak dorośli, nie będą wszystkie cnotliwe, jeśli będą miały wszystkie zupełną swobodę. Wiara że swoboda wystarcza, aby zapewnić doskonałość moralną – to pozostałość wpływów Russa, która nie może się ostać wobec wyników badań nad zwierzętami i niemowlętami. Zwolennicy tego poglądu uważają że wychowanie nie powinno mieć żadnych określonych, pozytywnych celów, lecz że powinno jedynie wytwarzać warunki, sprzyjające spontanicznemu rozwojowi dziecka. Nie mogę zgodzić się z tym kierunkiem: wydaje mi się że jest zbyt indywidualistyczny i że nie zwraca należytej uwagi na znaczenie wiedzy. Żyjemy w grupach społecznych, wymagających współdziałania, i byłoby utopją oczekiwać że całe to współdziałanie rozwinie się z samych tylko spontanicznych impulsów. Istnienie wielkich mas ludności na ograniczonym terytorjum jest możliwe tylko dzięki nauce i

technice ; wychowanie musi więc dostarczać pewnego minimum niezbędnej wiedzy. Wychowawcy którzy pozwalają na największą swobodę – to ludzie zawdzięczający swój sukces pedagogiczny wielkiej życzliwości, opanowaniu i odpowiednio wyćwiczonej inteligencji, a więc cechom, których niepodobna niemal wytworzyć w dzieciach, jeśli pozwala im się na niczem niekrępowany rozwój wszelkich impulsów ; nie jest więc rzeczą prawdopodobną aby wychowawcy tego rodzaju przekazywali swoje zalety innym, jeśli stosować będą swoje metody w całej rozciągłości. Ze społecznego punktu widzenia wychowanie musi być czemś bardziej pozytywnem niż samo tylko umożliwianie dziecku rozwoju ; musi być oczywiście i tem, ale musi także dawać wyposażenie moralne i umysłowe, którego nie nabędą dzieci pozostawione zupełnie samym sobie.

Tem co przemawia za wielką dozą swobody w wychowaniu nie jest jakaś naturalna dobroć człowieka, ale wpływ, jaki wychowanie oparte na posłuszeństwie wywiera zarówno na wychowanków jak i na wychowawców. Jeśli chodzi o wychowanków – skutkiem takiego wychowania jest albo postawa uległa, albo buntownicza, a obie mają swoje strony ujemne.

Uległość pozbawia inicjatywy, zarówno w my-

śleniu jak w działaniu; ponadto poczucie, że się jest krępowanym, wytwarza rozgoryczenie, które znajduje sobie łatwo ujście w tyranizowaniu słabszych. Dlatego instytucje tyranji stwarzają same warunki swego dalszego trwania: co człowiek wycierpiał od ojca – to musi potem wycierpieć jego syn, a upokorzenia jakich doznawał w swojej „szkole publicznej” każe potem znosić „krajowcom”, gdy zostaje „buntowniczym imperjum”. Wychowanie więc, oparte w zbyt wielkim stopniu na posłuszeństwie, czyni z wychowanków bojaźliwych tyranów, niezdolnych do domagania się dla siebie ani do tolerowania u innych jakiegś oryginalności w słowie lub czynie. Dla wychowawców następstwa są jeszcze gorsze: stają się łatwo sadystycznymi zwolennikami dyscypliny, zadowoleni są, że budzą postrach i nie pragną budzić niczego innego. Ponieważ ludzie ci reprezentują wiedzę, uczniowie ich odwracają się od wiedzy z przerażeniem – co wśród angielskich sfer wyższych uważane jest za właściwość samej natury ludzkiej, a jest w istocie tylko jednym z objawów uzasadnionej nienawiści do arbitralnych pedagogów.

Buntownicy z drugiej strony, choć może konieczni, nie mogą być naogół sprawiedliwi w stosunku do istniejącego stanu rzeczy. Ponadto, istnieje wiele sposobów buntowania się, i rozumne są tylko bar-

dzo nieliczne z pośród nich. Galileusz był buntownikiem mądrym; ludzie wierzący, że ziemia jest płaska są także buntownikami, ale są niemądrzy. Istnieje bardzo niebezpieczna tendencja, w myśl której wszelka opozycja wobec władzy jest rzeczą zasadniczo wartościową, a niekonwencjonalne poglądy muszą być zawsze słuszne; a przecież żaden pożytek nie powstaje z rozbijania latarń na ulicach, ani z utrzymywania że Szekspir nie był artystą. Ale taka właśnie nadmierna buntowniczość jest często skutkiem zbyt silnego krępowania żywych umysłowo wychowanków. A gdy buntownicy zostają sami wychowawcami – pragną czasem wzbudzić w swoich uczniach postawę nieufną, ale jednocześnie starają się wytworzyć dla nich doskonałe warunki rozwoju, chociaż te dwie rzeczy bardzo trudno ze sobą pogodzić.

Postawa pożądana – to nie postawa uległości ani buntu, ale usposobienie skłonne do sympatii i przyjaźni zarówno dla ludzi jak dla nowych idei. Cechy te powstają częściowo w wyniku przyczyn natury fizycznej, na które wychowawcy dawnego typu zwracali zbyt mało uwagi; ale bardziej jeszcze konieczny do ich powstania jest brak poczucia bezsilności, rodzącego się w człowieku, gdy stłumione w nim zostały jakieś żywotne impulsy. Jeśli z mło-

dzieży wyrosnąć mają ludzie o dyspozycjach przyjaznych, trzeba w większości wypadków, aby młodzież czuła przyjazny stosunek do niej w otaczającym ją środowisku. To zaś wymaga, aby główne pragnienia dziecka spotykały się z pewną sympatją i aby stosunek do dziecka nie polegał tylko na próbie wyzyskania go dla jakiegoś abstrakcyjnego celu – dla chwały Boga albo wielkości jego kraju. Jeśli zaś chodzi o nauczanie, starać się trzeba wszelkimi siłami aby uczeń miał poczucie, że to czego go uczą warte jest poznania – przynajmniej w tych wypadkach kiedy tak jest istotnie. Jeśli uczeń chętnie współpracuje z nauczycielem, uczy się dwa razy szybciej i odczuwa o połowę mniejsze zmęczenie. Wszystko to są istotne względy, przemawiające za wielką swobodą.

Łatwo jednak można posunąć się w tego rodzaju argumentacji zadaleko. Nie jest rzeczą pożądaną, aby dziecko, unikając cech niewolnika, nabierało cech arystokraty. Względy dla innych ludzi, nie tylko w rzeczach wielkich ale i w drobnych sprawach codziennych, są zasadniczym składnikiem cywilizacji, bez którego życie w pewnej wspólnotie społecznej byłoby nie do zniesienia. Nie mam tu na myśli samych tylko zewnętrznych form grzeczności, takich jak mówienie „proszę” i „dziękuję”: grzeczność for-

malna największa jest wśród barbarzyńców i zmniejsza się wraz z każdym postępem kultury. Chodzi mi raczej o gotowość przyjęcia na siebie odpowiedniej części pracy, której wykonanie jest niezbędne, i o usługowość w drobiazgach, oszczędzającą innym ludziom kłopotów. Umiarkowanie i zdrowy rozsądek są też formą grzeczności, i nie jest wcale rzeczą pożądaną, jeśli wytwarza się w dziecku poczucie, że może zrobić wszystko co zechce, albo przekonanie, że dorośli istnieją tylko poto, aby dbać o jego przyjemności. Ludzie którzy występują przeciw istnieniu bogatych próżniaków są chyba niekonsekwentni, jeśli nie wpajają własnym dzieciom żadnego poczucia, że praca jest rzeczą konieczną, ani nie wytwarzają w nich przyzwyczajień, któreby im umożliwiły zajmowanie się czymś na stałe.

Istnieje jeszcze inny moment, na który zwolennicy swobody zwracają często zbyt mało uwagi. W społeczeństwie dzieci wolnem od ingerencji dorosłych istnieje tyranja silniejszego, zazwyczaj o wiele bardziej brutalna niż tyranja wśród dorosłych. Jeśli pozwolić dwojgu dwu – lub trzyletnich dzieci bawić się razem, ustalą one po kilku walkach, które zostaje zawsze zwycięzcą, a wtedy drugie staje się niewolnikiem. Jeśli chodzi o większą gromadę dzieci, jedno lub dwoje będzie miało całkowitą władzę,

a pozostałe – znacznie mniej swobody, niż gdyby starsi wtrącili się dla obrony dzieci słabszych i mniej wojowniczych. Naogół względy dla innych nie rodzą się w dzieciach spontanicznie, lecz muszą im być wpojone – a niepodobna niemal wpoić ich inaczej, jak przez sprawowanie pewnego rodzaju władzy. To jest może najsilniejszy argument, przemawiający przeciw abdykacji dorosłych.

Nie wydaje mi się aby wychowawcy rozwiązali już zagadnienie, jak połączyć pożądaną swobodę z niezbędnym minimum dyscypliny moralnej. Trzeba zresztą przyznać, że właściwe rozwiązanie uniemożliwiają często rodzice, zanim jeszcze oddadzą dziecko do jakiejś nowoczesnej szkoły. Podobnie jak psychoanalitycy, którzy na zasadzie swego doświadczenia klinicznego wnoszą że wszyscy jesteśmy obłąkani – kierownicy dzisiejszych szkół, na zasadzie kontaktu z uczniami z którymi nic już nie można począć naskutek wpływu rodziców, sądzą naogół że wszystkie dzieci są „trudne do prowadzenia”, a wszyscy rodzice – niesłuchanie niemądrzy. Dzieci które zupełnie zdziczały pod wpływem rodzicielskiej tyranji (występującej często w postaci tkliwego uczucia) mogą potrzebować dłuższego lub krótszego okresu pełnej swobody, zanim oduczą się traktować podejrzliwie każdą osobę dorosłą. Dzieci jednak

z którymi w domu obchodzono się rozsądnie zniosą skrępowanie w sprawach drugorzędnych, jeżeli tylko czują że pomaga im się w sprawach, które one same uważają za najważniejsze. Dorośli którzy lubią dzieci i których towarzystwo dzieci nie doprowadza do nerwowego rozstroju mogą osiągnąć wiele w dziedzinie dyscypliny, nie przestając budzić w wychowankach uczuć przyjaznych.

Sądzę że dzisiejsi teoretycy wychowania skłonni są przywiązywać zbyt wielką wagę do cnoty czysto negatywnej – niewtrącania się do dzieci, a zbyt mało – do wyraźnego pozytywnego pożytku, jaki daje odczuwanie przyjemności w ich towarzystwie. Jeśli ktoś lubi dzieci tak, jak wielu ludzi lubi psy i konie, dzieci będą skłonne poddawać się jego sugestjom i zakazom – może z pewnem dobrodusznem wyrzekaniem, ale bez rozgoryczenia. Na nic się jednak nie zda ten rodzaj sympatji dla dzieci, który polega na traktowaniu ich jako materiału jakichś szlachetnych przedsięwzięć społecznych, albo – co na jedno wychodzi – jako obiektu, umożliwiającego wyładowanie naszych impulsów władczych. Żadne dziecko nie będzie wdzięczne za to, że się niem interesujesz, jeśli powodem tego zainteresowania jest chęć zapewnienia sobie w przyszłości jego głosu dla twojej partji, albo jego ciała – dla złożenia go w ofierze Królowi i

Ojczyźnie. Pożądany jest taki rodzaj zainteresowania, który płynie ze spontanicznej przyjemności przebywania w towarzystwie dzieci – bez żadnych dalszych zamysłów. Nauczyciele, którzy taką przyjemność odczuwają, rzadko będą musieli uciekać się do ograniczania swobody dzieci; w razie jednak potrzeby będą mogli to uczynić, nie wywołując żadnych szkodliwych następstw w psychice dziecka.

Niestety jest rzeczą zupełnie niemożliwą, aby przepracowany nauczyciel zachował nadługo swoją instynktowną sympatię dla dzieci; musi w końcu patrzeć na nie, jak przysłowiowy chłopiec od cukiernika patrzy na słodycze. Uważam że działalność wychowawcza nie powinna być niczym jedynym zawodem: powinni jej poświęcać najwyżej dwie godziny dziennie ludzie, którzy pozostałe godziny spędzają zdala od dzieci. Przebywanie w towarzystwie dzieci czy młodzieży jest męczące, zwłaszcza jeśli unika się utrzymywania surowej dyscypliny. Zmęczenie prowadzi koniec końców do rozdrażnienia, które zapewne jakoś w końcu się wyładowuje, niezależnie od teorii w jakie wymęczony nauczyciel nauczył się wierzyć. Niepodobna utrzymać niezbędnej przyjaznej postawy wobec dzieci przez samo panowanie nad sobą. Gdzie jednak postawa taka istnieje, nie wydaje się by trzeba było mieć z góry jakieś

zasady postępowania z „niegrzecznymi” dziećmi, gdyż wtedy sam impuls wskaże zapewne w każdym wypadku właściwą decyzję, a każda niemal decyzja będzie właściwa, jeśli tylko dziecko czuje że nauczyciel je lubi. Żadne, najmądrzejsze nawet zasady nie zastąpią uczucia i taktu.

CZEM JEST DUSZA?

Jedną z najprzykrzejszych właściwości ostatnich postępów wiedzy jest fakt, że w rezultacie każdego takiego postępu wiemy mniej, niż dotąd myśleliśmy że wiemy. Kiedy byłem młody wszyscy wiedzieliśmy – tak nam się przynajmniej zdawało – że człowiek składa się z duszy i ciała; że ciało istnieje w przestrzeni i czasie, a dusza tylko w czasie. Czy dusza istnieje po śmierci – co do tego poglądy mogły się różnić, ale samo istnienie duszy uważane było za rzecz niewątpliwą. Co się tyczy ciała, zwyczajny człowiek uważał naturalnie jego istnienie za rzecz oczywistą, i tak samo sądził człowiek nauki – filozof natomiast skłonny był, w wyniku takiej czy innej analizy rozumowej, odmawiać ciału egzystencji, sprowadzając je zwykle do wyobrażeń w umyśle człowieka posiadającego ciało, oraz w umyśle każdego, kto tego człowieka postrzega. Ale filozofów nie brano poważnie, i nauka pozostawała wygodnie materjali-

styczna, nawet w interpretacji zupełnie ortodoksyjnych uczonych.

Dziś cała ta piękna prostota przepadła: fizycy zapewniają nas, że nie ma żadnej materji, a psychologowie – że nie ma żadnej psychiki. Jest to zjawisko bez precedensów. Któż kiedykolwiek słyszał szewca negującego istnienie butów, albo krawca utrzymującego, że wszyscy ludzie chodzą w gruncie rzeczy nago? A nie byłoby to wcale bardziej dziwaczne niż to co robią fizycy i niektórzy psychologowie. Ci ostatni – aby od nich zacząć – próbują sprowadzić wszystko, co wydaje się działalnością psychiczną, do czynności ciała. Ale sprowadzenie czynności psychicznych do fizycznych napotyka na liczne trudności. Nie wydaje mi się, abyśmy mogli już dziś z pewnością powiedzieć, czy trudności te są czy nie są do pokonania; możemy natomiast powiedzieć, opierając się na samej fizyce, że to co dotąd nazywaliśmy naszym „ciałem” jest w istocie skomplikowaną konstrukcją naukową, nie odpowiadającą żadnej fizycznej rzeczywistości. Dzisiejszy więc quasisamaterialista okazuje się w dziwnej sytuacji, bo chociaż może z pewnem powodzeniem sprowadzić czynności umysłu do czynności ciała, nie może ominąć faktu, że samo ciało jest tylko dogodnem pojęciem, wymyślonem przez umysł. Obracamy się więc cią-

gle wkółko: psychika jest emanacją ciała a ciało jest wynalazkiem psychiki. Coś w tem jest najwi-
doczniej nie w porządku, i musimy rozejrzeć się za
czemś co nie jest ani psychiką ani ciałem, a z czego
może powstać i jedno i drugie.

Zacznijmy od ciała. Zwykły człowiek sądzi, że
przedmioty materialne muszą niewątpliwie istnieć,
ponieważ są postrzegane przez nasze zmysły. Wszyst-
ko inne może być wątpliwe, ale coś o co mogę się
uderzyć jest napewno rzeczywiste – taka jest meta-
fizyka zwykłego człowieka. Wszystko to pięknie; ale
nadchodzi fizyk i wykazuje, że nigdy o nic nie ude-
rzamy – że nawet kiedy bijemy głową o ścianę,
w rzeczywistości nie dotykamy jej. Kiedy zdaje nam
się, że czegoś dotykamy, pewne elektrony i protony,
tworzące nasze ciało, są przyciągane i odpychane
przez elektrony i protony w tem czego rzekomo do-
tykają – ale naprawdę żaden kontakt tutaj nie za-
chodzi. Elektrony i protony naszego ciała, poruszo-
ne bliskością innych elektronów i protonów, zostają
zakłócone i przy pomocy nerwów przekazują to za-
klócenie do mózgu; efekt powstający w rezultacie
w mózgu wywołuje wrażenie kontaktu – a przy po-
mocy odpowiednich doświadczeń można wywołać
te wrażenie w warunkach, w których będzie nas wy-
rażnie wyprowadzało w błąd. Same jednak elektro-

ny i protony – to tylko pierwsze przybliżenie pojęciowe, za którym kryją się szeregi fal albo prawdopodobieństwa statystyczne różnego rodzaju wydarzeń. Materja stała się więc czemś zbyt wyraźnie widmowem, aby mogła służyć jako pałka do pogębiania umysłu. Pojęcie materji w ruchu – które zdawało się nie nastrocza żadnych wątpliwości – okazuje się teraz zupełnie niewystarczające dla potrzeb fizyki.

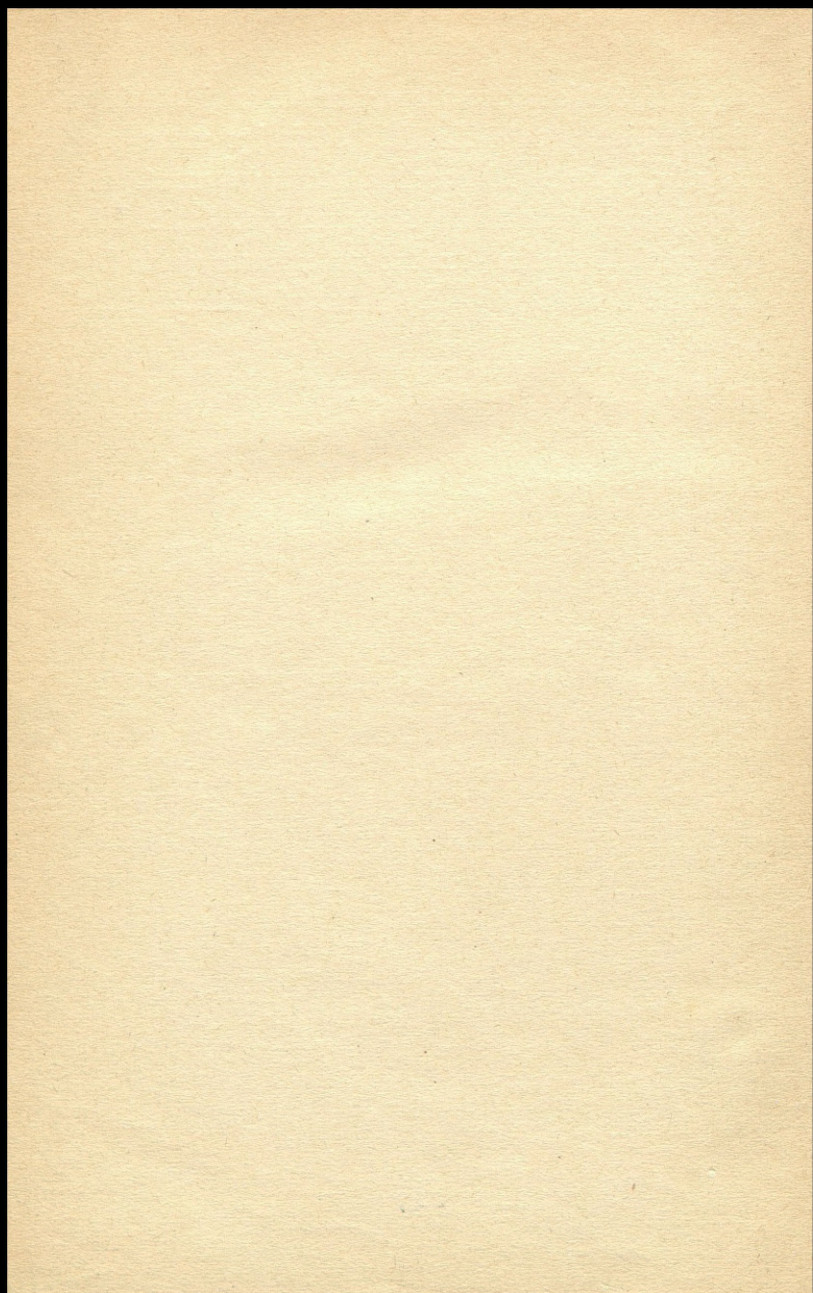
Jednakże dzisiejsza nauka nie wskazuje bynajmniej na jakieś odrębne istnienie duszy czy psychiki; więcej nawet, przeciw istnieniu czegoś takiego przemawiają mniejwięcej te same względy co przeciw istnieniu materji. Materja i psychika – to jakby walczące ze sobą na herbie lew i nosorożec; walka nie kończy się zwycięstwem żadnego z nich, ale odkryciem że i jedno i drugie są heraldyczną fantazją. Świat składa się z wydarzeń, a nie z przedmiotów istniejących długo i zmieniających swoje właściwości. Wydarzenia mogą być łączone w grupy według zachodzących między niemi związków przyczynowych. Jeśli te związki są jednego typu – grupę wydarzeń możemy nazwać przedmiotem fizycznym, jeśli są innego typu – możemy ją nazwać psychiką. Wszelkie wydarzenie zachodzące w głowie człowieka należeć będzie do obu grup; ujmowane jako należące do

jednej grupy będzie składnikiem jego mózgu, a jako należące do drugiej – składnikiem jego psychiki.

Tak więc zarówno „umysł” jak „materja” – to tylko dogodne sposoby kombinowania wydarzeń. Nie mamy żadnych podstaw do twierdzenia że jakaś cząsteczka psychiki albo materji jest nieśmiertelna. Przyjmuje się, że słońce traci miliony ton materji na minutę. Najistotniejszą cechą charakteryzującą umysł jest pamięć, a niema żadnego powodu przypuszczać że pamięć danej osoby istnieje dalej po jej śmierci. Wszystko raczej przemawia przeciwko temu, gdyż pamięć wiąże się najwidoczniej z określoną strukturą mózgu, a ponieważ struktura ta rozpada się po śmierci, mamy prawo przypuszczać, że i pamięć musi wtedy zniknąć. Chociaż materjalizm metafizyczny nie może być uważany za doktrynę prawdziwą, jednak – uczuciowo biorąc – świat jest naogół taki właśnie jaki byłby, gdyby materjaliści mieli rację. Sądzę, że przeciwnicy materjalizmu powodowali się zawsze dwoma pragnieniami: chęcią dowiedzenia że umysł jest nieśmiertelny, oraz wykazania, że czynnikiem decydującym jest na świecie w ostatecznym rachunku czynnik psychiczny a nie fizyczny. Wydaje mi się, że w obu tych zagadnieniach materjaliści mieli rację. Pragnienia nasze miały coprawda poważny wpływ na to co się działo na

ziemi; większa część powierzchni naszej planety ma zupełnie inny wygląd niżby miała, gdyby ludzie nie czerpali z niej pożywienia i bogactwa. Ale władza nasza jest bardzo wyraźnie ograniczona. Nie możemy w najmniejszym stopniu wpływać na słońce, księżyc ani nawet na wnętrze ziemi, i niema najbliższych powodów do przypuszczenia, że tem co się dzieje w rejonach, na które nie mamy wpływu, rządzą jakieś przyczyny psychiczne. Znaczy to, krótko mówiąc, że nie mamy powodu przypuszczać, aby poza powierzchnią ziemi cokolwiek działa się dlatego, że ktoś tego pragnie. A ponieważ nasza władza na powierzchni ziemi jest całkowicie zależna od energii, dostarczanej przez słońce, jesteśmy więc od słońca ściśle zależni, i gdyby ostygło – nie moglibyśmy urzeczywistnić żadnego bodaj z naszych pragnień. Byłoby oczywiście rzeczą lekkomyślną ustalać dogmatycznie jakieś granice tego czego nauka może dokonać w przyszłości. Nauka może pozwolić nam przedłużać życie ludzkie poza normy, które dziś wydają się możliwe; jeśli jednak jest jakieś źródło prawdy w fizyce dzisiejszej, w szczególności w drugim prawie termodynamiki – nie możemy mieć nadziei że rasa ludzka istnieć będzie wiecznie. Dla niektórych wniosek ten brzmieć będzie pośępnie, ale jeśli jesteśmy uczciwi wobec nas samych będziemy musieli

przyznać, że niebardzo nas wzrusza to co się stanie za wiele milionów lat. Nauka, redukując nasze pretensje kosmiczne, jednocześnie w ogromnym stopniu uprzyjemnia nam nasze doczesne bytowanie. Dlatego właśnie nauka – mimo przerażenia jakie budzi wśród teologów – była naogół zawsze tolerowana.



ŁUDZIE PRZECIW OWADOM

Wśród wojen i słuchów wojennych, gdy propozycje „rozbrojeniowe” i pakt o nieagresji zapowiadają rasie ludzkiej niebywałą dotąd w jej dziejach katastrofę – innemu konfliktowi, może jeszcze ważniejszemu, poświęca się znacznie mniej uwagi niżby należało: mam na myśli konflikt między ludźmi i owadami.

Przyzwyczajeni jesteśmy uważać się za panów stworzenia: nie żyjemy już w strachu, jak ludzie jaskiniowi, przed lwem i tygrysem, mamutem i dzikiem. Boimy się tylko jeden drugiego – pozatem czujemy się bezpieczni. Ale choć duże zwierzęta nie zagrażają już naszemu życiu – inaczej jest z małymi stworzeniami. Raz już w historii naszej planety duże zwierzęta ustąpiły miejsca małym. W ciągu wielu stuleci wśród bagien i lasów harcowały beztróskie dinozaury – bojące się tylko jeden drugiego i pewne swego niezachwianego panowania; znikły jednak, ustępując miejsce małym ssakom – myszom, je-

żom, małym konikom nie większym od szczura i tak dalej. Niewiadomo dlaczego dinozaury wymarły; przypuszczalną jednak przyczyną był fakt że miały małe mózgi i poświęciły się wytwarzaniu broni zaczepnej w postaci licznych rogów. Jakkolwiek rzeczy się miały, rozwój form życia nie poszedł poprzez ich gatunek.

Ssaki, ostawszy się jako gatunek najwyższy, zaczęły rosnąć; ale największy z żyjących na ziemi – mamut – wyginął, a inne duże zwierzęta stały się rzadkie, z wyjątkiem człowieka i zwierząt przezeń oswojonych. Dzięki swojej inteligencji człowiek, mimo swoich dużych rozmiarów, potrafił znaleźć pożywienie dla wielkich mas ludności. Nie zagraża mu teraz nic z wyjątkiem małych stworzeń – owadów i mikrobów.

Owady mają przedewszystkiem przewagę liczby. W małym lesie pomieścić się może łatwo tyle mrówek ilu jest ludzi na całym świecie. Drugą przewagą owadów jest to, że jedzą nasze pożywienie, zanim jeszcze jest gotowe dla nas do spożycia. Nieraz szkodliwe owady, które początkowo żyły tylko w jakimś jednym, stosunkowo niewielkim rejonie, zostały nieumyślnie przetransportowane przez człowieka do innych okolic, gdzie wyrządziły olbrzymie szkody. Handel i podróże są pożyteczne dla owadów

i dla mikrobów. Żółta febra istniała początkowo tylko w Afryce Zachodniej, ale zawleczona została na zachodnią półkulę przez handel niewolnikami. Teraz, naskutek kontaktu Afryki ze światem, przesuwają się stopniowo poprzez ląd afrykański na wschód; gdy dotrze do wschodniego wybrzeża, będzie rzeczą niemal niemożliwą zapobiec jej przeniknięciu do Indyj i Chin, gdzie zredukuje zapewne ludność do połowy. Jeszcze straszniejszą chorobą afrykańską jest śpiączka, która również obejmuje stopniowo coraz nowe rejony.

Na szczęście nauka wykryła sposoby walki z zarazami, szerzonymi przez owady. Większość owadów może być toczona przez pasożyty i ginąć wtedy masami, tak że pozostałe przy życiu przestają być poważnym niebezpieczeństwem; entymolodzy przeprowadzają studia nad pasożytami tego rodzaju i zajmują się ich hodowlą. Oficjalne sprawozdania z działalności entymologów są fascynujące; pełno w nich zdań tego typu: „Na życzenie plantatorów z Trinidad udał się do Brazylii, aby poszukać naturalnych wrogów owadu niszczącego trzcinę cukrową”. Trzeba stwierdzić, że w takiej walce owad nie będzie miał wielkich szans zwycięstwa. Niestety, dopóki istnieje niebezpieczeństwo wojen, wszelka wiedza ścisła jest cbośieczna. Zmarły niedawno profesor

Fritz Haber wynalazł pewną metodę otrzymywania związków azotowych. Intencją jego było wyzyskanie tej metody dla podniesienia płodności ziemi, ale rząd niemiecki użył jej do wyrobu materiałów wybuchowych, a niedawno zmusił Habera do wyemigrowania, ponieważ wynalazca wolał produkować nawozy sztuczne niż bomby. W najbliższej wielkiej wojnie naukowcy każdej ze stron wojujących wywołają zarazę w zbiorach drugiej strony, a gdy nastąpi pokój unieszkodliwienie zarazy może okazać się rzeczą niemożliwą. Im więcej mamy wiedzy, tem bardziej możemy szkodzić sobie wzajem. Jeśli ludzie, rozwścieczeni jedni przeciw drugim, odwołają się do pomocy owadów i mikrobów – a zrobią to napewno w następnej wielkiej wojnie – nie jest bynajmniej rzeczą nieprawdopodobną, że jedynymi ostatecznymi zwycięzcami tej wojny będą owady. Z kosmicznego punktu widzenia może nie należy nad tem ubolewać; ale jako człowiek nie mogę się powstrzymać od westchnienia na myśl o losach mojego gatunku.

O KOMETACH

Gdybym był kometą, uważałbym ludzi dzisiejszych za jakiś gatunek zdegenerowany.

W dawniejszych epokach komety cieszyły się szacunkiem głębokim i powszechnym. Jedna zwiastowała śmierć Cezara; drugą rozumiano jako wskazówkę zbliżającego się zgonu imperatora Wespazjana. On sam był człowiekiem o mocnej głowie i utrzymywał, że kometa musi mieć jakieś inne znaczenie, ponieważ jest owłosiona a on jest łysy; ale niewielu podzielało ten skrajnie racjonalistyczny punkt widzenia. Czcigodny Bede twierdził że „komety wróżą rewolucje w królestwach, zarazy, wojny, wichry albo upały”. John Knox uważał komety za oznaki gniewu Bożego, a inni protestanci szkoccy – za „ostrzeżenie dla króla aby wytępił papistów.”

Ameryka, a zwłaszcza Nowa Anglja, pretendowała też do należytej uwagi ze strony komet. W r. 1652 kometa ukazała się akurat w chwili, gdy zachorował wybitny mąż, nazwiskiem Cotton, a znikła gdy

umarł. Minęło zaledwie lat dziesięć, gdy zepsuci mieszkańcy Bostonu ostrzeżeni zostali przez nową kometa, aby przestali „hańbić dzieło Boskie lubieżnością i rozwiązłością w picciu oraz rozrzutnością w stroju”. Increase Mather, znakomity duchowny, uważał że komety i zaćmienia przepowiadają zgony przełożonych kolegum w Harvard i gubernatorów kolonialnych, i polecał wiernym prosić Pana aby „nie zabierał z nieba gwiazd i nie posyłał zamiast nich komet”.

Wszystkie te przesady rozwiały się stopniowo pod wpływem odkrycia Halley’a, który stwierdził że jedna przynajmniej kometa zatacza dokoła słońca prawidłową elipsę, zupełnie jak każda rozsądna planeta, oraz pod wpływem dostarczonego przez Newtona dowodu, że komety podlegają prawu grawitacji. Przez czas jakiś zabraniano profesorom w bardziej zacofanych uniwersytetach mówić o tych odkryciach, ale prawda nie dała się nadługo ukryć.

Trudno nam dzisiaj wyobrazić sobie świat, w którym każdy – wielki i mały, wykształcony i niewykształcony – zajmował się kometami i drżał z przerażenia, gdy któraś z nich się pojawiała. Większość z nas nie widziała nigdy komety. Ja widziałem dwie, ale były o wiele mniej imponujące niż się spodziewałem. Zmianę w naszej postawie spowodował nie-

tylko racjonalizm, ale i sztuczne oświetlenie. Z ulic nowoczesnego miasta nieba w nocy nie widzimy; więc przebiegamy w autach z silnym reflektorem. Wymazaliśmy niebo z naszego pola widzenia, i tylko garstka naukowców wie w dalszym ciągu o planetach i gwiazdach, o kometach i meteorach. Świat naszego codziennego życia jest dziś bardziej dziełem człowieka niż był w jakiegokolwiek dawniejszej epoce. Daje to zarówno straty jak zyski; człowiek, pewny swego panowania, staje się trywialny, arogancki i nieco obłąkany. Nie sędzę jednak, aby kometa mogła mieć dziś taki sam zbawienny efekt moralny, jaki miała w Bostonie w r. 1662; dzisiaj potrzebne by już było silniej działające lekarstwo.



SPIS RZECZY

	str.
X Pochwała próżniactwa	5
Nowoczesny Midas	31
Stoicyzm i zdrowie psychiczne	55
Genealogja faszyzmu	71
X Socjalizm i jego uzasadnienie	105
Cywilizacja Zachodu	151
X „Bezużyteczna“ wiedza	175
X Architektura i kwestja społeczna	197
O cynizmie młodzieży	215
Epoka standaryzacji	231
X Wychowanie i dyscyplina	245
Czem jest dusza?	257
Ludzie przeciw owadom	265
O kometach	269



